

Strzemieńczyk, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Strzemińczyk

CZASY WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA

TOM I

I

Ktoby był wiosennego jednego wieczora 1412 r., spotkał się z panem Cedrem Strzemińczykiem i zajrzał mu we krwią nabiegłe oczy, przypatrzył się pofalowanemu jego czołu, zaciętym ustom i rękoma silnym w kułaki jakby do boju pościskany, uwierzyłby łatwo temu staremu podaniu, które głosiło, że rodu tego ludzie, Strzemińczycy, głównymi byli i najokrutniejszymi przy zabójstwie św. Stanisława, popędliwego króla pomocnikami.

Temu przypisywano, że ród Strzemińczyków, od owego dnia krwawej pamięci, upadł, zubożał i do pierwszej świetności podźwignąć się już nie mógł.

Cedro Strzemińczyk, choć z dobrego szlacheckiego wiódł się gniazda, choć pradziad jego jeszcze znaczne majątkości dzierzył w krakowskim, zubożał był zupełnie, nie miał nic nad mizerny chłapiec ziemi pod Sanokiem, z którego wyżyć jemu ze dwojgiem dzieci byłoby trudno, gdyby go łaska królewska nie posiłkowała.

Pamiętni dawnych z tym domem związków, Różyce i Śreniawici, polecili go królowi Jagielle, przy którego on dworze się wysługiwał, pełniąc różne obowiązki.

Ale teraz, choć się zawsze na rejestrze dworu pańskiego liczył i pobierał jurgielt jakiś, do niczego już zdolnym nie był. Wiek, zgryzoty, przecierpiane niewczasy, choroba i sam charakter zgryźliwy, który ciągle mu krew burzył, do ostatka, niegdyś olbrzymią siłę, wyczerpały.

Nie miał Cedro nad lat sześćdziesiąt, co naówczas człowieka starym nie czyniło, bo ludzie zahartowani od młodu, trzymali się długo krzepkimi, lecz patrząc nań, można mu było dać dziesiątkiem więcej, tak podupadł, szczególnie na nogi.

Ogromny wzrost i tuszę dźwigać ma już było ciężko i one go słabszym czyniły. Na nogach ledwie się trzymał, dyszał ciężko, gdy się trochę przeszedł lub rozgrzał rozmową, w piersi mu chrzęszczało, a lada drobnostka wprawiała go w chorobliwy gniew i zapamiętanie.

Nieraz latem brzęczenie muchy do wściekłości go niecierpliwiło.

Był Cedro Strzemińczyk wdowcem od lat dziesiątka, a po żonie świętobliwej niewieście, synaczków mu dwóch zostało. Przy ubóstwie wielkiem i siłach ubywających, troska o nich dniem i nocą pokoju mu nie dawała; a choć dziećmi się gryźć nie miał powodu zbyt, stękał, że ani im ma co zostawić, ni ich komu powierzyć, ani się spodziewać może sam wychować i w świat puścić.

Czuł on, że sam coraz mniej mógł nawet na chleb powszedni zarobić, nadzieję więc całą widział w chłopcach.

Mąż rycerskiego rzemiosła, niegdyś łowczy i stanowniczy króla, nie rozumiał dla dzieci innej przyszłości, tylko służbę na koniu z kordem u pasa.

Młodszy syn, ulubieniec ojca, którego Zbilutem wołano, do stanu rycerskiego okazywał powołanie, jakiego ojciec sobie życzył; lecz był też jak przysły wojak, niepomiernie zuchwały, drapieźny, a co gorzej przebiegły, płaszczący się, kłamca zręczny i pochlebny. Ojciec mu wiele przebaczał i widząc w nim wszystko najlepsze, po nim sobie najwięcej rokował. Starszego Grzesia cierpieć nie mógł, bo mu się krnąbrnym i upartym wydawał.

Ten się ojcu nie wyklamywał nigdy, karę znosił cierpliwie, ale się do myśli jego namaczać nie dawał.

Właśnie dnia tego Cedro go zbił na kwaśne jabłko, a chłopak choć się krwią oblał, nie pisnął nawet i poprawy nie przyobiecał...

Ojciec krzyczał, że z nim na gałęź potrzeba, bo innej rady niema.

Trudno się było domyśleć o co mu chodziło. Oto Grześ ów, starszy, mimo zakazu całe dnie, gdy się tylko wymknąć zdołał, trawił w szkole z klechami, taką miał do nauki ochotę. Cedro zaś dla rycerskiego człowieka, bakalarstwo znajdował niepotrzebnym. Śpiewywał też ślicznym głosem w kościele Grześ, co jako babską rzecz, ojciec potępiał.

— Klechy w rodzinie mieć nie chcę i nie potrzebuję — powtarzał ciągle stary.

Grześ teraz dwunastoletni, Zbilut o dwie lecie młodszy, przykazanem mieli od rana dziurytem rzucać, z łuku strzelać, w szable się ścinać i na koniach starych, które umyślnie

Cedro trzymał na to, toczyć i wprawiać się do silnego siedzenia. Zresztą wolno im było jakie chcieli harce wyprawiać, byle nie ślęczyć nad abecadłem i tablicą.

Jakby na przekorę rodzicowi, starszy poznawszy się z bakałarzem przy farze, który go polubił, ciągle zbiegał do niego, potajemnie się uczył chciwie pisma, śpiewu i co tylko szkoła dać mogła, przesiadywał w niej, a choć ojciec go za to srodze ciemniżył, nauki tej, do której się palił, z głowy mu wybić nie było można. Cedra to czasem we wściekłe gniewu wprawiało, naprzód że nieposłuszeństwa w dziecku ścierpieć nie mógł, powtóre, że nauką jako rycerzowi niepotrzebną się brzydził, a klechów nią się parających nie znosił. Było to może we krwi.

Pobożnym po swojemu był, ale duchowieństwa więcej się lękał, niż je szanował.

Dwaj bracia, dosyć do siebie z twarzy podobni, oba piękni bardzo, jak malowani, bo to wzięli po matce, charakterami się od siebie różnili wielce.

Nie kochali się też bardzo, choć Grześ młodszemu krzywdy nie czynił.

Ulubieniec ojca rozpieszczony, młodszy starszemu wszystkiego zazdrościł, podglądał go, szpiegował, ojcu donosił, gdy co pochwylił, lizał mu się i przypochlebiał nikczemnie.

Zbroił-li co i na karę zasłużył, umiał się zręcznie wyklamać i wyprzysiądz, na brata winę złożyć, a rodzicowi do nóg paść i płacz a skruczę udawać, choć się potem wyśmiewał z jego łatwowości.

W młodym wieku w niwecz już był popsuty... Uchwycić coś potajemnie, złasować, psotę krwawą wyrządzić, słabego zgnieść, zwierzę męczyć, było dlań najmilszym. Gdy swawolic nie mógł, do góry brzuchem leżeć objadłszy się i próżnować gotów był dnie całe.

Ojcu się przypochlebiając, z tyłu mu język pokazywał i szydził sobie z jego niedołężności.

Tak samo postępował z bratem i ze wszystkimi. Na zuchwalstwie mu nie zbywało, a męztwa prawdziwego nie miał i stanąć do walki z mocniejszym się nie ważył.

Gdy go rówieśnicy na rękę wyzywali, uciekał... Słowem, wszystko w nim rokowało niepoprawnego łotra i rozpustnika.

Grześ miał też samą krew gorącą, ale charakter szlachetny, moc duszy nad wiek swój, wytrwałość i statek nadzwyczajny. Zdolności też, na których bratu zupełnie zbywało, okazywał zdumiewające.

Bakałarz od fary, który w szkole tamtejszej uczył, mawiał często, że Grześ zdawało się jakby sobie przypominał tylko to, czego nauczano go, tak mu wszystko łącznie przychodziło. Dziwniejsza rzecz, byle najmniejszą skazówkę miał, sam już dalej szedł tą drogą jaką mu ukazano, nauczyciela w zdumienie wprawiając.

Piękny, zręczny, silny, dobrze zbudowany, z oczyma dużymi, ciemnymi, w których już nie dziecięcy rozum gorzał, Grześ rwał się tak do nauki, jak Zbilut się nią brzydził.

W początkach nie był ojciec temu przeciwnym, aby synowie się czytać nauczyli, ale klechów z nich robić nie myślał i ta Grzesia namiętność uczenia się coraz więcej, coraz innych rzeczy, okrutny gniew w nim obudzała.

Śpiewanie i brząkanie na cytrze, karał smaganiem nielitościwym...

Zakazał mu przestąpić później próg szkoły, bakałarzowi zagroził, jeśliby go śmiało przyjmować, siekl nieposłusznego, ale wszystko to nie pomagało.

Grześ, gdy się nie mógł przekraść ku farze, pisał po ścianach i piasku. Zbilut ojcu o tem donosił, Cedro bił, a chłopak wracał do swego i poprawy nawet nie przyrzekając, milczał.

Ciągła więc walka była pomiędzy krnąbrnym Grzesiem a gniewliwym rodzicem.

Dnia tego właśnie stary Cedro miał znowu taką z synem przepawę. Oskarżył go Zbilut zdrajca, że na strych wlaższy, potajemnie tam coś pisał, dostawszy nie widzieć z kądem kawał papieru czy skóry...

Pochwycono go na uczynku, z kartą jeszcze mokrą, ojciec obił go znowu, a teraz zburzony cały, po izbie w dworku swoim się przechadzał, z gniewu jeszcze nie mogąc ochłonąć. Nie mając się przed kim skarżyć, mrucał i kłął po cichu.

Sponiewierany chłopak, z potarganą czupryną, oprócz różeg napytawszy sińców, siedział za węglem dworku, podparty na rękę i dumał.

Boleść mu lży z oczów wycisnęła, ale na pięknej, smutnej jego twarzyczce więcej było zadumy, niż gniewu... Dwunastoletnie chłopię rozmyślało...

Z za drugiego węgla niepocziwy Zbilut wyglądał, podpatrywał, aby coś donieść ojcu na brata. Nie mógł jednak dojrzeć w nim tej złości, jakąby on sam uczuł, gdyby go podobna kara spotkała. Grześ biedny wzdychał i dumał. Widać było, że ojcowską władzę, nawet gdy niesprawiedliwie karciała, uznawał i poddawał się jej z pokorą, szukając tylko środków, aby pogodzić wolę ojca z tem, czego własna jego dusza pragnęła.

Dawszy się bratu wywzdychać, Zbilut, który zarówno ojca jak jego okłamywał i udawał że się nad losem Grzesia lituje, zbliżył się powoli do niego.

Twarz na pół dziecięca, niezręcznie przybrać usiłowała wyraz serdeczności i współczucia, po za którym kryło się szyderstwo.

— A! a! — szepnął po cichu — mój Boże! jaki ten ojciec okrutny i niemiłosierny... To cię skatował!

Grześ popatrzył nań i nic nie odpowiedział. Zbilut stanął przed nim, bacznie w niego wlepiając oczy. Chciał wyzwać na słowo, któreby ojcu powtórzył. Starszy milczał.

— Po co bo tobie ta szkoła i głupie pisanie — dodał.

Ramionami poruszył tylko Grześ. Domyślał się i odgadywał brata, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę.

Tymczasem mrok nadchodził i gospodyni wieczereź do izby niosła, chłopców na nią wołając. Grześ wyprosił sobie u niej suchy chleba kawałek i pozostał za węglem.

Ojciec też, obejrząwszy się że go niema przy stole, nawet się nie upomniał o niego. Poczekałszy dopiero, gdy Cedro jedząc ochłonął, Zbilut się odezwał po cichu.

— Grześ za węglem siedzi, kulaki gryzie ze złości, żeby choć zapłakał!!

— Milcz — przerwał stary krótko i ostro.

Nie lubił on Grzesia, widok jego obudzał w nim gniew niepohamowany, chęć złamania uporczywej duszy krnąbrnej, ale dziwił się temu charakterowi żelaznemu syna i litował nad nim.

Przy wieczery stary jadł mało, mrucał, pięścią o stół bił, na pochlebce nawet nie spojrział. Cały był w sobie, myśląc nad środkami, jakiemiby nieposłuszne dziecko mógł poskromić.

Nieprędko też legł spać Cedro, choć się czuł zmęczonym i zbolałym.

Zbilut, w rękę go pocałowawszy, ścisnąwszy za kolano, nie zaglądając do brata, wysunął się do izby, w której oba sypiali i do snu pospieszył...

Najpóźniej, na palcach, po cichu, wśliznął się do komory Grześ i nie rozbierając rzucił na posłanie.

Nazajutrz rano, gdy Zbilut, słysząc szmer we dworku, oczy przetarł już o białym dniu na posianiu obok Grzesia nie było.

Ojciec nie pytał o niego.

Zbilutowi zaraz na myśl przyszło, że brat pewnie chyłkiem zbiegł do fary, na skargę do bakałarza, który był jego opiekunem i powiernikiem...

Nie mylił się chłopak domyślny i byłby może korzystał z tego, puszczając się za bratem i śledząc kroki jego, aby o nich donieść ojcu, ale pilniejszego coś miał do czynienia, bo żarłocznym był i łasym, a naprzód musiał u gospodyni coś odkraść, aby głód zaspokoić. Wiedział też kędy kury się niosły i jaja podbierał, które ze smakiem wypijał.

Stary Cedro wkrótce się wywłócił na miasto.

Od dworku Strzemińczyków do fary, spory kawał drogi iść było potrzeba krętymi uliczkami, ale Grześ miał sobie tylko znaną, bliższą drożynę, między sadami i płotami, którą się był zwykł przekradać.

Budynek szkolny przy farze, w którym się bakałarz z kantorem mieścili, tak był nędzny i opuszczony, jak większa część podobnych domostw w onym wieku. Wprawdzie nie było znacniejszego kościoła, któryby szkoły nie miał, choć do niej niewiele dzieci uczęszczało, ale mało gdzie starano się pilniej o ściąganie ich i regularne nauczanie młodzieży. Szedł kto chciał i kogo posłali rodzice.

Byli przy Farach scholastycy, którym dozór szkół z obowiązku przypadał, ale ci doglądali tylko, aby bakałarz wedle przepisów synodalnych naukę wpajał i religijne zasady. Nikt do szkoły nie napędzał.

W miastach niektóre rodziny, liczniejszem mężkiem obarczone potomstwem, w widokach poświęcenia stanowi duchownemu jednego z synów oddawali bakalarzowi. Posyłała dzieci z tąż myślą uboga szlachta. Dla wielu duchowna sukienka wydawała się lżejszą do noszenia od kubraka i zbroi.

Bakalarze, klechy, kantorowie byli to także biedacy, albo wdychający do święceń lub klerycy niedouczeni, którzy nie mogli ich otrzymać, głodem przymierali posługując przy kościołach.

Z mnogich jednak widać przykładów, że w takich szkółkach dosyć skutecznie uczono pierwszych zasad, krzewiono początkowe przygotowawcze wiadomości, gdy tacy z nich ludzie wychodzili jak arcybiskup Wojciech Jastrzębiec, co zaczął od farnej szkółki w Bensusowie.

Nie wzdragała się ich szlachta uboższa, synów na księży chcąc sposobić, a osobnego bakalarza trzymać do nich nie mogąc.

Za kostnicą, między murowanym domem proboszcza a wikaryą, stała drewniana szkoła, tak opuszczona i biedna, że nielepiej od chlewu wyglądała. Jedna w niej pusta izba była dla młodzieży przeznaczoną, reszta służyła za skład łomu i rupieci kościelnych, a komora przylegająca za schronienie kantora i bakalarza. Niezawsze nawet szkoła ta niezajętą bywała, bo w lecie gospodyni proboszcza rozkładała się w niej nieraz z zieleńmi i warzywem, jesienią z owocami i nasionami, a szanować musiano co pieczy bakalarza powierzyła.

Dziwnymi też zapachami woniała nieprzewietrzana szkoła, bo w niej jadło, konopie, zieleninę, stęchliznę, dym przywrzały do ścian i kościelnego kadzidla resztki, razem się mieszały.

Światło wpadało skąpe, a oprócz ław na wbitych w tok nogach i stołu porzniętego przez dzieci, pary półek u ścian i popękane pieca, innego sprzętu nie było.

Klepisko chyba dzieci przez miłosierdzie zamiotły.

Bakalarz, posiwiaty już w spełnianiu swych obowiązków, człowiek milczący, posępny, blady, surowy na oko, łagodny z natury, zwał się Jackiem Rybą. Miał on wprawdzie różgi za piecem w ceberku moknące, ale częściej je pokazywał dla postrada, niż używał.

Niepozorny, zbiedzony, całego życia niepowodzeniem złamany, dobił się już był do tego skraju, na którym stojąc patrzy się ze spokojem i rezygnacją na wyżyny oddalone, choć się ich doścignąć nie mogło.

Dusza to była wypogodzona, w której miłości ludzi i Boga nie zabiła zła dola i długich lat męczarnie. Jacek Ryba nie zgorzkniał, Bogu i przeznaczeniu wyrzutów za swe losy nie czyniąc.

Największą dla niego rozkoszą było młode umysły do życia budzić, wpajać im to, co sam zdobył, a gdy czasu stało i ksiąg poważnych mógł się chwycić, czytać je i dumać nad niemi. Rękopisem nowego dostawszy, o co naówczas bakalarzowi nie było łatwo, siadał go przepisywać, dnie i noce przy kaganku czasem spędzając nad Boëcyuszem lub jakim rzymskim poetą.

Przywozili naówczas do Polski te skarby mnodzy duchowni, którzy do Rzymu i Włoch w sprawach kościoła lub dla nauk wysyłani byli.

Jacek Ryba pierwszym był Grzesia Strzemieńczyka nauczycielem, i wychowawcą tym swoim czuł się dumny. Miał on go za dziecię cudowne, od Boga ubłogosławione, wielką przyszłość zapowiadające.

Bakalarz ledwie się był, umywszy i pacierz odmówiwszy, przygotował iść na jutrznię do kościoła, gdy z podziwieniem ujrzał wpadającego żywo do komory ulubieńca swego, z zarumienionemi policzkami, zdyszanego, przelęknętego. Nic nie mówiąc chłopak pochwylił go za rękę i całować ją zaczął wzruszony.

— Cożes ty tak rannym ptakiem? — zapytał niespokojny Ryba.

Spojrzał bacznie; Grzesiowi w oczach wymowne łzy stały. Bakalarz wiedział co chłopiec cierpiał od ojca, ścisnęło mu się serce, pogłaskał go po głowie.

— No, mów! — rzekł głosem cichym.

— A! ojczulku! — odezwał się Strzemieńczyk, nawykły go tak nazywać — nie wiem co mam począć! Dłużej już tak nie wybędę. Dziej się wola Boża. Ojciec... ojciec...

Bakalarz potrząsnął głową znacząco, jak gdyby powiedzieć chciał:

— Wiem ci ja! ale rodziców szanować potrzeba.

Chłopak westchnął.

— Dlatego, że ojca szanuję i gniewać go nie chcę, muszę precz ztąd, muszę.

Zachnął się Ryba w tył cofając.

— Co tobie? na Boga milego! Dokąd?

— Dokąd? albo ja wiem! — szepnął Grześ. — W świat! Do Krakowa... Ojciec z nas obu chce koniecznie żołnierzy zrobić, a mnie sam Pan Bóg do czego innego przeznaczył. Samiście mówili mi nieraz, że głosu Bożego słuchać potrzeba, a ja czuję go w sobie!

Bez nauki żyć, wołałbym umierać, dla niej w świat iść muszę.

Łzy prędko otarłszy chłopiec, czarnymi oczyma bystro spojrzął na bakałarza, który stał smutny i zamysłony.

— Słyszałem od was, że w Krakowie dla ubogich jak ja pacholąt, ludzie są litościwi, którzy ich karmią, aby na chwałę Bożą uczyć się mogli.

— Dziecko! dziecko! — podchwycił bakałarz. — Bóg ci litościwy jest nad opuszczonymi, i ludzie są dobrzy na świecie, ale pójść w świat z sakwą na plecach, z drewnianą miską u pasa, prosić jałmużny chleba i jałmużny światła, nie wiesz co przecierpieć trzeba.

Chłopak strząsnął się dumnie.

— Alboż to ja cierpieć nie potrafię? — zawołał — albo mi to w domu był raj? Ja już od dziecka do głodu nawykłem i chłodu.

Tu pocałowawszy znowu w rękę bakałarza, jakby go tą pokorą chciał zmiękczyć i przekupić dla siebie, dodał.

— Nauczylście mnie trochę śpiewać, po ulicach pieśni nabożne z drugimi nucić mogę. Za to ludzie dobrzy dają kołaczki i grosze... Umiem też, z łaski waszej, pisać niczego...

Ryba się uśmiechnął klepiąc go po ramieniu.

— A! ty! ty! — rzekł weselej — niczego! Ty malujesz nie piesz i kaligraf z ciebie, choć smarkaty, że się i ze starymi nie powstydzisz iść na wyścigi. O tem niema co mówić, to prawda, to prawda.

Grześ przerwał żywo.

— No, więc czego się mam obawiać? Bylebym się dowłókł do Krakowa, albo to bieda wielka. Na każdej plebanii nocleg mi dadzą, w każdym klasztorze pokarmią. Chleba dużo nie potrzebuję, łyżką strawy będę syty.

Gdy to mówił, oczy mu się świeciły.

— A ojciec — cicho zagadnął Ryba. — Co powie ojciec, gdy cię nie stanie?

Grześ oczy spuścił.

— Ojcu się Zbitut zostanie — odparł cicho. — On go lepiej niż mnie kocha. Ja mu tylko zgryzotą jestem i ciężarem. Zbędzie się, zapomni, lżej mu będzie.

Słuchać go nie mogę, więc obrazy Bożej uniknę, a po mnie — dokończył smutno — płakać nie będzie.

Bakałarz zadumany, nic nie mówiąc, głową potrząsał. Stał w niepewności jakiejś, nie chcąc ni radzić ni odradzać. Dziecka mu ulubionego żał było, które się tu mogło zmarnować. Miał to przekonanie, że w Krakowie z niego coś nadzwyczajnego zrobią. Z drugiej strony, postradać tego ucznia, tego ulubieńca, którego sam własnem tchnieniem wywiódł tak cudownie ze swawolnego pacholęcia, żał mu było.

Grześ pisał tak ślicznie, a wszystkie charaktery naśladował tak kunsztownie! W kościele gdy śpiewał, głos miał tak piękny, że do łez poruszał, do modlitwy duszę podnosił!

To dziecię biedne, puścić w świat na stracone imię, na losy, które Ryba znał najlepiej, bo ich sam doznał w wędrówkach po świecie, strach było!! żał srogi!

Ukradkiem stary bakałarz otarł rękawem oczy, ale myśl mu przyszła, że Bóg ojciec sierotom...

Na twarzy chłopca malowało się po tęsknocie takie męztwo, takie pragnienie tego co mu przyszłość gotowała, takie jakieś powodzenia przeczucie, że wstrzymać go, któż wie, czy się godziło?

— Ojczulku! — dodał Strzemińczyk śmiało. — Myślałem całą noc, modliłem się panu Bogu, prosiłem go o natchnienie. Już to postanowione... Nie przeciwie się. Idę w świat!... Za ojca wy mi dajcie błogosławieństwo.

I przykląkł przed nim, za rękę drżącą chwytając starego, który głowę jego ująwszy, modlitwę cichą szeptać zaczął. Popłakali się oba. Mówić już nie było co więcej.

Dzwoniono na jutrznię, poszli razem do kościoła, ale ostrożny bakalarz, obawiając się, aby stary Cedro nie przyszedł tu szukać syna, ukrył go na chórze i drzwi zaryglował.

Grześ upadł na kolana, złożył ręce i modlił się gorąco.

Mało na jutrzni pobożnych było, oprócz kilku starych kumoszek z różańcami w ręku; mieszczenie na wiosnę mieli dosyć do czynienia w polach i ogrodach. Msza już była przy ofiarowaniu, gdy męzkie buty i chód posuwisty usłyszał bakalarz, głowę wychylił i zobaczył Strzemieńczyka starego, który idąc na wszystkie się strony oglądał, niewątpliwie szukał syna.

Grześ się przychylił i za słup schował.

Cedro ukląkł w ławie mszy świętej słuchać, bo bezbożnym nie był, ale domyślił się łatwo bakalarz, że on tu nie dla nabożeństwa, ale dziecka zbiegłego przyszedł szukać.

Zaledwie ksiądz przeżegnał, gdy Ryba chłopcu dając znak aby pozostał na chórze, sam zszedł z niego, nastręczając się Strzemieńczykowi, bo wiedział, że go pytać będzie. Sam nie zaczepiając starego, zwolna, święconej wody wzięwszy u drzwi, wyszedł Ryba na cmentarz.

Cedro za nim pospieszył, brwi miał ściągnięte i twarz posępną.

— Nie wiecie o Grzesiu moim? — zapytał rzeźko.

— Albo co? — odparł Ryba.

Staremu gniew tymczasem ze krwią do głowy bił...

— Zbiega mi, bestya krnąbrna, dla tej waszej nauki, która mu się na nic nie zdała.

Siekę go, morduję i nic nie pomaga...

Bakalarz poruszył ramionami.

— A ja co na to mogę? — odparł.

— Wy — krzyknął w pasy Strzemieńczyk, rękę podnosząc do góry — wyście mu pierwi głowę nabili tem przeklętym obciadłem, a jemu ono do czego? Klechy z niego mieć nie chcę, dosyć jest tych darmozjadów! He!

Ryba słuchał obojętnie.

— Pociście go uczyli? — powtórzył Cedro.

— Bo tak pan Bóg przykazał — odparł bakalarz — a bożego przykazania słuchać muszą nie waszych gróźb. Dziecko do nauki miało ochotę i zdolność, com go nie miał uczyć??

— Ja lepiej wiem co mojemu dziecku potrzeba — wyrwał się coraz popędliwiej Strzemieńczyk — jam nad niem panem, nie wy...

Nie chcąc dalej rozprawiać z nim, bakalarz ruszył zwróciwszy się ku szkole i zostawił samego, zagniewanego starca, który pluł i kłął, a w końcu nie mając z kim się kłócić, musiał nazad do domu iść. Po drodze jednak skręcił do szkoły, i nie wchodząc do niej, u okna tylko stanąwszy, zakrzyczał na głos.

— Jak mi go tu przyjmować i chować będziecie, szkołę podpalę... tak mi Boże dopomóż!! Rąk moich nie ujdziecie.

Ryba zbliżył się okna...

— Idźcie z Bogiem... a nie krzyczcie! dziecko zamęczone w świat poszło... mieć będziecie je na sumieniu... Nie ojcem mu byliście, ale uprawcą...

To wyrzekłszy zniecierpliwiony Ryba od okna odstąpił i poszedł się zamknąć do komory.

Cedro stał chwilę zadumany, ramionami zżymając, oglądał się czy z kim waśni przedłużyć nie znajdzie, naostatek mruczając się powlókł do domu.

Nie chciało mu się dawać temu wiary, ażeby syn mógł w świat ujść od niego.

Gdy Strzemieńczyk zdala już był od fary, po drodze znajomych zatrzymując i rozwodząc przed nimi żale swe do bakalarza i klechów; Ryba przez zakrystę do kościoła powrócił, wszedł na chór, i wyzwolił ztamtąd Grzesia.

— Nie chcesz do ojca powracać? — zapytał go.

Chłopak wstrząsł się cały.

— Nie mogę — rzekł — wołę głodem mrzeć!! W świat pójdę...

Zadumał się Ryba długo... Zdawało się, że i on to postanowienie pochwalał, a myślał tylko o środkach, jakby tego dokonać.

— Gotów stary jeszcze cię tu szukać — odezwał się po chwili — musisz się więc ukryć, dopóki ja nie opatrzę cię na drogę... Choć za mną...

Ryba mówiąc to, wziął Grzesia za rękę, obejrzał się po cmentarzu i prześliznął z nim szybko do szkoły, ale nie wprowadził go do swej izby.

W lewo był skład zamknięty rzeczy kościelnych, które się przy farze pomieścić nie mogły. Stały tu rusztowania od przybierającego na wielki tydzień grobu, wisiały opony odpustowe, połamane chorągwie, wschody od wielkiego katafalku rzadko kiedy używane, ogromne lichtarze drewniane i całe kupy lampek glinianych, którymi czasem farę oświetcano.

Każdy choćby najmężniejszy dzieciak, wieku tego co Grześ, byłby się uląkł tej ciemnej izby, smutnej i pełnej grozy grobowej. Ryba spojrzał nań pytająco, czy do wieczora się tu skryć zechce... Grześ odpowiedział wesoło głową potakując i przeżegnawszy się wsunął śmiało, gdy mu drzwi otworzono.

Przez jedno zakratowane gęsto okienko trochę światła wpadało do ciemnej izby, w której kątach złowrogo, na czarnych deskach wytrzeszczające zęby, głowy trupie widać było... Grześ siadł u okna, aby w dziedziniec kościelny mógł patrzeć i dostrzedz, gdyby ojciec lub brat go tu szukał.

Miał najmocniejsze postanowienie niepowracać już do domu, choć za nim tęskno mu było.

Milczące przyzwolenie bakałarza dodawało odwagi. Siedział cierpliwie, czekając co z nim Ryba postanowi. O południu otworzyły się drzwi ostrożnie, stary przyniósł chleba kawałek i w garnku polewkę od ust sobie odebraną, aby go pokarmić, kazał Grzesiowi jeść, sam przysiadłszy na wschodzie od katafalku.

— Iść! iść! — zaczął mrużyć niespokojny — dobrze to mówić, a wieszże drogę? do Krakowa kawał... gościniec ci jest, ale dróg siła, a jak się obłąkasz?

— Ludzie mówią, droga wszelka na końcu języka — odparł Grześ...

Popatrzał bakałarz...

— A nuż stary w pogoń pojedzie lub pośle? — zapytał.

— Sam pojechać nie może — odezwał się chłopak — posłać niema kogo. Pomyśli, że już dziś zbiegł, i dognać mnie nie będzie mógł, a w ostatku... pewnie się niebardzo o mnie zatroszczy...

Ryba podparty na rękę dumiał...

— Żywczak jutro do dnia do Dukli i Starego Sądca jedzie za kupią, a bodaj i na Węgry. Można by uprosić, aby cię na wóz wsadził i dowiózł choćby tam dokąd, sam jedzie... Z Sądca do Krakowa...

— Dam sobie rady — przerwał Grześ śmiało — nie obawiajcie się o mnie.

— Ale czy Żywczak zechce i ojca się waszego nie złąknie? — dodał Ryba...

Żywczak różną kupię z Węgier był zwykł przywozić, człowiek śmiały, czeladź miał zbrojną, bo w owe czasy bezbronnemu na gościńcach, zwłaszcza w obcym kraju, nie można było się pokazywać. Znał go Ryba, i postanowił rozmówić się z nim zaraz, więc Grzesia znowu w izbie zamknawszy, poszedł na miasto.

Zamożny woźnica miał własny swój dom w Sanoku, a choć ciągle się po gościńcach tłukąc, mało w nim przebywał, liczył się do znaczniejszych mieszczan. Bakałarz dlań chudzina niewiele znaczył, ale zawsze suknię na nim kleczą szanowano.

Gdy Ryba Chrystusa chwając do izby wszedł, zastał Żywczaka z dwoma współmieszczanami żegnającego się przy miodzie.

Woźnica i kupiec zobaczywszy go, pewien był zrazu, że bakałarz, jak to się kilkakrotnie do roku trafiało, przyszedł, aby sobie gomółkę jaką lub osełkę wyprosić, płacąc za nią życzeniem szczęśliwej podróży i obietnicą modlitwy.

Wesoło go jednak powitał i kubek przed nim postawił. Ryba miód przyjąwszy, nie rad temu, że świadków niepotrzebnych tu zastał, siedział długo milczący... Mieszczanie jednak nie bawiąc się porozchodzili.

— Ja mam prośbę do was, panie gospodarzu — odezwał się bakałarz — korzystając z tego, że zostali sami, ale, osobliwego ona rodzaju jest, i sam nie wiem jak począć.

Stanął Żywczak przed nim.

— Mówcież no — rzekł krótko...

— Rozumiecie to, boście bywali i mądrzy, panie gospodarzu — zaczął bakałarz przy pochlebając się Żywczakowi — iż kogo Bóg do siebie powoła, ten głosu Jego słuchać musi.

Żywczak głową dał znak, iż i on tak sądził, choć zgola nie rozumiał, co to znaczyć miało.

— Mamy chłopca w szkole, którego Pan Bóg widomie do służby swojej przeznaczył — ciągnął dalej Ryba — a tu ojczyisko uparte uczyć mu się nie daje... Niema innego sposobu, tylko chłopcu, który uczyć się chce, drogę wymościć i do szkoły go lepszej niż nasza posłać. Do Krakowa mu trzeba, do Panny Maryi...

— A cóż ja na to wam poradzić mogę? — spytał zdziwiony Żywczak...

— Jedzicie pono do Dukli, a może i do Starego Sądca — rzekł Ryba.

— Pewnie! — potwierdził Żywczak.

— Tożbyście dla miłości Bożej podwieść mogli biedactwo — dokończył bakałarz, rękę zniżając do kolan Żywczaka.

Mieszczanin stał jakoś obojętny, głową potrząsał.

— Cóż to za jeden ten wasz chłopak? — zapytał. — Od ojca go odkradać... dziecko własne!! A gdyby mi tak kto mojego chciał wziąć!!

— Wybyście pewnie woli Bożej się nie sprzeciwili? boście człkiem pobożnym i rozumnym, a wiecie iż się nie godzi.

Żywczak wciąż głową kręcił, niezupełnie przekonany.

— Czyżże to chłopiec? — zapytał.

Bakałarz jeszcze się wahał z odpowiedzią i dodał.

— Katuje go ojciec za to, że się uczyć chce, a chłopiec już dziś śpiewa w chórze i pisze tak jak z nas żaden!

— Może go jednego ma? — wtrącił Żywczak.

— Dwu ich u niego — rzekł żywo Ryba.

Patrzali sobie w oczy, mieszczanin nie okazywał ochoty mieszać się w tę sprawę drażliwą.

— Powiedzciez mi czyj chłopiec jest? — zapytał powtórnie Żywczak...

— Nie zdradzicie mnie przecie? — przebąknął bakałarz.

— Albowm ja taki co za język ciągnie, aby człeka sprzedać? — ofuknął obrażony mieszczanin — po mnie się to nie okazało.

Wstał z ławy bakałarz i w ramię go pocałował.

— Miejcie litość — rzekł... Potem obejrzał się do koła i szepnął mu do ucha — Strzemieńczyka starszy...

Żywczakowi się oczy zaśmiały... wróżba była dobra... Znał on starego Cedrę i nie jeden się raz z nim waśnił, a nie mógł znieść dumy jego szlacheckiej, która przed mieszczkańskim dostatkem głowy ugiąć nie chciała.

— Strzemieńczyka chłopiec — zawołał. — Nie dziwota, że od niego ucieka, bo z tym katem nikt nie wytrwa. Zbój jest, tylko szczęście, że siły już niema, boby z nim codzien przyszło się borykać...

Wóz jeden kryty skórą idzie — dodał — chłopca do środka wsadzić każe i do Dukli a bodaj i do Starego Sądca powiozę, ale co potem, bo ja na Węgry zawrócę?

Bakałarz ręce aż złożył z wdzięczności i zawołał.

— Z Sądca pójdzie pieszo! radę sobie da... W klasztorze go pokarmią, bo tam panny od furty nikogo głodnym nie odprawiają...

Śmiał się Żywczak.

— Dobrze tak staremu panoszy! — dodał. — Jeść nie ma co, a swój szczyt tak nosi jakby złotym był i ludzi drugich niema za Boże stworzenia. Przekonają się wszyscy co zasz jest, kiedy od niego własne dziecko ucieka...

— A! — westchnął Ryba — chłopiecby srogość ojcowską zniósł, bo cierpliwy jest i pocziwy, ale uczyć się chce, a rodzic mu broni.

— Tak, aby z niego takiego niezdarę uczynił jak sam jest — krzyknął Żywczak. — Nie ujmuje ja czci szlachcie i panoszom, toć oni się biją i bronią nas a na świecie potrzebni są, ale i drudzy też ludzie, choć ziemię orzą i kupią wożą...

— Lub Boga chwałą — przerwał bakałarz.

Żywczak skłonił głowę.

— Chłopca więc weźmiecie? — spytał Ryba uradowany.

— Co nie mam go wziąć! — rzekł Żywczak. — Powiadacie, że to ma być Bogu na chwałę... a no i od kata wyzwolić też zasługa. Ino mi go jak dzień przyslijcie, bo ja na niego ani na nikogo czekać nie myślę. Komu w drogę temu czas. Dnie poczynają gorące być, chłodem trzeba do popasu.

— Sam go wam przyprowadzę — dziękując dodał odchodzący bakałarz.

Spieszył potem do szkoły, aby i dobrą wieść przynieść zamkniętemu i wyzwolić go z izby... Nie było się już co obawiać napaści starego Cedry, więc Grześ do komory przeszedł...

Gdy się to działo w szkole, Strzemińczyk ciągle na syna powrót oczekiwał. W głowie mu się to nie mogło pomieścić, aby dziecko śmiało od niego uciekać. To ukrywanie się po wczorajszym obiciu, wydawało się najsroźszej kary godnem. Bić go znowu wstręt miał i własnej popędliwości się obawiał, bo milcząca cierpliwość dziecka, wściekłość w nim rodziła... Postanowił więc, jak skoro się zjawi, w ciemnym loszku zasadzić go na chleb i wodę...

Czekał tylko rychło Zbilut, który też na niego czatował, da znać, że Grześ powrócił. Lecz oba czekali i wyglądali na próżno i gniew ojca coraz się wzmagał.

Po południu już zamiast zamknięcia do lochu, zaprzysięgał się obić go wprzódy i trzymać dopóty, póki by nie obiecał poprawy.

Nad wieczór niepokój się wzmógł, Grzesia nie było... Zbilut nawet do ojca nie śmiał się zbliżyć.

Nadzieja powrotu dziecka słabła coraz, stary Cedro to gniewem się unosił, to czynił sobie wyrzuty. Łzy mimowolnie zbierały mu się pod powiekami. Zbilut parę razy próbował zdaleka coś szepnąć do niego, i nie otrzymał odpowiedzi. Z twarzą zwróconą w stronę fary stał długo Cedro mruczając coś niewyraźnego, noc nadeszła. Grzesia nie było.

Idąc do snu i całując ojca w rękę, Zbilut coś chciał powiedzieć o bracie, Cedro nogą uderzył w podłogę.

— Słyszysz! żebyś mi więcej imienia jego nie ważył się wspomnieć!...

Zyskał na tem młodszy, że ojciec mając go jednego, z oka już na chwilę nie spuszczał.

II

We dworku Strzemińczyków, z pozostałych mieszkańców mało kto zasnął tej nocy. Najmniejszy szelest rozbudzał, bo się ciągle jeszcze krnąbrnego dziecka spodziewano. Ojciec wstawał kilka razy, szedł do okna i w mrokach dziedzińca upatrywał Grzesia, który już nie miał się tu pokazać. W starej szkole pod farą nikt też oka nie zmruczył.

Grześ miał odwagę dziecka, które się niczego nie lęka, bo nie zna niebezpieczeństwa. Nic go to nie obchodziło, że wybierając się na długą wędrówkę, miał na nogach stare, podarte chodaczki tylko, sznurkami na onuczkach poprzywiązywane, na grzbiecie koszulinę jedną zgrzebną, kubraczek szary połatany, a dla pokrycia głowy czapczynę lichą, pomiętą i poszarpaną. Bakałarz doświadczeńszy już, myślał, czy się go puścić tak godzi? Wprawdzie wiosna już była i dnie gorące, ale biedactwo odarte, wyglądało prędzej na żebraka, niż na dziecko szlacheckie, gdyby twarzyczka rozumna i piękna, nie płaciła za wszystko. Odzieży sam Ryba miał tak mało, że nie było się czem podzielić, a z niego na Grzesia nicby też nie przyszło. Krajać i obszywać nie było czasu. O lepszym więc na podróż przybraniu nie było co i myśleć, a chłopak odzież sobie lekceważył, byle grzbiet miał przykryty. Wiedział, że żebrak będzie musiał i strój mu się zdawał właściwy, bo mógł mówić za niego.

Żywczak miał go na wozie ukrytego podwieść do Dukli, ale o przekarmieniu mowy nie było, należało więc jaki taki posiłek zapewnić na dni pierwsze.

Trochę soli zawiązanej w szmatkę, kromka czerstwego chleba odkrojona z bułki bakałarza, którą on sobie odjął od gęby, gomółka zawiędłego séra, w które go opatrzone, zdawały się Grzesiowi aż nadto wystarczające i za te dziękował uradowany niespodziewanym zapasem.

Ryba miał jeszcze z dawnych czasów zachowaną jako pamiątkę, miseczkę drewnianą, którą sam niegdyś u pasa nosił, chodząc w Krakowie do szkoły. Spoczywała ona na półce nietknięta i pyłem przysuta. Zdjął ją, smutnie się przyglądając, oczyścił i milcząc podał

Grzesiowi, któremu przyszłego jej użytku tłumaczyć nie było potrzeba... Była to może największa ofiara ze strony bakalarza, któremu z dni młodości nic nad nią nie pozostało.

Z miską taką stawał chłopak pode drzwiami mieszczan, a litościwe gospodynie nakładały w nią kaszy lub klusek.

Ryba i Kantor gaduła, oczekując dnia, starali się przestrogami i naukami różnemi przygotować Grzesia do tego, co go w przyszłości czekało. Oba oni przeszli przez też same koleje i z własnego doświadczenia czerpali.

Opowiadali szeroko o swoich szkolnych latach, o życiu studentów ubogich i zwyczajach, do których się potrzeba było zastosować, o żebraniu, śpiewaniu pieśni pod oknami i wydrwiwaniu grosza od przełękłych żydów.

Bakalarz na tem największe pokładał nadzieje, iż Grzesiowi długo żebrać nie będzie potrzeba, bo nad wiek swój do pióra był wprawny, pisał bardzo pięknie, charaktery wszelkie naśladował misternie, a przepisywaniem naówczas, grosza było można sporo zarobić. Za proste Ojciec nasz płacono grosz, a za Donata dziesięć groszy. Grześ zaś nietylko kopiał pięknie, bez omyłek, z łatwością, ale pisał prędko i paliło mu się w ręku, co wziął do roboty. Oprócz tego piękny głos jego i śpiew, którym się zachwycano, mógł być także pomocą, bo pieśni pobożne i inne nucił na pamięć, na cytrze brząkał, a miał taką ochotę do gędźby, że nawet, gdy go nikt nie słuchał, sam dla siebie wyśpiewywał.

Wszystko to mu przyszło bez pracy prawie, ledwie cokolwiek pokazano, sam już potem z łatwością uczył się dalej, a starzy z podziwienia wyjść nie mogli. Wbijalo go też to może w pychę, ale dawało wiarę w siebie i to męztwo z jakim się ważył w świat, pewien że wypłynie.

Bakalarz bojaźliwszy, trochę mu rogów przycierał, podszeptując.

— A no! a no! co w Sanoku, to nie w Krakowie... Tam i kaligrafów siła jest i na śpiewakach nie zbywa... Posłyszysz, zobaczysz... będziesz się jeszcze miał uczyć czego...

Ale chłopak się tem nie zrażał... Ufał w to, że przy pomocy Bożej, da sobie radę.

Rozmawiając tak przy gasnącym kaganku, który syczał i pryskał w glinianej miseczce, Ryba coraz wyglądał przez okno, czy się brzask nie robi, aby z chłopcem nie opóźnić się do Żywczaka. Zaledwie na wschodzie szarzeń poczynalo, gdy raz jeszcze podszedłszy z nim pode drzwi kościelne i pokłękawszy na modlitwę, Ryba pustemi uliczkami poprowadził go do dworku mieszczanina. Rano było tak jeszcze, że nawet gospodynie do kądzieli nie powstawały, spało wszystko, ale u Żywczaka zastali już wozy z szop powyciągane, a przez okna widać było światło w domu.

Parobcy przy luczyszach smarowali i uprząż przygotowywali...

Bakalarz z chłopcem, niechając uprzykrzonym być, stanęli pokornie w ganku i czekali. W tem sam Żywczak wyszedł za czemś z izby, już odziany i podpasany, jak do podróży, a zobaczywszy klechę i chłopca, któremu o mroku porannym nie mógł się dobrze przypatrzeć, do izby ich wprowadził. Tu na kominie się paliło, a jejmość w jubce i chustce na głowie, polewkę grzała dla męża.

Spojrzał bystro mieszczanin na szlacheckie dziecko, nędznie odziano, ale tak pięknością rysów i szlachetną a śmiałą postawą uderzające, że co miał sztydzić z niego, sposępniał.

Z twarzy bił rozum i męztwo, zadziwiające w wyrostku. Żywczak odezwał się do niego pytając, czy nie lęka się w świat tak puszczać sam jeden...

— Bóg jest wszędzie — odparł Grześ śmiało. — Gdybym złego co myślał, bałbym się kary, ale na chwałę bożą chcąc pracować, nie boję się niczego; a co mnie spotka, przyjmę z pokorą.

Wymowna odpowiedź zamknęła usta mieszczaninowi, który popatrzył na dzieciaka, ramionami poruszył, głową pokręcił, a babie swej szepnął, aby mu kubek piwa grzanego dała.

Dostał i bakalarz swoją porcyę i byłby mógł podziękowawszy odejść, ale chciał dotrwać do końca, zobaczyć, jak się Grześ do wozu dostanie, i pożegnać go raz jeszcze...

Dniało coraz jaśniej, wozy co żywiej zaprzęgano, w domu ruch się robił większy, nadchodziła chwila odjazdu. Na pokrytym skórami pałubie z przodu siadłszy Żywczak uzbrojony, z tyłu za sobą ukazał miejsce Grzesiowi, który tak był zasłoniony, że gdyby nawet starego Strzemińczyka spotkali, domyślećby go się tam nie mógł.

Grześ zapląkał, żegnając bakalarza, wsunął się w kąt, i wozy z przed dworku ruszyły...

Co się tam w tej młodej głowie i sercu działo, gdy chłopak znalazł się sam na gościńcu, z ludźmi obcymi, na łasce ich, odurzony tem co go od dwóch dni spotykało, Bóg jeden wie... Myśli mu się plątały, radby był wyskoczył, wrócił, ojcu padł do nóg, to znowu nadzieja dziwna pchała w świat otwierający przed nim złote wrota... Dzień się wola boża! Noc spędzona bezsennie, znużenie, kołysanie się wozu, do którego nie był przywykły, wprędce twarde sen sprowadziły. Zasnął jak młodość tylko spać umie, i nie wiedział ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje, gdy około południa zbudził go Żywczak, pamiętający o nim, wołając do swej miski...

Nie rozpoczynał z nim rozmowy, bo do czynienia miał dużo, a sam doglądał wszystkiego, ba i ręki przykładał, ale głodem mu mrzeć nie dawał, tak że Grześ chleb swój i sэр na dalszą podróż ze Starego Sądca mógł oszczędzić. O niej też przemyślał ciągle, usiłując przewidzieć wszystko, co go spotkać mogło i przygotować się na to jak miał radzić w potrzebie...

W Dukli mało co się Żywczak zatrzymał, tak że chłopak ciekawy ledwie miał czas, z pod skór się wydobywszy, rzucił okiem na górę Cergowę i po pięknej okolicy. W miasteczku u rynku, gdzie stanęli, ruch był wielki, bo gościniec tędy wiódł na Węgry, z którym handel naówczas szedł żywo.

Grześ po raz pierwszy zobaczył tu nowych ludzi, których języka nie mógł zrozumieć, stroje i zbroje nieznanne, a krzątania ich wydała mu się po spokojnym Sanoku, dziwną i niemal straszną. Cóż to dalej być miało na świecie?

Żywczak, jak wszyscy woźnicy z kupią jeżdżący, rozpytywać się musiał o gościńce, o bezpieczeństwo, o mosty na rzekach i brody, które czasem w górskim kraju bywały nie do przebycia, a chłopak odpowiedziom się przysłuchiwał ciekawie.

Nie uszło też ucha jego, gdy kupcy z Węgier powracający rozpowiadali, jak król Władysław Jagiełło, właśnie tych dni z Węgier miał do Krakowa jechać, bodaj na Sądca Nowy, gdzie świeżo osadzonych Norbertanów klasztor chciał widzieć.

Głoszono też, że od Zygmunta Luksemburczyka, z którym się poprzyjaźnił, wiózł w podarku drogie dla Polski skarby, starą koronę Bolesławowską, szczerbiec, berło i jabłko, które był po koronacji swej zabrał król Lois do Budy. A była z tego radość wielka, gdyż do tych klejnotów, jak do relikwii świętych, wielką wagę przywiązywano.

Żywczaka mało może obchodziły skarby te, które do Polski powracały, a więcej, że przejazd króla, gościńce czynił bezpieczniejszemi i łatwiejszemi do przebycia.

Grześ zaś, dowiedziawszy się o królu, jak był umysłu zuchwałego, powiedział sobie, iż gdyby na pański dwór i obóz trafił, będzie za nim ciągnął także... Nie rozważył tego, iż pieszemu za konnemi nadążyć nie było łatwo.

W Starym Sądca z Żywczakiem się trzeba było rozstać. Grześ się już do tego gotował i gdy zamczył na górze w widłach Popradu i Dunajca się ukazało, jedną już nogą tylko był na wozie... Dotąd miał opiekuna i żywiciela, teraz poczynała się dopiero wędrówka o łasce bożej i własnym rozumie... Serce mu jednak rosło...

Gdy wóz stanął przed gospodą, opodał od klasztoru panien, do którego chłopak się chciał wprosić zrazu dla spoczynku, skoczył żywo Grześ i pospieszył, odkrywszy głowę, opiekunowi swemu dziękować, jak zwykle ubodzy, Bogu polecając zapłatę za siebie.

Żywczak, który mu się zdała z wielką przypatrywał ciekawością, w ciągu podróży podobał go sobie, poklepał po ramieniu kłaniającego się pokornie.

— Kiedy taka wola Boża i przeznaczenie twoje — rzekł — idźże zdrów... a masz choć parę groszy w saku na złą godzinę?

— Ani denara! — rozśmiał się Grześ — mnie pieniądze niepotrzebne. Kawałka chleba ludzie nie odmówią, a dobiwszy się do Krakowa, już tam bezpieczny...

Żywczak głową potrząsł, dobył z sakwy dwa groszaki białe i wcisnął mu je w rękę.

— Niech Bóg prowadzi.

Tak się z sobą rozstali. Grześ kij sobie nad drogą wylamawszy i przystrugawszy go, rozmyślił się, że do wieczoru czasu jeszcze dosyć było i wskazaną drogą, zamiast do klasztoru na odpoczynek, ruszył zaraz pieszo do Nowego Sądca.

Stał mu ciągle ów przejazd króla, na który po dziecinnemu rachował wiele. Myślał, że przy królu zawsze księży i pisarzów kilku bywało, do których się chciał dostać. Ale nadzieja ta omylić go miała.

W Starym Sądnczu wiadano tylko, że się króla spodziewano, ale kiedy miał przybyć, pewności żadnej nie było i czy stanownicowic już na zamek podążyli, bo ci zawsze pana poprzedzali.

W podróży na wozie Żywczaka wygodnie było chłopcu, na niczem mu nie zbywało, karmił gospodarz, a o drogę nie potrzebował pytać, teraz jednak, gdy się sam znalazł na gościńcu swobodnym, weselej mu się zrobiło i raźniej. Mógł czynić co chciał, odpoczywać, pospieszyć, rozmyślać i rozpatrywać się po okolicy.

Zaśpiewał po raz pierwszy od wyjazdu z Sanoka, bo przy Żywczaku głosu nie śmiał dobyć.

Piękne wzgórza otaczające, zielenią wiosenną okryte lasy i pola, śpiewające ptactwo, przechodzący ludzie, którzy przypatrywali mu się ciekawie i zagadywali go, wszystko zajmowało gorąco. Stawał sam do siebie uśmiechając się i czując wolnym... Słuchał, rozpatrywał się, a świat na podziw wydawał mu się pięknym. Dotąd wszystko mu się wiodło nadzwyczaj pomyślnie, ucieczka z domu, droga do Sądncza, opieka Żywczaka, dwa groszaki jego, które mu się ogromnym skarbem wydawały, nadzieja spotkania z królewskim dworem, dodawały odwagi i ochoty...

Jeśli się wiodło dotąd, dlaczego nie miałyby się powodzić dalej?

Na domiar szczęśliwych trafów, spotkał zaraz na gościńcu włościanina z wozem próżnym, który wyrostka pieszego zobaczywszy, sam mu się podwieść ofiarował.

Był to kmic, świątnik, ze wsi Norbertanom nadanej, który z kolei do posług przy klasztorze i kościele wyznaczony, na służbę jechał, a znał nietylko okolicę, ale w Wieliczcze i Krakowie nieraz bywał, od niego więc języka dostać było można.

Gadatliwy wieśniak wybadał zaraz chłopca, który się taic z niczem nie potrzebował. Zapewnił go, że nocleg pewnie w klasztorze otrzyma, bo księża ubogich od furty nie odpędzali, i żywili każdego dla miłości Chrystusa, sami z łaski króla będąc dobrze wyposażeni.

Gwarząc tak ze świątnikiem dojechali do miasteczka, a i nowe budynki klasztorne nieopodal widać było. Około zamku na górze, jako też na gościńcu, zbliżając się dostrzegli ludu siłę, kupami stojącego, nie było więc wątpliwości, że obiecany król, albo już przybył, albo też był spodziewanym co chwila.

Sprawdziło się to, gdy do klasztoru podjechali, z którego właśnie duchowieństwo wychodziło na spotkanie Jagielły. Ale to co Grzesiowi pomyślnem się wydawało, na złe mu wyszło.

Księża Norbertanie i co żyło tu, tak było królem i przyjmowaniem go zajęte, tłum ciekawych ze wsi pobliskich tak wielki, iż na biedną chłopię nikt nie spojrział.

Zepchnięty z drogi, gdy z wozu zszedł, Grześ musiał z większą gawiedzią w tłumie stać, i woźnicą swego, który mógł mu być pomocą, zgubił.

Wynagrodziło mu się to tem tylko, że widział przeciągający orszak królewski i samego pana na pięknym koniu, ale w szarym kubraku dziwnie wyglądającego wśród okazałego dworu i lśniących od zbroi rycerzy, tak że się wierzyć nie chciało, aby królem mógł być...

Tuż za nim ciągnęły poczty wielkie, jazda różna, wspaniale poprzyodziejwana, wozy wielkie ładowne, i chłopskie pełne zwierza po drodze nabitego, koni pod kapami moc a koło nich ciurów z obuchami i halebardami mnóstwo...

Gdy Jagielło na zamek pociągnął, a lud się powoli rozplywać począł, pomyślał Grześ o sobie, ale za orszakiem się wlec nie było sposobu, bo cisnących się odpędzali pachotkowie, więc do niedokończonego opactwa, które jeszcze murowano, usiłował się dostać.

Tu by mu pewnie innego czasu nie odmówiono gościny, ale teraz tak pełno było tych co się na zamku nie mogli pomieścić, że Grześ do bramy się docisnąć nie umiał i musiał na miasteczko iść, do mieszczanina gdzieś wprosić do szopki na siano.

W natłoku tym o pomieszczenie łatwo nie było, i od chaty do chaty chodząc, trafił wreszcie na litościwą duszę. Starowina mieszczanin w pustym chlewku mu się przespąć pozwolił. Trochę słomy znalazłszy w kącie, przeżegnał się Grześ, legł i zasnął tak, że go dopiero rzenie koni o białym dniu zbudziło.

Wyszedszy z szopy zastał już wszystkich na nogach. Pobiegł co prędzej umyć się do studni, podziękował staremu za gościnę, i dowiedziawszy się od pierwszego spotkanego w ulicy człowieka, że król już w dalszą drogę do Krakowa na Wieliczkę pociągnął, nie tracąc czasu ruszył też w tę stronę.

Za miasteczkiem dopiero, kawał drogi uszedłszy, siadł, głód, który się dał czuć, zaspokoił chlebem i serem bakalarza. Pierwszego, który suchym był gdy mu go dano, byłby nie ukąsił wodą nie odwilżywszy, ale się ta szczęściem nad drogą znalazła i suchar z solą i serem dobrze smakował. Trzeba go było jednak oszczędzać, bo nie przewidywał gdzie i jak się pożywi, a groszy, które mu dał Żywczak, naruszać nie chciał. Tymczasem słońce przypiekać zaczęło i podjadłszy trochę, Grzesz w dalszą puścił się drogę.

Tego dnia żaden wóz ani miłosierna ręka w pomoc mu nie przyszła. Musiał iść pieszo, popijając wodę z ruczajów i studni, zmęczony przypadając pod wierzbami i w zaroślach przy gościńcu, i tak pod wieczór przywłókł się do kościelnej wsi, wprost kierując się na plebanię.

Szkoły tu żadnej nie było, kościółek drewniany, niewielki, stary, probostwo pod słomą, a w miejscu plebana wikary gospodarzył. Ten zrazu ostro i szorstko przyjął ubogiego chłopca, zowiąc go włóczęgą i szaloną palką, a grożąc mu że się zmarnuje i t. p., ale powoli odpowiedzi Grzesia roztropnych i pokornych wysłuchawszy, trochę się ksiądz udobruchał, odesłano go do starej gospodyni na kuchnię, a ta, choć także na darmożądów i żebractwo wyrzekała, dała trochę ostygłej kaszy ze skwarkami, chleba kromkę i na siano do szopy spać wyprawiła gościa.

Gdy z rana zadzwonił dziać kościelny na mszę świętą, Grzesz poszedł się też pomodlić, a że trafił na śpiewanie różańca i on też głos podniósł. Pewnie z serca Bogu na chwałę nucił, ale i ze śpiewem rad się był popisać może, bo wiedział, że głos ma osobliwy, czysty, łagodny, przenikający. Wszyscy ku niemu głowy podwracali.

Po nabożeństwie już się miał tylko z wikaryuszem pożegnać, gdy ten sam go zawołał, pochwalił śpiew piękny i zaciągnął z sobą na plebanię. Tu na nowo badać go zaczął pilniej, a gdy chłopak pochwalił się, że i pisać umie niczego i wiele modlitw w Sanoku dla księży i ludzi pobożnych przepisywał, wikaryusz zażądał próby, zatrzymując go na ten dzień dla spoczynku u siebie. Nie opierał się Grzesz, bo niewprawny jeszcze do chodu, czuł się dosyć zmęczonym i tak dnia tego, zamiast iść dalej, siadł dla wikarego na papierze wydartym z agendy kaligrafować pod dyktą *Skład apostołski...*

Nie spodziewał się widać księżyna takiego w młodym chłopięciu talentu, jaki Grzesz okazał, i zdumiał się pisaniu więcej jeszcze niż śpiewowi. Radby go może dłużej zatrzymać u siebie, przy kościele, ale chłopak miał mocne postanowienie dostać się do Krakowa, i księdzu podziękowawszy, nakarmiony, z podwojoną odwagą następnego ranku wyruszył w drogę. Wikary litościwie świeżym go chlebem i sera gomółką opatrzył, a drogę mu do Wieliczki rozpowiedział tak dobrze, nauczywszy gdzie się miał zatrzymywać na spoczynki i noclegi, że Grzesz prawie już nikogo o to pytać nie potrzebował.

Wiodło się tak podążającemu co sił starczyło Grzesiowi, szczęściem różnym, a co pierwszego dnia znużenie czuł wielkie, później nabrawszy sił i oszczędzając je, chłodne ranki wybierając do podróży, a odpoczywając w południe, nie czuł już prawie zmęczenia. Księża nie odmawiali nigdzie noclegu i jakiegokolwiek pokarmu, choć niektórzy ramionami ruszali i uśmiechali się z tej jego podróży do Krakowa, nie wierząc, aby wyrostek mógł wybrnąć o swej sile, wśród wielkiego miasta, w którym łatwiej było zepsuć się niż czegoś nauczyć. Radzili mu niektórzy rzemiosło, nie wiedząc że szlachcicem był, inni strofowali za nieposłuszeństwo przeciw rodzica woli.

Dowlókl się wreszcie tak, słoty i burzy, błota i kurzu zakosztowawszy, boso, bo chodaki nie wytrzymały podróży i resztki ich na miasto trzeba było zaoszczędzić, do Wieliczki.

Wiedział, że już ztąd do Krakowa było niedaleko. Murami obwiedziono miasto, około którego ruch był większy daleko niż w Dukli, bo nieustannie ztąd na wszystkie strony sól wywożono i fury przybywały dla zabierania jej, zamożność mieszkańców, różność języków, bo Niemców i żydów wałęsało się dużo, w początku Grzesia onieśmieliły. Nie było do kogo się udać, mało kto chciał odpowiadać, każdy tu myślał o sobie, a mieścina wyglądała na jedną wielką targowicę. Do gospód, których tu siła było, nie śmiał zachodzić, boby go tam nie przyjęto, a wszystkie też napchane mu się wydały, pod kościół więc podążył, gdzie na młodego wikaryusza natrafił, który się nim ochoczo zaopiekował.

Miał Grzesz taką twarz szczęśliwą, że na niej wypisane stały uczciwość i pojętność, a choć mu na męztwie nie zbywało, przez surowego ojca wychowany, umiał być pokornym i starszych szanował. Ujmowało każdego sieroctwo dobrowolne i ta miłość nauki, która go z pod strzechy domowej wyгнаła.

Wikaryusz rozpytawszy się chłopca, wziął go do izby z sobą. Sam uboższego sołtysa syn, o własnej sile doszedłszy do święceń i kapłaństwa, znając Kraków i młodzież tę, która się do szkół jego cisnęła, lepszemu losu spodziewając, nie zdziwił się Grzesiowi, ani mu męztwa nie odbierał. Począł tylko po trosze wybadywać co umiał i jak miał w głowie, a znalazłszy go usposobionym nad spodziewanie, rokował najlepiej.

— Biedy już ci przycierpieć przyjdzie — rzekł — ale komu Bóg dał cierpliwość a wytrwanie, wybrnie szczęśliwie...

Z Wieliczki do Krakowa codziennie wozów tyle idzie z solą na skład, że drogi pytać nie potrzeba. Pójdziecie za pierwszym lepszym woźnicą, a traficie łatwo. Przybywszy trzeba do bakalarza i mistrza u Panny Maryi zgłosić się, nikogo tam nie odpychają...

Pan Bóg miłosierny... Gdyby u Panny Maryi was nie przyjęto, jest ci oprócz tej szkół dosyć, u św. Anny, przy kościele Bożego Ciała, u św. Floryana, przy szpitalu św. Ducha...

Machnął ręką.

— Jest prawda i ubogich chłopiąt dosyć jak ty, ale jednym więcej, nie ogłodzisz Krakowian.

Wikaryusz tak był dla Grzesia dobrym, że mu u siebie w izbie dał przemocować i nakarmił go jak żaden jeszcze. W Wieliczce wszędzie dostatek widać było wielki, mieszczanie, robotnicy, gmin zażywno i wesoło wyglądali. Prawda, że i hałaśliwo też było po gospodach i browarach, a w ulicach do późnej nocy krzyki i śpiewanie się rozlegały. Ani się dziwić temu było potrzeba, bo się tu ludzi tyle ściągało, woźnic, gawiedzi, siłaczów do dźwigania ciężarów, handlarzy, przekupniów, iż spokojnie być nie mogło.

Nazajutrz rano, po mszy świętej, wikary mając miłosierdzie nad Grzesiem, naraił mu wóz, który kupca z Krakowa tu przywiózł i tak jak próżno powracał... Pozwolono mu się przysiąść ztytu, tak, że tegoż dnia nareszcie już się do Krakowa dobić spodziewał.

Z bijącym sercem wyglądał tylko, rychło się gród ten okaże, o którego wielkości tyle się po drodze nasłuchał, iż równie żądał dostać się do niego, jak lękał w nim znaleźć.

Tu dopiero losy jego przyszłe rozstrzygnąć się miały...

Podróż na wozie nie tak jednak była pospieszną, jak się Grzesz spodziewał. Kupiecki woźnica żadnego szynku nie pomijał, stawał przed każdą gospodą, zasiadał się w niej i pił, gdy konie głodne, z głowami spuszczonej razem z chłopcem godzinami czekać musiały. Prawda, że napili potem smagał je i ruszał z kopyta, ale byle wiecha się pokazała nad drogą i konie znarowione i on się zatrzymywał.

Grzesz w końcu postrzegł się, że jużby rychlej pieszo podążył, a miarkował, że do stolicy nie musiało być daleko. Gdy więc woźnica w lasu raz jeszcze stanąwszy na piwo szedł, skarżąc się, iż upał był nieznośny, chłopak pożegnał go i na piechotę ruszył, bo dłużej wytrwać nie mógł.

Dzień był piękny i pogodny, a słońce już się miało ku zachodowi, gdy Grzesz z wozu zląwszy, wielkim gościńcem puścił się ku miastu, którego bliskość czuć było...

Coraz gęstszy przechodnie, jezdni, wozy, żebractwo, wojskowi ludzie, pachołkowie, coraz też więcej budowli i szałasów nad drogą, sam gościeńcem kołami porznięty, rozjeżdżony szeroko, oznajmywały gród ludny...

Było na co patrzeć, czego słuchać, ale i strzedz się też czego, bo napływających a zuchwałych wałęsało się mnóstwo i bójki też wśród drogi pomijać musiał.

Brzegiem więc, ścieżyną, powoli szedł Grzesz dumając, gdzie dziś noc przepędzi... Okolica przedmiejska źle rokowała, kiedy w niej tak było gęsto i ludno, cóż dopiero w mieście samem?

Myśląc tak i niebardzo pospieszając, krok za krokiem szedł chłopak oglądając się czy do kogo nie będzie mógł przypytać, gdy naprzeciw niego ukazało się dwóch wyrostków, prawie tegoż co on wieku. Jeden z nich na plecach niósł wielki pęk różnego zielska, którego użytku nie umiał sobie Grzesz wytłumaczyć. Nie było to ani siano jakim bydło i konie karmią, ani też ziele jakie gospodynie dla chlewni pod płotami wyrzynają. Więcej kwiatów widać było niż liści.

Drugi przy nim idący, starszy trochę, także pęk ziela miał w ręku i nakopanych korzeni...

Strój obu tak był niemal ubogi jak Grzesia, kubraki wyszarzane, czapki wypłowiałe, tylko że oba na nogach mieli chodaki, a nie obcy tu musieli się czuć, bo wesoło i śmiejąc się gwarzyli, z przejeżdżających i przechodzących żarty sobie strojąc.

Byłby ich może Grześ pominął, gdyby w tej chwili nie zaciążyło im owe zielsko, i rzucawszy je na ziemię, oba około niego pod krzakiem przypadli odpoczywać.

Chłopak zbliżający się powoli wpadł im w oko. Swoją swego najłatwiej wszędzie dopatrzy... Drewniana miseczek bakałarza wisząca u pasa Grzesiowi, była jakby znakiem jego powołania.

Mając siedzących minąć, Grześ ich pozdrowił.

Starszy, któremu z oczów patrzyła swawola, wesołość i śmiałość, podniósł rękę i powołał go do siebie.

— Ani chybi — odezwał się — idziesz pewnie do szkoły.

— A dokądżeby jeśli nie do niej — odparł Grześ. — A juściż?

— Zkąd?

— E! zdaleka bardzo!

— A no, nie z Tatarszczyzny pewnie? — zaśmiał się starszy.

— Z Sanoka!

Chłopcy popatrzyli na się... Niewiele myśląc Grześ, pot z czoła otarłszy, przysiadł się do nich. Oba studenci oglądali go od stóp do głów, aż młodszy bąknął.

— Bosy!

— A tyś to w żółtych butach tu przyszedł? — przerwał starszy i zwrócił się do Grzesia.

— Umiesz-że choć obiecadio? — zapytał.

— Nie bójcie się, jużem i Donata kosztował i z partesów śpiewam i z piórem się obchodzę jak należy — rzekł Grześ z pewną dumą.

— Daj go katu! — rozśmiał się starszy — a czegoż się tu myślisz uczyć?

— Juści znajdzie się jeszcze wiele, nim bakałarzem albo i mistrzem zostanę — śmiało odparł Grześ.

— Ho! ho! wysoko patrzy bosonogi! — rzekł drugi.

Śmieli się wszyscy a Grześ z nimi...

— To mi sam Pan Bóg was w dobrą zesłał godzinę — odezwał się po małej chwili.

— Nie odmówicie mi głuptaszki, co ani miasta, ani ludzi nie znam, pomocy i rady...

Starszy w oczy mu zaczął patrzeć.

— Pójdiesz z nami — rzekł — nie na wiele my ci się zdamy, ale dobra psu mucha.

— Przydadcie mi się, byleście chcieli, na bardzo wiele — odparł Grześ — a Bóg wam zapłaci.

Wtem starszy z podelba zerknął.

— Nim Pan Bóg się rozrachuje z nami, gdybyś tak piwa albo podpiwku kazał dać, nie byłoby od rzeczy... Masz za co?

Zarumienił się Grześ mocno, bo kłamać nie chciał, a groszy jedynych jakie miał od Żywczaka, bardzo mu żal było.

— Całe moje mienie dwa grosze w kalecie — rzekł wzdychając — dla siebiebym ich nie ruszył pewnie, ale dla was...

Starszy się namarszczył.

— Za podpiwek, cienkusz nie zapłacisz wiele, a znajomość oblać potrzeba... Przeszedłszy do szkoły będziesz i tak musiał zmienić swój skarb i wkupić się do trzody... Zrobim tutaj początek...

Rad nie rad Grześ z węzła u koszuli jednego groszaka dobył, a starszy z nim poszedł do bliższego szynku po piwo, obiecując odnieść resztę pieniędzy.

Pozostawszy sam na sam z młodszym, zapytał Strzemińczyk na co ziele to zbierali i dokąd je nieśli.

— Nie taki to łopuch i zielsko paskudne jak się tobie zdaje — odpowiedział chłopak śmiejąc się. — Masz wiedzieć, że to wszystko do leków i dla zdrowia ludzkiego przydatne będzie, gdy ks. kanonik Wacław, dla którego my zbieramy kwiaty i korzonki, przyprawi je jak należy.

Pokazał nam on, jakie rośliny mu są potrzebne i dla niegośmy je wykopywali i zbierali. Są takie, których sam kwiat obrywać każe, innych korzonki kopać, innych samo liście osmykać.

Tu chłopak począł z kupy wyciągać co niósł i zdumionemu Grzesiowi ukazywać.

Tymczasem starszy, któremu imię było Dryszek, powrócił z piwem i pieniędzmi, wiernie denarów resztę Grzesiowi oddając... Zasiadli do podpiwka i rozmowa się dalej toczyła. Z początku niewiele sobie przybysza tego ważyli, już poduczeni studenci, zwłaszcza, że z takiego zapadłego kąta jak Sanok przybywał, ale gdy bliżej go poznali, starszy go oszacować potrafił. Zgadało się o pisaniu, więc Grześ, nie mając się z czem chwalić, przyznał się, że na niem wielką pokładał nadzieję.

Obaj studenci, którym pismo nie smakowało, bo nad niem dobrze przysiadywać było potrzeba, mówili, że mu nie zazdrościli tej umiejętności.

— Z tem się nie wydawaj, że piszesz dobrze, jeżeli to prawda, że sanockie dobre pisanie, w Krakowie też niegorszem będzie — rzekł starszy. — Mistrze i bakalarze, gdy się tylko dowiedzą, że ci pióro rażno w rękę chodzi, pokoju nie dadzą, żebyś im Donatów i Aleksandrów, albo i Prisciana przepisywał... Zamęczą cię u pulpitu i uczyć się nie dadzą...

Grześ na to nie odpowiedział, nie siedzieli już długo, bo wieczór nadchodził, więc cienkusz dopiwszy, który ich pokrzepił, ziele zabrawszy, dalej do miasta ciągnęli. Nie sam więc i pod opieką rówieśników, miał się do niego Grześ dostać, co mu śmiałości dodało.

Gdy wreszcie ukazał się oczom ich Wawel piętrzący się na wysokiej górze, wieże kościołów, miasta mury i bramy a baszty potężne, a budowle w zielonych ogrodach rozsiadające się szeroko, chłopak nie mógł się wstrzymać od wykrzyku, zdjął czapkę, przeżegnał się i począł modlić.

Strach go ogarnął...

Uśmiechali się z niego Dryszek i Samek z początku, lecz i im na myśl przyszło jak oni pierwszy raz tu się dostali i drżeli a płakali zwątpiwszy o sobie...

Gród wielki, który chłopak miał przed sobą, nie dawał się ani porównać do tego, co w życiu swem widział, do ubogiego Sanoka, większej już Dukli i Wieliczki, malejących wobec tego olbrzymia w zbroi kamiennej, wieżycami nasrożonej.

Zdala już dychało to miasto głośno i jakby zmordowane wyziewało dymy i opary... Dzwony wieczorne odzywały się nad niem jęcząco i wesoło... Wybiegające w niebo dzwonnice i wieże, zdawały się stać na straży i w dal patrzeć... Gościniec pod wieczór, im bliżej ku wrotom, tem był pełniejszy...

— Cóż wy ze mną zrobicie? — zapytał ich Grześ. — Jak myślicie? gdzieby mi o nocleg prosić i gospody szukać?

— Na tę noc — rzekł Dryszek — chyba gdzie zakonnicy przyjmą, ale i u nich zawsze pełno. Ja mam u mieszczanina kąt, ale tam na drugiego miejsca niema, a gdyby było, mój stary niełatwoby nieznanego wpuścił.

— Ja — dodał Samek — w kómórcie u księdza Waclawa nocuję, za co mu służyć muszę. Ten także ladakogo nie przyjmie, a pod noc rozmówić się z nim niełatwo... Ze studentów wielu nie ma gdzie głowy położyć i sypia pod murami i po pustych szopkach... Noc wiosenna niedługa, choćbyście też ją na ziemi gdzie przebyli!!

— A gdzież was jutro napytam? ja, co miasta nie znam? — odezwał się Grześ.

Samek podumał.

— Idź ze mną — rzekł — przy ulicy św. Anny wiem plac, kędy dom murują. Stoją tam tarcice o parkan oparte, pod któremi na trawie jak w pałacu spać będziesz, a jutro ja was tam znajdę, albo wy mnie koło szkoły św. Anny.

Gwarząc tak pominęli bramę i Grześ znalazł się w ulicach, wśród których i znającemu lepiej miasto, o mroku niełatwo było się pokierować. Byłby się obłąkał, gdyby Samek nie wziął go z sobą, ale musiał za to od Dryszka ziele przejąć i korzenie i nieść je za nim, bo starszy około Panny Maryi u mieszczanina miał przytułek...

Gdy tak szli ulicami coraz dalej w głąb miasta, Grześ nie mógł się napatrzeć tego, co mu się nastęczało i nieustannie Samka pytał, który śmiejąc się tłumaczył mu każdą rzecz, na pół po prawdzie, pół drwiąco... Bacznemu chłopcu nic nie uszło i straconem nie zostało.

Odgadywał też wiele i był pewien, że kilka dni starczy dłań, aby się tu nie czuł obcym...

Po drodze do mieszkania ks. Waclawa kanonika krakowskiego, Samek pokazał towarzyszowi ów parkan i tarcice, pod które się miał na noc schronić... Ale, stało się inaczej...

Ziela i korzonków nakopanych nie mógł wszystkich do komory kanonika zanieść Samek, Grześ je dźwigał za nim. Mieszkanie ks. Waclawa na piąterku było. Weszli już na

ciemne wschody niewygodne, których nieznając Grześ, macać musiał ostrożnie i dobrze się trzymać poręczy, gdy szelest usłyszawszy niespokojny księżyna, wyszedł z kagankiem.

Miał już zapewne polajac spóźnionego posłańca, gdy razem w oko mu wpadły i ziola, których zapach aromatyczny do niego dochodził i twarz piękna, z ciekawymi czarnymi oczyma nieznanego chłopaka.

Podstąpił naprzód niecierpliwie ku kwiatom, które z widoczną radością chwycił w palce, zaczął rozpowiadać gdzie i jak złożone być miały, potem zwrócił się do Grzesia.

— A tyś zkąd?

Nim chłopiec zebrał się na odpowiedź, Samek już z gadatliwością dziecinną, paplał o spotkaniu na gościńcu, a ksiądz, kaganek zbliżywszy ku twarzy Grzesia, przyglądał mu się ciekawie.

— No, i cóż ty myślisz! gdzie będziesz nocował? — odezwał się kanonik.

— Pod tarcicami — odparł śmiało przybyły...

Kanonik ramionami ruszył i zwrócił się do Samka.

— Weź go na ten raz do siebie — rzekł — miejsca nie ma, ciasno, ale go tak precz wyrzucić się nie godzi, tylko żeby mi żadnej swawoli nie było.

Pogroził palcem. Grześ, nie rzucając swego ciężaru, zbliżył się, aby go w rękę pocałować. Otwarto drzwi komórki, w której rośliny schnąć miały. Kanonik wszedł do niej także, aby dopilnować rozłożenia ich, i rad był, że Grześ roztropnie dopomógł do tego. Uderzyła go widać fiziognomia przybłądy, bo nie dosyć, że mu nocować pozwolił u siebie, ale go do izby swej powołał dla indagacji. Poznać było można po niej uczonego owych czasów, w których chciwi umiejętności ludzie, chwyтали wszystko co ich na drogę nowych odkryć lub dla przeświadczenia się o podaniach zawartych w pisarzach starożytnych, mogło prowadzić. Komora zarzuconą była księgami, naczyniem różnym, kośćmi, szczątkami zwierząt i nieznanymi narzędziami, które w Grzesiu ciekawość i poszanowanie wzbudzały. Stanął zdala, pokornie u progu, wielkie wytrzeszczając oczy.

Kanonik z zajęciem słuchał jego opowiadania, chociaż pochwalić nie mógł oporu rodzicielskiej władzy. Naganił to chłopcu więcej z obowiązku, niż z przekonania.

— Nauka, moje dziecko — rzekł w końcu — piękna rzecz, ale *ars longa, vita brevis*, to znaczy, że więcej jest do uczenia się niż życia starczy i nie każdemu dano dobić się do świątyni mądrości, a każdy może i powinien być poczciwym człowiekiem... Tak, nauka dobrą jest rzeczą, ale i złą być może, gdy upaja i w dumą wbija.

Idź spać i spocznij, a jutro pomyślimy o tobie...

Samek niemal zazdrośnym był, że się tak Grzesiowi powiodło... Położyli się więc spać milcząco, a choć biedny wędrowiec miał o czym myśleć, młodość zwyciężyła i ledwie legli, zasnął mocno...

Rano obudził go Samek. Kanonik bowiem wstawał do dnia... Grześ razem z towarzyszem poszedł na mszę do świętej Anny.

Tu wpadł niespodzianie między całą gromadę przyszyłych współuczniów, którzy także na ranne nabożeństwo się stawili. Stanął z boku nie śmiejąc się do nich przyłączyć, a wszystkich oczy skierowały się na niego. Wytrzymał te szyderskie i nie zbyt przyjacielskie wejrzenia...

Wyglądał biednie i oszarpano, ale tego nie miał się co wstydić. Inni też nielepiej byli odziani. Wielu miało podarte chodaki, kurtki i kubraki łatane, koszule niebielone i twarze wynędzniałe. Niemal wszystkim jednak z oczów patrzyła odwaga, oswojenie się ze swym losem, pewność jakaś, której Grześ nie miał jeszcze.

Studenci zaczęli śpiewać pieśni pobożne w czasie mszy, znane dobrze Grzesiowi, nie miał za grzech i on głos podnieść. Być może, iż i tu rachował na ten swój śpiew w Sanku sławiony. Jakoż oglądano się na niego, ale i drudzy zawadzili niegorzej a wprawniej i piękny głos jego zagłuszono.

Ubogich tych chłopców spora była gromadka, tak różnego wieku, że niektórzy pod wąsem już, dorośli stali obok berbeciów, którzy im i do pasa nie dochodzili.

Zuchwałe miny starszyny tej dowodziły, że ona tu przewodzić musiała. Wiedział z doświadczenia Grześ, iż wszędzie przybywający obcy i guzami i pokorą opłacić się musiał, był do tego przygotowany. Reszta groszy od Żywczaka otrzymanych była już na to przeznaczoną, aby pierwszą burzę odwrócić.

Przy wyjściu z kościoła otoczyli go zaraz studenci, ale Samek im coś szeptnął i dali powrócić do kanonika, który zapowiedział, że się z Grzesiem rozmówi, a poniekąd opiekę mu swą przyobiecał. Ciężka więc ta pierwsza godzina do przebycia, odroczoną została.

Ks. Wacław powracał do mieszkania, a Grześ w ślad za nim dążył...

III

Dobrą godzinę stał ciekawy Samek podedrzwiami kanonika, ucha nastawiając, aby rozmowę jego z Grzesiem usłyszeć, ale, czy drzwi były grube, czy głosy za ciche, nie pochwycił wiele. Tem się tylko niepokoił, że badanie trwało zbyt długo.

Znając Grzesia i jego talenta, łatwo się było domyśleć przyczyny. Pochwalił się z piśmem nieborak, księdzu w ten tak przedwczesny dar łatwego kaligrafowania wierzyć się nie chciało. Zasadził chłopca na próbę, a Grześ się z niej świetnie wywiązał.

Na wzór liter w rękopiśmie sobie ukazanych, narysował ich kilka bardzo zręcznie, ksiądz Wacław się zdumiał mocno, lecz nie chciał chłopcu okazać, jak go odkrycie to ucieszyło, ani wzbijać w dumę, pochwalił chłodno... Obiecywał sobie z tego szczególnego uzdolnienia korzystać.

Kilka odpowiedzi na zadane pytania z Donata i gramatyki dowiodły, jeśli niewielkiej nauki, to roztropności chłopca, która wiele obiecywała. Wszystko to nęciło kanonika, aby wziąć Grzesia do swych usług, ale dwu trzymać nie mógł, a Samka odpędzić tak nie chciał, dla własnej wygody.

Ogólnemi więc słowy, poleciwszy chłopcu, aby się w potrzebie zgłaszał do niego, odprawił z tem, żeby się szkoły świętej Anny trzymał, gdzieindziej nie szukał pomieszczenia...

— A teraz pierwsza rzecz — dodał — kiedy z jałmużny żyć musisz, abys się do ojca zebrzących udał i pod jego poddał władzę.

To mówiąc kanonik drzwi otworzył i Samka chciał zawołać, a stało się to tak niespodzianie, że chłopak ledwie zdołał odedrzwi odskoczyć, aby nie być złapanym na gorącym uczynku.

Nadbiegł Samek przestraszony...

— Idź mi z nim do Patra mendikantów (*Pater mendicantium*) — rzekł kanonik — powiedz mu, że ja go posyłam i że do szkoły przy świętej Annie ma chodzić. Niech go sobie zapisze i wyznaczy kędy ma jałmużnę pobierać...

Odebrawszy rozkaz ten, dodany przewodnik razem z Grzesiem zbiegł ze wschodów z kwaśną miną.

Obawiał się współzawodnika...

Ledwie doszli na dół, gdy Samek nie wytrzymałszy, zawołał srożąc się do wczorajszego przyjaciela.

— Ty! Lizunie jakiś! Już się kanonikowi przypochlebił! No, patrzajże, jak on dla ciebie mnie przepędzi, nie masz tu co popasać. Zbijemy tak, że żyw nie będziesz.

Grześ pobladł trochę.

— Czego ty chcesz odemnie? — odparł. — Anim się myślał lizać twemu kanonikowi, ani miejsca twego nie zajmuję. W szkole dla wszystkich dosyć jest...

To mówiąc Grześ chciał go porzucić i iść już sam, gdy chłopak się pomiarkował i wziął go za rękaw...

— Choć ze mną — dodał — kanonik kazał, zaprowadzić cię muszę do Patra, ale pamiętaj!!

Pogroził mu.

Owego ojca zebrzącej młodzieży zwano Żurawkiem, mieszkał on na tyłach domku przy Kanonnej ulicy, a był chłop już dorosły, wąsaty i nietylko studenci, ale i mieszczaństwo się go obawiało.

W dwunastu ówczesnych szkołach kościelnych, co najmniej kilkaset chłopców się znajdowało ubogich, pod zwierzchnością Patra zostających. Wszyscy oni na jego skinienie gotowi byli, a nikt porządku między tą swawolną gawiedzią utrzymać nie mógł, oprócz niego.

On jeden miał prawo ćwiczyć, do kuny czyli karceresu sadzić, i niepoprawnych z miasta wyświecać.

Żurawek miał pewnie lat do trzydzieści, szkołę elementarną dawno skończył i zapomniał czego się w niej uczył, sam nie wiedział jak przyszedł czasu jakiejś zawieruchy przy pogrzebie żydowskim do zwierzchnictwa nad pauprami, a że energiczny był i surowy, władzę przywłaszczoną zostawiono przy nim.

Chodził Żurawek, obyczajem wieku w sukni klechy, niby duchownej, ale o powołaniu tem wcale nie myślał, ani o przyszłości, bo mu z tem ojcowstwem ubogich wcale dobrze się działo.

Żydzi mu się opłacali dla spokoju, aby paprom nie dozwalał znęcać się nad niemi, mieszczanie go częstowali też, aby porządku między chłopakami pilnował, bo starsi nieraz się dopuszczali bójk i czeladzią rzemieślniczą i jeden Żurawek mógł ich w ryzie i garści, jak powiadał, utrzymać.

Choć w czarnej sukni kleryka chadzał, postawę miał wcale nie kleszą, i więcej na pacholka lub wiertelnika wyglądał. Nie wolno było uczącym się nosić żadnego oręża i do sukni duchownej on nie przystawał, ale przez szpary patrzano na to, że Żurawek zawsze chadzał z obuszkim lub nawet kordem pod połą. Potrzebował on ich, bo często zważnionych gołemi rękami rozerwać nie było można, trzeba było bić kijem lub płazować.

Plecu szerokich, słuszny, kościsty, niskiego czoła, oczu wpadłych, twarzy zawsze skrzywionej i nadąsanej, Żurawek strach wzbudzał w dzieciakach... Głos też miał taki, że gdy na rynku krzyknął, niemal go u Floryańskiej bramy słyszać było...

Chodził poważnie, nie spiesząc, ale nogi mając długie, dognał zawsze kogo mu pochwycić było potrzeba.

Gdzie się żywił i czem odziewał, on sam wiedział tylko, nie stołował się nigdzie, ale głodny nie był, i na piwie, które lubił, nie zbywało. Karmili go i poili wszyscy, od żydów począwszy do duchowieństwa.

Z podwładną sobie młodzieżą nie obchodził się łagodnie, utrzymując, że te wszy, (tak się nieprzyzwoicie wyrażał), zjadłyby go, gdyby ich nie karmił. Dobrego słowa nie dał nigdy nikomu, a rzadko która czupryna i uszy ostały się przed nim całe.

Miał to za zasadę, że potrzeba było przy pierwszym spotkaniu postrach obudzić, bo inaczej posłuszeństwa utrzymać nie można.

Nie folgował nikomu, i wiedziano, że z nim nie przelewki.

Samek nie ostrzegł o tem Grzesia, co go u Żurawka czekało, zły już na niego był i życzył mu, co ominąć nie mogło, aby Pater zażył go z mańki.

Wchodzili na Kanonną, gdy Samek postrzegł wychylającego się z kamienicy swej Żurawka, z obuchem w ręku i twarzą zarumienioną. Pospieszył więc biegiem naprzód, aby poselstwo sprawić od kanonika, i Grzesiowi wskazawszy Patra, sam drapnął.

Namarszczony stał Żurawek, oczekując zapowiedzianego papra. Począł ostro go pytać. Grześ, choć się strwożył, nie czuł się winnym, odpowiadał śmiało, Pater jeszcze mocniej się nasrożył słuchając.

— Kto nie słucha ojca, matki, musi słuchać byczej skóry! — zawołał Żurawek w końcu. — Rozumiesz ty to? He? Zbiegłeś z pod kańczuka ojcowskiego, ale ja też mam dyscyplinę i nie żałuję jej.

Chłopak milczał czy spuściwszy...

Nastąpiły pytania i odpowiedzi, przyjmowane szydersko, a po nich powtarzane groźby... W końcu nałajawszy Grzesia bez winy, Żurawek poprowadził go z sobą, aby mu ukazać te domy i ulice, w których prosić o jałmużnę wolno było.

— A jak mi cię gdzieindziej złapią moje stare papry — dodał — takie dostaniesz cięgi, że do sądnego dnia popamiętasz.

Obejście się było tak szorstkie, że Grześ zaniemiał strwożony.

Walczyć z głodem i niedostatkiem gotów był zawsze, ale ze złą wolą, nie miał siły.

Spostrzegł Żurawek, nie mogąc z niego słowa wydobyć, że dostatecznie chłopca zastraszył, zamruczał coś jeszcze, pogroził i odprawił go z fukiem...

Stał jeszcze Grześ w miejscu, w którym go Pater porzucił, gdy mu się szczęśliwym trafem wczorajszy Dryszek nastęrczył, który nic o losach jego nie wiedział. Poznał go zaraz, a bodaj piwo wczorajsze przyjaźnie go dlań usposobiło.

— Cóż się z tobą dzieje? — spytał.

Grześ opowiadać mu zaczął...

Nie taił się z tem, że dużo z wczorajszej stracił odwagi, a choć kanonik pobłażliwie go przyjął, Pater za to za boże stworzenie nie miał.

Rozśmiał się Dryszek ramionami ruszając.

— Nie bój się — rzekł — więcej on burczy, niż kasa, a byłeś ze studentami się poznał i z niemi trzymał, nie zrobi ci nic... Że czasem za czuprynę pochwyci, lub za ucho pokręci, to u nas chleb powszedni, od tego ludzie nie umierają.

Dryszek się ofiarował zaraz ze studentami starszemi od św. Anny pomódz zrobić znajomość...

Obyczaje i u pauprów już naówczas naśladowując szkół wyższych tradycje, choć potajemnie i ukradkowo, każdego nowego przybysza zmuszały do wykupienia się od męczarni, które pod pozorem okrzesywania nieuków, zadawano nowicyuszom...

Mieli nawet pauprowie gospodę taką, w której kozłom ofiarnym, przybywającym, rogi odpilowywano i brusy niezgrabne obcinano, aby ogłady nabrały...

W Grzesiu zapowiedź lych obrzędów wstręt i strach obudzała. Począł się Dryszkowi wypraszać i gotów był mu cały grosz oddać na poczęstowanie, byle się od piłowania i ociosywania uwolnić.

Ośmielił go, grosz wzięwszy chłopak, iż mu krzywdy uczynić nie da i wszystko się obejdzie, lekko.

Otrząsiny miały się odbyć nad wieczorem... Trzeba jeszcze było iść do preceptora zebrzących i temu się też stawić... Dryszek miejsce i godzinę wskazał. Rozstali się, na wieczór odkładając drugie spotkanie.

Grześ nieszczęśliwy, głodny, zmęczony, w końcu musiał pomyśleć o sobie i trafiwszy na owo schronienie pod tarcicami, ostatki chleba i sera tam spożył...

Tu siadłszy sam, zadumał się smutnie, owo życie, którego pragnął, rozpoczynało się twardo i groźnie... Były to początki wprawdzie, ale nie rokowały one drogi łatwej...

Cofać się już nie czas było...

Czuł, że w Samku miał już nieprzyjaciela, a grozę, jaką obudzał ojciec, tu obcy budził w nim. Pomodlił się, łzy otarł, posiedział w kryjówce i dobył się z niej w końcu...

Dnia tego miał jeszcze zapoznanie się w gospodzie z towarzyszami i zaszeregowanie do tej gromady, której musiał być częścią posłuszną.

Dryszek był mu pomocą niemałą. Zarządził tak, aby dla starszych więcej piwa zostało, iż młodszych do gospody nie zawołano... Skończyło się na kilku poszturhańcach, na pytaniach podstępnych, na nauce potem jak trzeba było kupy się trzymać i choćby cię pieczono i warzono w smole, nikomu nie powiadać co się działo w szkole... Piwo i pocałunki braterskie dokończyły obrzędu, po którym Grześ wolniej odetchnął...

Samek, który się stawił na otrząsiny, dodał przestrożę od siebie, że gdyby broń Boże kanonikowi się przyliżał, a jego z komórki wysadził, niech lepiej potem z miasta się wynosi...

Grześ jakoś się poczuł śmielszy.

— Sluchaj no — rzekł — jam do księdza kanonika sam się nie wpraszał... Zaprowadziłeś mnie do niego... Nie będę się z tem taił, że mi kazał pokazać sobie jak pisać, a pisanie mu się podobało... Jeżeli mi potem za opiekę nademną, każe sobie przepisywać, czym winien?

— A ja ci to tylko powiadam, słysz — przerwał Samek — że jak mnie odpędzi, ja na twoich plecach szukać będę mojej straty!

Grześ zamilkł...

— Nie pójde do niego, chyba mnie sam zawoła — rzekł po chwili.

Starsi zagadali o czem innem, a Samek mrużąc w kąć poszedł... O noclegu nie myślał dotąd Grześ, albo pod tarcice znowu wleźć, lub gdzie się pod kruchtę wcisnąć, zdawało mu łatwym... Tymczasem godzina wieczornej zebrany nadeszła, głód dokuczał, i trzeba było poraz pierwszy iść ode drzwi do drzwi z miseczką.

Domy sobie miał wskazane, pamiętał je dobrze, ale kto w nich mieszkał, i jakie go tam, nieznanego, czekało przyjęcie!! Bóg wiedział tylko...

Z bijącym sercem, miseczkę swą odjąwszy od pasa, zastukał do drzwi pierwszego dworku... ale tak nieśmiało, że nikt go nie posłyszał, czekał długo, poraz wtóry uderzyć nie śmiał, i odszedł z próżną miską.

W progu drugiego domostwa, patrząc na to, stała średnich lat niewiasta, trzymając kilkoletnią dziewczeczkę za rękę.

Mieszczka była przystojna, pięknej tuszy, biała, w czółku na głowie błyszczącym, w rańtuchu świeżym, twarzy wypogodzonej i wesołej. Dzieweczka może ośmioletnia, podobna do niej, śmiejąca się, tupcząca nóżkami, także przystrojona jaskrawo, razem z matką przypatrywała się Grzesiowi zdaleka, i gdy z kolei zbliżył się do nich, zdejmując czapczynę, a pokazując próżną miseczkę, jejmość pochyliła się ku niemu, bo na wysokim wschodku stała i chcąc lepiej mu się przyglądać, pod brodę go wzięła...

Piękna twarzyczka chłopaka z czarnymi oczyma, uderzyła ją i litość wzbudziła...

Nim się odezwał, poczęła mówić żywo złamanym językiem, poczem poznał Grześ, że rodem niemka była.

— A ty zkad! Jeszcze cię nigdy tu nie było...

Małe dziewczę śmiejąc się, pieszczoszka zuchwała, przybliżyła się także do Grzesia i naśladując matkę, pulchniutką łapką chwyciła go za podbródek... Chłopak zobaczywszy tę białą rączynę dziecka tuż przy ustach swych, pocałował ją, co w dziewczęciu śmiech głośny wzbudziło...

Matce oczy się zaświeciły...

— Cóżes ty za jeden? mów!

Nim się na odpowiedź zdobył Grześ, mieszczka po namyśle skinęła na niego i za sobą wprowadziła do dworku... Dziwnie pięknie i czysto wydało się tu Grzesiowi. W izbie, do której weszli z sieni, drzewo i mosiądz, cyna i szkło świeciło, jakby tylko co z rąk kunsztmistrza wyszło... Woń jakaś zdrowa i miła napelniała mieszkania.

W krótkich słowach, od pokłonu począwszy, chłopak rozpowiadać począł o sobie. Nie uważał tego, że na ławie w kącie, nad sporym kufem, podparty na łokciach obu, siedzący w milczeniu mężczyzna, przysłuchiwał się też opowiadaniu...

Grześ nie pamiętał własnej matki, niewiast mało widywał i to takie, które dzieci nie lubiły i ostro się z niemi obchodziły; łagodny głos i wyraz twarzy matki i dziecka, serce mu otworzył, dobył z niego i uczuć i słów wcale różnych od tych, którymi tłumaczył się przed innemi ludźmi...

Poskarżył się na swoją dolę...

Był sam, nad nim jeden Bóg na niebie, na noc nie miał dachu nad głową, chleb musiał u litościwych wypraszać ludzi...

Mieszczka słuchała, dziewczeczka nawet zdawała się go rozumieć i litować nad nim. Co więcej, siedzący opasy nad kufem mężczyzna zamruczał dziwnie i zaszwargotał coś niezrozumiałego...

Grześ stał ze swoją miseczką jeszcze, gdy zawołano sługi. Ruszyła się dziewczyna od matki i biegnąc a spiesząc się przyniosła garnuszek, z którego, kazawszy usiąść na ławie, dano chłopcu jeść kluski z mlekiem, które mu bardzo smakowały. Matka, dziecię i opasy mężczyzna siedzący w czapce za stołem, z pociechą jakąś przypatrywali się pożywającemu.

Mieszczka pytała go ciągle, a Grześ ośmielony, wesoło rozpowiadał o sobie. Dzieweczka, niespełna po polsku rozumiała, kiedy niekiedy pytała matkę o tłumaczenie tego, co chłopiec mówił o sobie.

Wszyscy widocznie litowali się nad biednym. Gdy przyszło do zapytania o nocleg, a Grześ o swoim schronieniu pod tarciami mówić zaczął, mieszczka załamała ręce białe, a gruby milczący człek z za stołu po niemiecku coś zamruczał i z kobietą się naradzać zdawał.

Zjadł w końcu Grześ i pokłoniwszy się pięknie, jejmość chciał w rękę pocałować, gdy ta go zatrzymała.

— Nie może być, abyś tak na podwórzu spał — rzekła. — Pan Bóg cię nam zesłał, trzeba ci dopomódz. Jest komórka u nas próżna, gdzie się przespać możesz, póki sobie lepszego nie znajdziesz miejsca.

Nie wiedział chłopiec jak dziękować. Zajęto się nim zaraz pilno. Dzieweczka równie, a może więcej od matki Zaprowadzono go do owej komórki na tyłach, w której kilka próżnych fas stało, a knecht Niemiec, przysadzisty, karłowaty, słomy mu w kątku posłał.

Izdebka była prawda przyciemna, z jednym okienkiem małym za gęstą kratą, bez zamknięcia, ale powietrze wiało łagodne i na sypialnię lepszego kąta nie mógł chłopak pożądać. Bogu więc dziękował.

Sen przyszedł rychło, a choć z nim dziwne marzenia, w których studenci mu dokuczali, przeleciały także. Grześ się przespał do rana, i jak tylko w podwórku ruszać się zaczęto był na nogach...

Stara służąca zobaczywszy go wchodzącego, z polecenia swej pani, dała mu jeszcze kawałek chleba z serem i przypomniała, żeby śmiało na noc przychodził.

W kościele św. Anny Grześ nie zastał jeszcze nikogo, oprócz dziadów, którzy zamiatali i porządek robili, czekał więc cierpliwie w progu. Zadzwoniono na mszę i dziatwa ściągając się powoli zaczęła, choć Grześ wczoraj już został przyjęty do gromadki, nie obešlo się bez potrącań i psot, bez pytań i śmiechów. Krakowskim pauprom ten przybłęda z Sanoka wydawał się biedotą i nieukiem. Szydzili więc sobie z niego, co on cierpliwie znosił. Stanął już do mszy świętej w szeregu z innemi, ale na końcu, jako najpóźniej przybyły, z niedorostkami, którzy nie byli litościwsi od starszyny.

Ze mszy wprost potoczyło się co żyło do szkoły, która podzielona była na kilka części, a do najostatniejszej ledwie Grzesia przyjęto.

Wszedł o kiju preceptor pauprów, starowina zawiędy, z gębą zaciśniętą, bezzębną i policzkami wpadłemi. Katederka sosnowa z pulpitem, w której zasiadł, tak ustawiona była, że po obu jej stronach ławeczki się mieściły, a w nich studenci. Grześ ledwie się do ostatniej docisnął. Poczęła się nauka od modlitwy, po której rzuciwszy okiem na uczniów, stary Blasyusz senior, dojrzał nieznajomego Grzesia. Powołano go na środek. Gotowali się towarzysze wyśmiać nieuka, ale Sanoczanin wyszedł śmiało.

Blasyusz tedy przystąpić mu bliżej rozkazawszy, wziął się do indagacji. Okazało się naprzód, że chłopak czytać dobrze i pisać umiał lepiej, niż się tu ktokolwiek spodziewał. Przyszło potem do Donata i Prisciana, których że Grześ już parę razy przepisywał, umiał *expedite* obu i z gramatyki wyszedł zwycięzko.

Zdumienie wielkie wyraziło się milczeniem ponurem. Senior usta jeszcze mocniej zakąsił. *Dystychy Katona*, z którymi ofiarował się popisać chłopak, do reszty towarzyszków jego przybyły...

Na wiek swój, nie można było powiedzieć inaczej, tylko że Strzemińczyk ubogi był cudownym dziećciem. Zazdrość obudziła się w chłopiętach, które gotowały się wyśmiewać z niego.

Preceptor tylko nie dał poznać po sobie zdziwienia, wyegzaminowawszy chłopca sięśc mu kazał i spozierając na niego zdala ciekawie, wziął się do innych.

Grześ miał tyle powściągliwości, że wcale zwycięstwem nie okazał się dumnym, a przy wykładzie seniora pilno uszu nastawiał. Tem go sobie pozyskał.

Godzina nauki przeszła ze zwykłemi epizodami, kar, strofowania i powtarzanych lekcji a gdy dzieci rozchodzić się miały, Blasyusz dał znak Grzesiowi aby się zatrzymał. Poglądził go po głowie, pochwalił, i z tem odprawił, że nazajutrz obmyśli, gdzie go posadzi i czego mu się uczyć każe.

W dziedzińcu pozostała gawiedź, gdy Grześ wyszedł, już go inaczej powitała. Nie szydzono sobie z niego, ale widocznie mu zazdrozczono. Samek koso nań patrzył.

Miał polecenie od kanonika Wacława, aby go z sobą do niego przyprowadził. Nie groził mu już teraz, kwaśno tylko i powzdychując, żalił się na swój los, w ciągłej będąc obawie, aby go przybysz z komórki kanonika nie wysadził.

Uspokoił go chłopak jak mógł i umiał, zaręczając, że z niczyjej krzywdy nie chciałby korzystać i samby się za nim wstawił. Gospody też nie potrzebował już, bo mu ją opatrność cudownie naraiła.

Z wielką dobrocią przyjął go ks. Wacław, rozpytując o szkołę i jak mu się powiodło. Grześ miał do dobrego starego księżyny śmiałość wielką, i wszystko mu opowiadał co mu się przygodziło, a kanonik ciągle tylko powtarzał.

— Panu Bogu dziękuj, panu Bogu dziękuj, a w pychę się nie wbijaj.

Ponieważ wczorajsza próba pisania tak wypadła dziwnie, iż kanonikowi w nadzwyczajną kaligrafię dziecka wierzyć się nie chciało, tym razem miał już przygotowany papier, inkaust, pióra, pulpit, wzór, i stanawszy za Grzesiem kazał mu w oczach swych modlitwę przywiezioną przez pewnego pątnika z Jerozolimy przepisywać.

Nie była ona długa, ale ten co ją kaligrafował wprawną ręką, nie żałując *rubrum*, i popisując się z rozmaitemi wykrętami, zrobił ją jakby popisowym obrazkiem.

Grześ takich elegancyi nie widział jako żywo, długo się naprzód przypatrywał, ale o sobie nie zwątpił. Wziął się naprzód do rubrykowania, które pisanie ułatwiało, potem zlekka pooznaczał miejsca, które na czerwone litery zostawić było potrzeba, wreszcie przeżegnawszy się zasiadł do roboty.

Rękopism był dosyć stary, więc tem wyraźniejszy, bo w XV w. już coraz mniej pięknie i nie tak dokładnie pisywano, a skrócenia się mnożyły, Grzesiowi więc łatwo przyszło wiernie powtórzyć co miał przed sobą. Było tego razem około dziesiątka wierszy nie długich. Około Amen, piszący naplątał linii naśladowujących niby gałązki z liśćmi, co mogło się najtrudniwszem wydawać, a Grześ i z tego wyszedł zwyczajko, i *rubrum* potem wzięwszy, czerwone litery podopisywał bardzo zręcznie.

Kanonik patrząc za boki się trzymał, oczy przymrużał i mruczał.

— Chwat! gracko! Daj go katu...

W tem nagle zapytał.

— Wieleż liczysz lat?

— Liczyli mi dwanaście skończonych.

— *Mirabile!* — zamruczał ks. Wacław biorąc modlitwę do ręki. — Ucz się ucz, chlebieć będziesz.

Nie śmiał go zaraz do roboty zaprzędz, ale za modlitwę dał mu kilka piąteczek i kazał się dowiadywać do siebie.

— Ucz się łaciny — dodał — wyjdiesz na człowieka!!

Izba była pełna rękopismów u ks. Wacława, wziął się więc je pokazywać Grzesiowi jedno po drugim, coraz piękniejsze, zachęcając go, aby i on do takiej doskonałości dążył.

Ale tu już były i takie, na które się chłopak wcale porywać nie mógł, bo i pierwsze ich karty i nagłówki i boki stały farbami cudnie malowane, jakby w kwiaty żywe, a wielkie litery tak były misternie budowane, że się w nich mieściły całe obrazy... Boga Ojca z Duchem świętym, krzyż synowski trzymającego na łonie, Zwiastowanie Bogarodzicy, Wniebowzięcie, zesłanie Ducha świętego i t. p.

Grześ podziwiał tę sztukę, z jaką miniaturzyści wszystko to w małych rozmiarach tak ślicznie umieli pomieścić, nadając życie postaciom drobnym. Oprócz tego kunszt był nie mniejszy w złoceniu i malowaniu kwiatów i zwierząt takich, jakich żywych nigdy ludzkie oko nie widziało...

Z tych śliczności poznał dopiero Grześ, jak mu wiele brakło, aby się mógł zwać kalfiem, a nawet w duszy przyznać musiał, że malować tak nie potrafi nigdy.

Nie zraziło go to jednak od pracy. Tak dzień ten przeszedł w części u kanonika, potem ze studentami, u Samka, a gdy się wieczór zbliżał Grześ, choć z pewną trwogą pociągnął do domu Niemca.

Wiedział już, że go zwano Balcerem, że miano był za bogatego, i ludzie o nim mówili dobrze. Handlował on towarami łokciowymi, sklep miał w Sukiennicach i ławnikiem był wybrany.

Choć Niemiec, Balcer, dawno tu zamieszkawszy, do kraju się przywiązał, a żona i córka jedynaczka nauczyły się trochę po polsku.

Stał on o to, aby języka nabył i sam choć łamaną mówił polszczyzną.

Jeszcze Grześ był od dworku Balcera daleko, gdy dostrzegł, że dziewczeczka ze drzwi w ulicę wyglądała, jakby się go spodziewała. Jakoż poznawszy, pobiegła do matki i gdy się zjawił w progu, sama już dźwigała garnuszek chlebem przykryty, uśmiechając się do niego...

Balcera, który wczoraj za stołem siedział, dnia tego nie było, jejmość tylko i słudzy. W czasie gdy się posilał pauper, mała Lena stanęła przy nim, oparła się na ławce i zaczęła go, dopóki nie poczał z nią rozmowy...

Dziecko było jak piękne tak rozumne, wesołe i śmiałe a gadatliwe. Szczebotało niegorzej od matki po polsku i z tym językiem się przed Grzesiem popisywało. Musiał przez wzgląd dla matki zabawić ją chłopak, aż póki się nie zrobiło ciemno, Balcer nie powrócił, a jemu do komórki odejść nie dozwolono...

Takie były początki studenckiego życia Strzemińczyka...

Nadzwyczajne zdolności bardzo wprędce dozwoliły mu się odznaczyć i zająć miejsce w szkole między najstarszymi, a być nawet pomocą nauczycielom. Rokowano mu wielką przyszłość, tembardziej, że pokornym był i w dumę się nie wzbijał.

Czuł to bardzo dobrze, iż mu całe morze do wypicia w nauce zostawało, że stał u brzegu dopiero... Sięgał myślą tych wyżyn, których się chciał dobić. Chłopcy, co mu zazdrościli w początku, prześmiewali i szkodzić byli radzi, uciekali się teraz o pomoc do niego, której im nie odmawiał. Mało jednak z nich umieli mu być wdzięczni, był im solą w oku, bo seniorowie na niego drugim ukazywali i chwalili.

U Balcerów, choć im ciężarem nie chciał być, tak się złożyło, że mu już odejść nie dano. Staremu zapisywał rachunki, a Lenka wyprosiła sobie, żeby ją uczył po polsku, czego i matka i ojciec życzyli. Komórkę opróżniono z fasek, dano okiennicę w niej i zrobiła się z niej izdebka niczego, w której stół się znalazł i ławka...

Ks. kanonik Wacław posługując się także Grzesiem, którego bardzo polubił, dał mu starą koszulę i suknię przenoszoną, którą przerobił krawiec na tak piękną, iż jej paupry zazdrościli.

Balcerowa i Lenka różne mu gałganki wtykały, opatrując go i coraz się do niego więcej przyzwyczajając... Uczył wciąż Grześ po polsku przy matce córkę, a stało się, że i sam z tego niespodziewanie skorzystał, bo mimo wiedzy i woli prawie, począł po niemiecku szwargotać.

Miał i pamięć doskonałą i łatwość uczenia się wielką, tak że rok nie upłynął, a już się mógł po niemiecku rozmówić.

Z łaciną też szło rażno i dystychy Katona przeszedłszy, dalej retoryki już poczynął kosztować Grześ, szybkie w niej czyniąc postępy. Śpiewem, do którego miał głos i ucho osobliwe, celował pomiędzy uczniami i przy kantorze stawał, młodszych musztrując...

I tu go podziwiano, a lubowano się dyskantem, gdy przy cytrze pieśni zawodził.

Rok przeleciał jak błyskawica... nie zmieniło się nic, oprócz że Grześ pewniejszym coraz był siebie, a to, czego się uczył chciwie, nie starczyło mu. Radby był prędzej przebył tą przestrzeń, którą drudzy mozolnie przechodzili, lecz nauczyciele sami wstrzymywali go i hamowali tą porywczosć młodzieńczą.

Rósł też chłopak jak na drożdżach, a co drugim lata często dziecinną piękność odejmują i z wyrostków przystojnych, czynią pospolitych ludzi, jemu wiek i do rozwinięcia się dziwnie wdzięcznego dopomagał. Nie szkodziło to wcale, bo marna ta piękność cielesna, choć trwa tyle co kwiatek i niewiele ważyć się zdaje, przecie serca i oczy porywa, uprzejmość zyskuje, uprzedza dobrze i w życiu pomaga.

Grześ stawał się coraz piękniejszym, a twarz, której oczy ciemne patrzyły rozumem, miała wdzięk jakiś, którego sile nikt się oprzeć nie mógł. Pieszczono go u Balcerów, lubiono wszędzie, zapraszano z cytrą na uczyty, aby śpiewał, obdarzano chętnie. Nie zbywało mu na niczem.

Osobliwie mieszczanin, żona jego i Lenka przywiązali się do paupra, tak że domownikiem ich stał się i jakby do rodziny należał.

Misczką drewnianą Ryby mógł na półce postawić, bo jej wcale nie potrzebował. Nieznacznie jakoś przyszło do tego, że mu u stołu zrobiono miejsce, a gdy się spóźnił, zostawiano jedzenie.

U ks. Wacława zawsze jaką godzinę spędzał za pulpitem, coś mu przepisując, więc się do coraz nowych charakterów przyzwyczajał, nabył wprawy jeszcze większej i nietylko kopiował co mu dano, ale począł charaktery wszystkie naśladować tak, iż pisma jego od oryginału rozpoznać nie było podobna.

Uparłszy się nawet, trudne i zawiłe znaki notaryalne w dokumentach tak przerysowywał, iż ci, co je kładli, ze strachem się przyglądali ich powtórzeniu, i krzywem okiem patrzali na chłopca, który, gdyby nie pieczęcie, każdy akt mógł tak naśladować, że najwprawniejsze oko fałszerstwaby nie odkryło...

Grześ jednak wcale o złem nie myślał i dla popisu tylko sztuki te okazywał.

Drugiego roku chłopak znowu podrósł znacznie, zmężniał, a że ciągle z ks. Wacławem obcował i przysłuchiwał się ciekawie każdemu jego słowu, pochwytał od niego wiele wiadomości, które naówczas mało komu były znane. Uczył się własności ziół, kamieni, osobliwych tworów natury i świata zwierzęcego, których był bardzo ciekawym. Samo przepisywanie, gdy z łaciną coraz się więcej oswajał, szło mu na korzyść, bo choć nie wszystko rozumiał, gdy o objaśnienie zapytał księdza, kanonik mu je chętnie dawał, i miło mu było widzieć tę ciekawość amanuensa.

Lecz ks. Wacław też wpajał w niego, że natura pełną jest niezbadanych tajemnic, i że człowiek w jej wielkiej, żywej księdze, zaledwie czytać się uczył, tyle tam było rzeczy zakrytych, których nigdy może rozumem swym do badać się nie potrafi.

Czasem, gdy się starowina rozgadał, a był usposobionym, poczynął Grzesiowi prawić o tych cudach, jakie w owych wiekach po księgach i w tradycjach obiegały, głoszone za prawdę... Więc smoki, gryfy, bazyliszek, inne stworzenia bajeczne, własności dziwne kamieni, istoty powstające *sponte*, odradzające się na stosach jak fenix, przesuwwały się w tych opowiadaniach, jak poemata przed zasłuchanym w powieści starego Grzesiem... Świat ten nęcił go nadzwyczajnie, lecz wiedział, że nie był on dostępnym wszystkim, i że arkana te tylko dla wybranych się otwierały. Jemu naprzód potrzeba było tych skrzydeł, które go podnieść miały tam, zkąd dalekie mógł horyzonty oglądać. Nauka języków była najpierwszą i najtrudniejszą... Jednego pisarza starożytnego poduczywszy się rozumieć, z jego mową oswoiwszy, Grześ postrzegał, że gdy nieznanego potem wziął w rękę, na nowo jego język musiał sobie przyswajać... Gramatyka co wszystkie wrota otwierać miała, doprowadzała tylko do progu, Donat, Aleksander i Priscian nie starczyli mu...

Ale głowa się chłopcu otwierała, a im więcej się uczył, tem się nauki pożądlivszym stawał...

Kanonik patrzył nań z pociechą i z trwogą.

Przy takich zdolnościach i takiej chciwości wiedzy, zdawało się niewątpliwem, że chłopię to do innego stanu jak do duchownego przeznaczonem być nie mogło.

Świeccy ludzie, w życiu czynnem, które szło wybitemi kolejami, nauki w ogóle nie potrzebowali. Była ona wyłącznym monopolem duchowieństwa.

Nie podlegało wątpliwości, że ów Grześ musiał w końcu księdzem zostać, ale kanonik zagadując go o powołanie, nie mógł w nim odkryć dotąd ani myśli, ani szczególnej chęci obleczenia sukni duchownej.

Grześ jakoś o przyszłości w ogóle wcale nie myślał, i gdy drudzy uczyli się dlatego, aby ją sobie zapewnić, on uczył się dla nauki. W ubogim chłopcu było to tem dziwniejszem...

W początkach po przybyciu do Krakowa, nie jeden raz myśl Strzemińczyka zwracała się ku dworkowi w Sanoku, do ojca i brata. Choć się tam z nim nieludzko obchodzono, trochę serca przywrzało do kolebki. Powoli jednak zacierały się wspomnienia, przywiązywał się do tego miasta, w którym naukę było czerpać łatwo...

Ale i dalszy świat go nęcił.

W domu Balcerów nasłuchiwał się o Niemczech dużo, o miastach, w których i bogactwa wielkie i nauki skarby były nagromadzone. Przybywali tu ludzie zdaleka, powieści przylatywały z całego świata... Tu zasłyszał o Włoszech, do których jeżdżono po naukę i z Polski, o krajach na zachodzie, z których do Polski wyroby tak piękne i misterne przywożono, jakich tu nikt robić nie umiał.

Powziął więc wielkie wyobrażenie o tych nieznanym krajach i gorącą chęć ich poznania. Na męztwie do rzucania się w podróż nie zbywało mu... Taił się z tą myślą przed wszystkimi, boby go zakrzyczano pewnie, iż rwał się bezrozumnie za góry, gdy w domu, w Krakowie *Collegia* były otwarte, w których nauki wszelkie wykładano, i gdzie bakałarzem, mistrzem, a nawet doktorem było można zostać, tak że i na obcych nie zbywało, co z tych źródeł czerpali.

Wiedział o tem Grześ, a przecież myśl wędrówki go nęciła.

U Balcerów rozpowiadano o tem często, jak w Niemczech dla nauczycieli różnych, młodzież od miasta do miasta wędrowała, od każdego z nich coś nowego się ucząc. Pełne były naówczas Niemcy tych ubogich pątników, których Vagantami zwano, a że nie wszyscy trzeźwo żyli, Bacchantami też ich szydersko mianowano...

Nie wiedział on, iż znaczniejsza część tych pielgrzymów, którym statku brakło i prawdziwej miłości nauki, włóczyła się od furty do furty, od gospody do gospody dla chleba, kradnąc gęsi po drodze, i wyzyskując postrachem mieszczan i włościan, lecząc i czary odprawiając bałamutne. Zdawało mu się, że ich taka żądza wiadomości gnała w świat, jaką on sam czuł w sobie.

Do tej wielkiej ochoty uskokzenia w świat, przed nikim się nie przyznawał, choć ją w sobie żywił. W tej myśli też korzystał z pobytu w domu Balcerów, coraz się pilniej ucząc niemieckiego języka, który mu za Łabą miał służyć...

Gospodarzom swym nawet nie wyjawiał żądzy, która umysł jego opanowała.

Trzy już lata upływało od przybycia Strzemieńczyka do Krakowa, i szkołę trywialną Grześ dawno skończywszy, uczył się już dochwytkowo tu i owdzie, zaglądając wszędzie gdzie mógł i zapas sobie przysposabiając na drogę...

W piętnastym roku wąż mu się zaczął wysypywać przedwcześnie, wyrósł, wypiękniał, siły nabrał, a nic o przyszłości nie postanowił dotąd, oprócz, że nauki musi kędyś dalej szukać, aby ją przyniósł do domu...

Uciec jednak nie opowiedziawszy się nikomu, nie godziło się. Współuczniom, którzy zawsze zawistnym nań spoglądali okiem, spowiadać się nie potrzebował z tego, co chciał począć, ale Balcerów tak opuścić, kanonika porzucić, serce wdzięczne nie pozwalało.

Do swej gospodyni, która nań była bardzo łaskawą i niemal jak dziecko własne go kochała, przywiązał się równie jak do starego Balcera, a najbardziej do dwunastoletniego wyrostka Leny... Dziecko to w oczach jego rozkwitło i rozwinęło się cudownie, a rodzice utrzymywali, że Grześ przyczynił się do ułatwienia tej nauki, jaka kobiecie była do jej życia potrzebną. Od niego nabyła wprawy do mówienia po polsku, on ją na cytrze grać i śpiewać poduczył, jemu winną była, że ojcu mogła pomagać w rachunkach, a nawet coś zapisać za niego. Dziewczę nadzwyczaj było pojętne, nauczyciel pilny i serdeczny, Lenka też nie potrzebowała wiele, bo kobiety naówczas małym się ograniczały, naturalny rozum, dowcip, domysłność z tego ziarenka, które im dano, snuły resztę.

Grzesiowi opuścić ten dom i swą uczennicę, która do niego była przywiązaną, boleśnie przychodziło... ale też sama żądza, co go wyгнаła z Sanoka, parla dalej w świat, obiecując złote góry.

Trzy lata tu przebywszy, skorzystawszy wiele, postanowił puścić się na wędrówkę. Pierwszemu z tą myślą zwierzył się kanonikowi Wacławowi, który przyjął zdumionem milczeniem niespodzianą wiadomość.

Gdyby był mógł, wstrzymałby go był pewnie, ale sumienie czyniłoby mu wyrzuty; mówił sobie w duszy, że chłopaka przeznaczeniem było szukać mądrości, że w nim głos wewnętrzny był oznaką powołania.

Mimowolnie zwilżyły mu się powieki, nie rzekł słowa, zbliżył się do Grzesia, wziął go za głowę i w czoło pocałował. Chłopak przypadł mu do kolan.

— Jeżeli czujesz w tem wolę Bożą, idź — rzekł. — Szkoda mi ciebie, ale któż wie? może podróż ta będzie pomyślną, a ty z niej wrócisz, abys był chlubą i ozdobą naszą.

Trudniej przyszło Grzesiowi przyznać się do zamysłu swego Balcerom. Cicho naprzód powiedział o tem samej jejmości. Balcerowa lubiła go bardzo, ale dziecię swe kochała więcej jeszcze, a obawiała się może coraz wyraźniej objawiającego przywiązania ubogiego chłopca do swej jedynaczki...

Niebardzo się więc sprzeciwiała. Dobroć jej tylko okazała się w macierzyńskim staraniu o wybór do tej podróży, na którą Grzesia chciała wyprawić zaopatrzonego we wszystko, co ją mogło ułatwiać...

Przed Leną tajono długo, że ją młody nauczyciel i towarzysz miał porzucić. Jednego wieczora stali oboje we drzwiach od ulicy, rozmawiając i śmiejąc się, gdy Grześ spojrzawszy na wesołe dziewczę, nagle posmutniał.

Z napastliwością pieszczonemu dziecięcia, które wie, że mu nic odmówionem być nie może, Lena zaczęła badać o przyczynę zachmurzenia.

— A! — odezwał się chłopak — jakże nie mam się smucić, gdy lada dzień będę musiał precz ztąd iść.

Lena poskoczyła w ręce uderzając.

— Dlaczego? dokąd? — krzyknęła. — To być nie może.

— Być musi — rzekł smutnie Grześ — całym majątkiem to co umiem i czego się nauczę, muszę więc w świat iść szukać mądrości.

Lenie lzy stanęły w oczach, nie mówiła nic, rękami tylko strzepując.

Grześ jako starszy, począł tłumaczyć konieczność i mówić o przyszłości, o powrocie...

Dziewczę nie wiedząc jak go przekonywać i od tego zamiaru odwodzić, na skargę pobiegło do matki, ale znalazło ją już przygotowaną...

Trzeba się więc było poddać konieczności, której Lena wcale nie rozumiała... Uległa jej ze srogim żalem do Grzesia, na którego się gniewać chciała i nie mogła...

Plakała w swej izdebce, a matka nie mogąc inaczej, pocieszała ją tem, że dobry przyjaciel powróci...

W komórcie chłopaka leżały już węzłki gotowe, bielizna, trochę odzieży, żywność i kaletka z groszykami uzbieranymi. Grzesiowi ścisnęło się serce... Obawiał się pożegnania i własnej słabości, i jednego dnia wiosennego, podobnego do ranka w którym Sanok opuścił, wyszedł z tłumoczkami na plecach, z kijem w ręku, przestępując próg gościnnego domu, gdy wszyscy spali jeszcze... Po cichu otworzył i zamknął drzwi za sobą... Spojrzał na ciche domostwo, pobłogosławił dobrym ludziom, i budząc w sobie męztwo, puścił się ulicami pustymi miasta ku Floryańskiej bramie...

Godzina była tak wczesna, że nikogo prawie nie spotkawszy, dostał się na przedmieścia. Zwrócił się raz jeszcze ku grodowi temu z niemem pożegnaniem, i nagle, jakby sam się lękał siebie, począł szybko iść gościńcem, nie oglądając się już, a w duchu powtarzając tylko:

— Powrócę! powrócę...

Gdy przez cały dzień Grzesia nie widziano w mieście, wieść się zaraz rozeszła, że zbroiwszy coś, uszedł, obawiając się kary.

Bronić go nie było komu.

IV

W pięć lat po owej mniemanej Grzesia ucieczce, w gospodzie pod Krakowem, która się zwała Podrębą, na przyźbie odpoczywał młody podróżnik, którego suknie pyłem okryte, uznojona twarz, buty zblocone i zbiele od kurzu, o długiej wędrowce powiadały.

Właśnie był spory tłumoczek zdjął z ramion i złożył go przy sobie na ziemi, rozglądając się po okolicy. Z sukni i stroju miarkując, przybysz się wydawał cudzoziemcem. Ubrany był tak jak w Niemczech naówczas chadzano, nie wykwiłtnie ale czysto. Samo to, że pieszo odbył podróż dowodziło, iż niezamożnym być musiał. Suknie z grubej tkaniny i niepokaźne potwierdzały to przypuszczenie.

Do pewnego stopnia wszakże twarz i postawa wędrowca kłamały temu; oblicze miał piękne, rysy szlachetne, a wyraz ich energiczny i dumny, nie godził się z wyszarzanym kubakiem. Spoglądał śmiało dokoła, a usta mu się dziwnym uśmiechem ściągały.

Gospoda przedmiejska podobną była do wszystkich tego rodzaju zajazdów, do których się zbiegają szumowiny gminu, włóczęgi, żebracy, i to co w mieście albo się pokazać nie śmie, lub tu łatwego zarobku szuka...

Przed wiechą siedział ociemniały starzec na ziemi z wyciągniętą ręką i oczyma białymi podniesionymi do góry, głosem schryplym nucąc pieśń jakąś. Przy nim małe chłopię, zwinięte i zgarbione ze znużenia, drzemało...

Dalej roztruchacze opatrywali konie chude, najpewniej gdzieś z paszy skradzione, które im obdarci ludzie narzucali za bezcen.

Z izby słyhać było buchający gwar pijanych i krzykliwie zawodzono śpiewy. W sionce ująwszy się pod boki niemłoda kobieta, z zarumienionymi mocno policzkami, przechylała się z nogi na nogę, jakby wzywała do płasów.

Wozy włościańskie zatrzymywały się na chwilę i kmiecie nie zsiadając, wołali do gospodarza o piwo...

Gospodarz, człek wzrostu wielkiego, obrosły strasznie, z czarnymi oczyma, które patrząc bodły jak noże, wybiegał coraz, w niskich drzwiach się pochylając, to z drewnianym kubkiem, to z blaszaną miarą, wynosząc napój, a łając tych co się po niego z wozów ruszać nie chcieli.

W koszuli, fartuchu, z nogami bosemi w chodakach odartych, zabrukany, karczmarz był niezmiernie czynnym. Oka jego nic nie uszło, a wszyscy co się zatrzymywali pod wiechą jego, zdawali mu się być znajomi. Odzywał się wołając ich poufale po imieniu, naprędce dawał rady roztrucharzom, groził sprzedającym marchę, śmiał się z pijanych, a nie zapominał denary odbierać i wysypywać je do skórzanego worka, który mu wisiał u pasa.

Był to sławny Dziegiel, człek, którego za rany i sińce wyświecono z miasta, znany gwałtownik. Przyjaciele i krewni jego wyrobili mu to, że choć w mieście się pokazywać nie mógł, tuż pod nim jednak trzymał gospodę, na co przez szpary patrzano.

Dzięgiel już parę razy rzucił był okiem na podróżnego, który na przyźbie odpoczywał, a niczego od niego nie żądał.

Sądził że się domyśli w końcu siadłszy pod strzechą, zapłacić za gościnę, czy napojem czy jadłem.

Wprawdzie ostatniego u Dzięgla było dostać trudno, bo tu ludzie więcej pili niż jedli, ale chleb, ser i mleko było w komorze.

Podróżny zdawał się gospodarza nie widzieć wcale, albo na niego nie zważać. Dzięgiel miał już odejść skrzywiony, gdy w tej samej chwili konno od miasta nadciągnął wąsaty młodzian, z mieczykiem u pasa, wyglądający na miejskiego lub szlacheckiego sługę. Konia zatrzymał przed wiechą, pot otarł z czoła i pochylając się krzyknął.

— Dzięgiel! piwa! człowiek pod te gorąco beczkęby całą wychlał, gdyby mu ją nachylono.

Głos ten usłyszawszy podróżny, który w inną stronę miał zwróconą głowę, drgnął i począł się przybyłemu przyglądać pilno.

Ten też spostrzegłszy go, zdawał się zdumiony, niepewny, jakby sobie w nim jakąś starą przypomniął znajomość, konia trochę naprzód podpedziwszy, rękę przyłożył do czoła i mruczeć coś zaczął.

Podróżny tymczasem z ławy wstał.

— Jak Bóg żyw — odezwał się po polsku, choć suknie miał niemieckie — toć Dryszek.

Ten posłyszawszy imię swe już ze szkapy się zsunął.

— Grześ Strzemieńczyk! — krzyknął. — Żyw więc jesteś, a my cię tu już pogrzebali...

Podali sobie ręce.

— Choć w ostatnie czasy nie byliśmy przyjaciółmi — począł Dryszek — boś ty nas wszystkich twoją nauką zbłądził, a no miło mi, że cię żywym widzę! Kędyżeś bywał... taż to pięć lat temu...

— Pięć lat, które mi przeszły jako pięć dni — rozśmiał się Grześ. — Kędym bywał za długoby było opowiadać. Prędzej ty pono powiesz mi, jakieś z ławki szkolnej dostał się na konia i do miecza przypasał. Toż ci się bakałarzem albo seniorem być chciało.

Dryszek się skrzywił i ręką w powietrzu zamachnął. Ponieważ Dzięgiel właśnie mu piwo podawał, nim się zebrał na odpowiedź, począł od wychylenia całego kubka tchem jednym; otarł wąsy rękawem, rzucił na dłoń nastawioną gospodarza pieniądze i zwrócił się dopiero do Grzesia.

— A no, prawda — rzekł — chciało mi się bakałarzem być, ale nauka do łba nie lazła, ani weź. W końcu mi się wąs sypał i wołę Bożą czuć zacząłem, a do *quadrivium* nie mogłem się dobić. Tymczasem trafiła mi się bogatego sołtysa córka, dziewczka jak łania... wolałem ją niż *ciziojany*!! Komu co przeznaczono, nie minie. Gospodarzę przy ojczymie i drę z nim koty...

Ruszał ramionami i śmiał się.

— Teraz jak na papier spojrzę — dodał — ciarki po mnie chodzą, a jak wspomnę szkołę, albo mi się ona przyśni, tom na cały dzień zły i kwaśny... A ty? z czem powracasz!

— Ja? — odparł Grześ, pokazując mu węzełek pod strzechą leżący. — Ja wiozę pierwszego może Virgiliusza do Krakowa.

— Cóż to za kat ten Wirgi...nusz? — odparł Dryszek.

Grześ się rozśmiał.

— Wolę go niż twoją sołtysównę — rzekł wesoło. — Przez całe pięć lat uczyłem się a uczył wędrując. Poszedłem naprzód do Wrocławia, gdzie piwa prawda było pod dostatkiem, ale nauczycieli brakło, potem do Lipska. Było się i w Magdeburgu i w Norymberdze i dalej nad Renem aż po całych Niemcach... A co to za osobliwy świat, a jacy ludzie!! Było na co patrzeć i czego się uczyć.

— No i sakwy pełne mądrości przynosisz z sobą — dodał szydersko Dryszek — a groszy dużo?

— Prawie tyle — odezwał się ramionami poruszając obojętnie Grześ — co naówczas, gdyście mnie z Sanoka idącego spotkali...

Dryszek pogardliwą zrobił minę.

— Miałeś po co chodzić tak daleko — zamruczał — goliznę miałeś i w Krakowie.

— Alem tego rozumu, com go nabył między ludźmi, nie miał — rzekł Grześ.

— I cóż z nim robić myślisz! — wtrącił szydersko Dryszek, oglądając się ku swemu koniowi. — Pewnie na klechę kroisz? No, toby jeszcze było pół biedy, ale i ci panowie kolegiaci nasi, profesorowie i doktorowie, choć kapłani i mądrzy ludzie, chleba siła nie mają. Pójdź na ulicę św. Anny, a choćby i do większego kolegium, zobacz jak mieszkają i jedzą!! a jak pracują... Bóg z wami, ja wolę sołtysią córkę i moje gospodarstwo.

— Jak co komu służy! — rzekł Grzesz. —

Popatrzyli na się wzajemnie takimi oczyma, jakby sobie powiedzieć chcieli, że się pono nigdy nie rozumieją.

W tem Grzesz żywo wtrącił.

— Żyw kanonik Wacław?

Dryszek się musiał namyślać nad odpowiedzią, bo mało co się troszczył o tych ludzi, którzy Grzesia najwięcej obchodzili.

— He? medyk? — spytał — a no! żyw! postarzał trochę, suwa nogami, ziele zawsze zbiera, ludzi morzy i leczy.

— A z Samkiem co się stało?

Samek też wyszedł pono był z pamięci Dryszkowi, bo długo się namyślał nim go sobie przypomniał.

— Ten już suknię kleszą nosi, ale mu święceń nie dają, bo nie umie co potrzeba — rzekł po chwili.

Kilku współuczniów wspomniawszy, o których Dryszek niewiele wiedział, Grzesz się w końcu nieśmiało jakoś, wahając, odważył spytać o to co go najbardziej obchodziło.

— Cóż się z Balcerami dzieje?

Dryszkowi oczy błysnęły złośliwie.

— He? — zawołał — tożes się był powinien naprzód o nich pytać? Balcerom twoim wiedzie się jak się wiodło, pobogacieli tylko jeszcze. Kamienic Niemczysko nakupował wiele i utył tak od świdnickiego piwa, że brzuch przed sobą ledwie dźwiga. Sama Balcerowa też nie schudła, a córeczka ich wyrosła na najpiękniejszą lalczkę w mieście. Ludzie do niej idą jak do cudownego obrazu, bo prawda, że na podziw urodziwa, a mówią, że i rozumna. Przytem jedyna u rodziców i wszystkie kamienice Balcera spadną na nią, więc tam bodaj pan i szlachcic gotów w swaty.

Grzesz smutnie i na pozór obojętnie słuchał tego opowiadania; Dryszek jedno oko przymrużywszy przypatrywał mu się. Zwrócił się potem oczyma ku niebu, aby się ze słońcem obrachować i wczas do domu dojechać.

— Jechać muszę — rzekł — a i wam też nim wrota pozamykają pospieszyć trzeba, aby na Kleparzu nie nocować... Radbym z wami gadał, ale gdy późno przyjadę, teść będzie lajał, a żonka posądzi, żem się z dziewczętami na Okółu zabawiał. Z nią sprawa nie osobliwa, wolę licha nie drażnić.

Zabierał się do siodła, rękę podawszy Grzesiowi.

— A cóżes się tak z żonką szczęśliwym mienił — odparł Strzemińczyk, — gdy ci się jej i teścia obawiać trzeba?...

Dryszek zrobił minę dziwną.

— Niema chleba bez ości, niema ryby bez kości — odparł cicho. — Wolę już, żeby mi żona nałajała i teść nagroził, niżbym głodem miał mrzeć i głowę łamać nad pisaniem.

Bywaj zdrów.

Tak się rozstali. Grzesz powrócił na przyzbę i dobywszy chleba z serem po staremu, kazał do nich podać miarką cienkusz, którym wieczrę popił. Wziął potem tłumoczek na plecy, kij do ręki i żywo puścił się znaną już drogą ku miastu. Myślał teraz porównując pierwsze swe przybycie do Krakowa i powrót do niego po latach ośmiu, ważył i rachował co zyskał, a miał z tego powód być dumnym. Czuł, że czasu nie stracił i że jego węzełek, na który tak pogardliwie Dryszek spoglądał, więcej zawierał w sobie, niż to co tamten zyskał po dziewczynie w posagu... Przebył wiele, przemęczył się niemało... wśród obcych, ale plon mu za to nagroził...

Teraz już mógł śmiało do Akademii się zapisać, a słuchać nauki wszelkiej, bo był przygotowanym i nauk tych świadomym. Bakałarzem, mistrzem, doktorem chciał być, a potem w kolegium zasiąść i młodzieży wykladać co mozolnie zdobył...

I suknię wdziać duchowną — myślał w duchu — a czoło mu się zachmurzyło... Piękna Lenka stanęła przed nim i świat żywy, cały, który duchownym był zamknięty.

Westchnął.

Tak, potrzeba było wybierać ze dwojga, mądrość albo życie, jeden z dwóch światów, klastrum nauki, albo teatr czynnego żywota... Od dawna już walka tych dwóch niezbytich i niepojednanych przeciwieństw duszę jego rozdzierała... a gdy śnił o tem, iż trzeba było jedno wybierać, w końcu odtrącał oboje, bo zawsze po czemś płakaćby przyszło...

— Czasu mam dosyć — mówił sobie — Bóg wskaże co czynić. Wiódł mnie dotąd... natchnie w chwili stanowczej...

Już na pacierze wieczorne dzwoniło do miasta, gdy Grześ przebywszy wrota, wszedł w ulicę, a widok tych miejsc znanych, zasianych pamiątkami tyłą, rozweselił go...

Wracaly mu żywo spędzone tu lata.

Ale napróżno zwracał oczy ciekawe ku ludziom, których spotykał, twarzą znajomych nie było... Nikt go tu nie witał, spoglądano jak na obcego. Na Floryańskiej, Niemiec stojący przed domem, zobaczywszy go i po stroju domyślając się wędrownego współziomka, zagadnął go swym językiem.

Grześ był z nim przez tych lat pięć oswojony i z mowy Polaka w nim poznać nie było podobna. Odpowiedział niemczyzną taką, iż mu mieszczanin rękę podając, do gospody do siebie zapraszał.

W istocie potrzebował jej choćby na noc jedną. Do Balcerów się wpraszać znowu nie chciał, choć mu ich widzieć pilno było. Przyjął więc ofiarę pana Kurta pasamannika, który go do izby wprowadził, ani wątpiąc, iż ziomka ma przed sobą. Strzemińczyk też nie sądził potrzebnem wydawać się z tem, kim był i na zapytania tak zręcznie odpowiadał, iż się nie zdradził.

Ponieważ odzież i postawa nie dozwalały się domyślać, iż studentem był, wzięto go za czeladnika od cechu jakiegoś i rzemiosła.

Nie mógł zostawić w tym błędzie gospodarza Grześ i przyznał mu się, że na naukę do akademii przybywał.

Nie było to już rzadkością w Krakowie podówczas, że cudzoziemcy tu do młodej macierzy się ściągali. Węgrów, Czechów i Niemców nawet schodziło się wielu, a szkoła Jagiellońska zażywała w świecie sławy niemniejszej od najstarszych siostr swoich...

Objawiało się też tu w tych czasach pierwszych, zwłaszcza w teologicznem kollegium, życie wielkie, gorące, młodzieńcze, czego najlepszym dowodem był zastęp uczniów liczny już ze świętobliwości swej i nauki, z żywota ofiarnego, ascetycznego, apostołskiego, dających się poznawać.

Nie zdziwił się więc pasamannik Niemcowi, który tu przyszedł po mądrość, chociaż wydało mu się to osobliwem, iż z tak daleka się przywłókl...

Z tą gościnnością chrześcijańską, która była wszędzie naówczas obowiązkiem i obyczajem, dano Grzesiowi posiłek i legowisko... Rozpowiadał im za to o dalekich krajach i o miastach, za którymi tęsknili.

Nazajutrz rano, tłumoczek swój dosyć ciężki, bo w nim papier ważył nad wszystko zostawiwszy, przebrawszy się Grześ pospieszył naprzód do kościoła św. Anny.

Tu już między studentami, po leciech pięciu, ani jednej znanej nie znalazł twarzy, bo dziatwa powyrastała i zmieniała się, a starsi w świat poszli. Kościół za to pozostał niezmienny, jak gdyby Grześ z niego wyszedł wczora...

W progę zawahał się. Serce go ciągnęło do Balcerów, a strach jakiś odganiał. Poszedł do kanonika Wacława... Gdy zapukawszy do drzwi, wsunął się na próg, staruszek siedzący w krześle nad ogromną księgą, podniósł oczy zmęczone, wpatrzył się w niego, i nie poznał.

Był-li temu winien uczeń, co się tak odmienił, czy źrenice, które tak osłabły?...

Dopiero gdy do pocałowania ręki przybliżył się Grześ, odezwawszy ze zwykłem — *Laudetur*, kanonik na obu poręczach się oparłszy, uradowany porwał się na nogi...

— Grześ! — zawołał — Bogu wielkiemu niech będą dzięki... Cały! żyw! a zmężniałeś? a rozumu-żes nabył? a nauki przyspożyłeś?

Starcowi głos mienił się łzawo...

Wzrok miał osłabły, a chciał się przypatrzeć chłopcu, więc go przyciągnął ku sobie i z pociechą przyglądał się męskiej jego twarzy, a z ust wrywały mu się pytania, na które nie doczekawszy się odpowiedzi, zarzucał go nowemi.

Strzemińczyk, któremu w sercu po przywitaniu z kanonikiem zrobiło się ciepło, rozgadał się swobodnie, a o pięcioletniej podróży zaprawdę było co mówić.

Przypatrywał się wszystkiemu. Choć języki i poezja, zwłaszcza starożytne najwięcej go ku sobie pociągały, niemniej też śledził i badał co uczono z historii natury... Była to na nieszczęście nauka w kolebce, nie wchodząca w programy i Grześ tylko spotykając się z lekarzami, mógł mało-co zdobyć wiadomości, które się ograniczały do odgrzebanych z pisarzy starożytnych. Z tych zaś łaciniści tylko byli przystępni znaczniejszej części uczonych, bo język grecki zaczynał dopiero poznawanym być lepiej i o Grekach wiedziano tyle, co się przez łacinników o nich dowiedzieć było można.

Kanonik zaś nietylko teologią i historią, poezją i retoryką się zaprzętał, co rzeczami nauk przyrodzonych tyjącami. Był to, jak dawniej ich zwano, człowiek ciekaw natury, (*naturae curiosus*) w całym znaczeniu tego wyrazu.

Grześ też miał skłonność badać te tajemnice, ale dla niego kluczem do nich była nauka języków, bo razem z wielu swojego czasu ludźmi, pojmował, że naprzód należało przyswoić to sobie, co ludzkość od wieków zdobyła, aby iść dalej na drodze odkryć i postępu.

— Cóż teraz myślisz z sobą czynić? — zapytał w końcu ks. Wacław, ciągle się w ucznia wpatrując.

— Ojcie kochany — rzekł Grześ wahając się — zpełna nie wiem, co uczynię. Poproszę Boga o natchnienie, jaką mam pójść drogą, to pewna, że się uczyć chcę, że się w naszej akademii rozslucham i rozpatrzę i dobijając się będę bakalarstwa a bodaj biretu, jeżeli siły starczą.

— Tak, tak, nie może być innym przeznaczenie twoje — rzekł ks. Wacław — musisz przywdziać suknię naszą i będziesz filarem kiedyś tej Jagiellońskiej szkoły, która światu zaświeci blaskiem wielkim.

Nauka, kto z nią raz ślub wziął, staje mu się wierną do zgonu życia towarzyszką.

Zbyt jeszcze młoda krew płynęła w żyłach chłopaka, aby mógł zupełnie wyrzec się świata, zamilkł więc, ani przecząc, ni potakując.

Kanonik rozpytywał ciągle o niemieckie miasta i szkoły, o lekarzy, o zioła, o zwierzęta osobliwe, jakie mógł widzieć lub słyszeć o nich w podróży. Lecz, pomimo ciekawości swej, mało co z tego przynosił, co ks. Wacławowi pożądanem było.

Miał za to Wirgilego, Owidyusza i Statiusza w tłumoczku, którzy uczonego lekarza mało obchodzili, choć w średnich wiekach Wirgiliusz uchodził za czarnoksiężnika i świadomego wielkich arkanów natury.

Chwilę długą przebywszy z staruszką, ruszył się w końcu Grześ, żegnając go, aby, jak mówił, pomieszczenia sobie szukać w mieście.

Była już naówczas, obyczajem w innych akademiach zwykłym, bursa Isnera, zwana ubogich, lub królewską Jagiellońską, przy Wiślniej ulicy, o której pomyślał ks. Wacław, czyby w niej Grzesia nie umieścić, ale ta podczas, jak prawie zawsze, przepelnioną była, a Strzemińczyk też nadzieję miał, nikomu nie będąc ciężarem, przepisywaniem sobie zarabiać na życie.

Kunszt ten, z którym już na wędrowną się puścił, w czasie niej doprowadził do takiej doskonałości, iż śmiało mógł z najpierwszymi kaligrafami ozdobnością pisma iść o lepsze.

Tak samo w muzyce uczynił postępy wielkie, a że pamięć miał nadzwyczajną, więc pieśni kościelnych, sekwenj, hymnów, równie jak łacińskich i niemieckich piosnek wesołej treści, zapas z sobą wielki przynosił. Gra na cytrze i głos, który z wiekiem się zmienił, ale na brzmieniu nie stracił, czyniły go na owe czasy muzykiem niepoślednim. Na organach też umiał sobie towarzyszyć. Z temi wszystkimi talentami, umysłem żywym i bystrym, odwagą i powierzchownością ujmującą, ubogi szlachetka, któremu i pochodzenie ułatwiało zdobycie miejsca między ludźmi, mógłże zwątpić o sobie?...

Wyszędzszy od kanonika, który żądał, aby rychło do niego powrócił, bo mu chciał miejsce znaleźć przy sobie i izdebkę wyprosić w domu, który zajmował, Grześ miał postanowienie udać się do Balcerów...

Dlaczego obawa jakaś, dziwne uczucie nieśmiałości, przecucie zawodu, wstrzymywało go, nie mógł sobie wytłumaczyć.

Szedł i zwalniał kroku, zatrzymywał się, cofał.

Co tam miał zastać po latach pięciu? Dawną towarzyszkę zabaw, którą siostrzyczką nazywał, wypięknioną, dumną, zmienioną? Dryszek mu o niej mówił, że ludzie za nią biegali, aby na piękność jej popatrzeć!

Grześ może, sam o tem nie wiedząc, obawiał się, aby nowa Lenchen, którą miał ujrzyć, nie odebrała mu, nie zatarła miłego wspomnienia tamtej, którą kochał i z jej obrazem w duszy całe te pięć lat przechodził po świecie.

Zwlekał tak z odwiedzeniem Balcerów, że już ku wieczorowi było, gdy się na mężtwo zebrał i skierował ku ich domowi...

Zdała widział dom, wcale niezmieniony, taki jakim był, gdy po cichu, rankiem wymknął się z niego. Lecz w ulicy i przy domu działo się coś, czego Grześ nie mogąc zrazu zrozumieć, wstrzymał się na chwilę. Na progach wszystkich dworków, w oknach, na drodze pełno było ludu, w powietrzu śmiechu i radości pełno.

Zdała dochodziły brząkania gęśli, pisk fujarek, bicie w bębunki, okrzyki jakies i rąk klaskanie.

Oprócz tłumu ciekawych, który napelniał ulicę i chodniki, wpośród niego dostrzegł orszak postrojonych mieszczan, niewiast w bogatych czółkach, jupkach, zasłonach i mężczyzn w czapkach paradnych, płaszczach bramowanych, butach spiczastych...

Ogniskiem ruchu, miejscem, ku któremu wszystko się to ściągało i skupiało, Grześ nie mógł się omylić, był dworek Balcerów...

Uderzyło go to i pobladł. Domyśleć się było łatwo, iż nic się tam innego tak wesołego odbywać nie mogło, chyba zaręczyny albo wesele, nie czyje inne jak Leny.

Była jedynaczką, a na tak uroczyste i kosztowne zrękowiny lub ślub, mógł się zebrać chyba człowiek tak bogaty jak Balcer.

Stary to zwyczaj był szlachecki równie jak mieszczański, iż wesele musiało być jak najwspanialsze i trwać jak najdłużej. Ci co nie dawali wiana za dziećmi, zmagali się na to, aby dzień ten uroczysty uczynić dla nich pamiętnym.

Musiała już naówczas prawo zapobiegać, aby się na bankiety zbyt ludne, na półmiski zbyt liczne, na trefnisiów nadto kosztownych nie rujnowano.

Wesele Lenchen!! I trzeba było aby los właśnie Grzesia sprowadził tego dnia i godziny, gdy się ono odbywało?

Stanął z rękami załamane biedny, a głos wewnętrzny mówił w nim.

— Tak chciał los twój, aby ci wskazał drogę i przeznaczenie!!

Choć się nie przyznawał do tego sam sobie, Strzemieńczyk żywił jakąś nadzieję, że Lenka o nim będzie pamiętać, że może...

Byłby, któż wie? w zapale pierwszym wyrzekł się dla niej nauki, zdobyłby jakie już zyskał i przyszłości...

Wszakże Dryszek tak poświęcił wszystko dla sołtysównej??

Uśmiechnął się smutnie. W jego życiu wszystko było jakby zawczasu wyznaczonem dla niego, potęga jakaś wskazywała mu drogę, którą on iść musiał. Opierać się jej nie mógł...

Podniósł oczy i patrząc zdała na wesoły tłum oblegający dworek... wśród którego osób nie można było rozeznąć, ważył czy powinien zająć na wesele, czy uciec od niego?

Lecz po co było uciekać? Wszakże zapomniano tam o nim i nikomu serce się nie krajało z tęsknoty. Lenchen nauczyciela i towarzysza nie pamiętała wcale... A on?... Miałże być słabszym od nich i jak dziecko płakać straconej zabawki?

Miał ważniejszy cel w życiu...

Tak myśląc Grześ powolnym krokiem zbliżać się począł do dworku Balcerów, powtarzając sobie, iż było cudem bożym, zesłanie go w tym dniu i godzinie, aby pękł ostatni węzeł, co mu nie dozwalał powołania usłuchać...

— Suknia klesza! cela klasztorna! samotne życie do zgonu, to przeznaczenie moje.

Szedł coraz większego śmiałka udając ku dworkowi, a choć gorzko mu było w duszy, jakby piolunem zapłynęła, postanowił być wesołym. Zdawało mu się to powinnością.

— Grać im będę i śpiewać i śmiać się jakbym był najszcześniejszym — mówił w duchu — inaczej po co iść do nich?

Do progu dworku trudno się było docisnąć, wielka część gości stała na ganku i w sieni, a ztąd widać było stoły zastawione, nawet na podwórku wewnętrznym, które oczyszczono i zielem pachnącem posypano. U progu stała muzyka przygrywając piskliwie i dziwacznie, ale jej też nikt nie słuchał, bo podochoćeni już goście nucili i rozmawiali głośno.

Grzesia, który na ten dzień dostatnio z niemiecka był przyodziany i pięknie wyglądał, nie poznawał nikt...

Patrzano na niego dorozumiewając się przybysza... Balcer, Balcerowa i panna młoda byli wewnątrz domu. Jedna stara sługa, co niegdyś się nim opiekowała, gdy był studentem, niosąc cynowy półmisek, jak obejrzała się przypadkiem, zobaczyła go, osłupiała z podziwienia, krzyknęła i z rąk jej wypadła cyna i ryba, która na niej była...

Nadbiegła na brzęk i szczęk Balcerowa, nie wiedząc co się stało... i ta poznała zaraz Grzesia... Pobladła, zaniemiała, ale po krótkiej chwili oprzytomniawszy zbliżyła się do niego...

Strzemińczyk tymczasem robił co mógł, aby twarz okazać wesołą.

Złożyło się tak, iż nim mieszczka mogła się docisnąć do tego tak niespodziewanego, a może i niepożądanego gościa, Lena, którą mąż prowadził do stołu na miejsce jej przeznaczone, ukazała się we drzwiach na chwilę.

Wzrok jej pobiegł ku matce, pobladła i krzyknęła... Zrobił się popłoch, bo nikt przyczyny nie mógł odgadnąć, czego się pani młoda strwożyła... Przypisywano gorącu i zmęczeniu, że na poły omdlała, matka i pan młody ledwie od upadku uratowali.

Grześ, choć nie widział nic oprócz jej twarzy, zmienionej bardzo, wypiękniałej a smutnej, poznał ją na pierwsze wejrzenie.

Cudownie była wdzięczną i śliczną jak anioł, a ubiór bogaty, rąbki białe, klejnoty, któremi okryta była, podnosiły urok twarzyczki, wśród mnóstwa ładnych, świeżych i młodych, wyróżniającej się czystością rysów i szlachetnym ich wyrazem.

Obok niej domyślił się Grześ w młodym, rumianym, po swojemu też pięknym chłopaku, którego młodość i zdrowie, a jakaś dobroduszość twarzy wesołej i poczciwej, czyniły dosyć miłym, przyszłego męża Leny.

Był to syn bogatego kupca z Nissy na Szlązku, którego Frączkiem po imieniu zwano...

Omdlenie panny młodej i zamieszanie, którego ono było przyczyną, nie trwało długo. Ponieważ przy weselach na wszystko zważano, a każda najmniej znacząca przygoda zaboronnie się wydawała przepowiednią przyszłego pożycia małżonków, matka podbiegła do córki, szepnęła jej coś do ucha i po chwili Frączek już wiódł przychodzącą do siebie Lenę.

Podnosząc się rzuciła okiem ku drzwiom, wzrok jej spotkał się z Grzesia wejrzeniem, uśmiechnęła mu się smutnie.

Matka teraz przecisnęła się przez zastęp gości i zbliżyła do stojącego u progu, z tak przymuszonym uśmiechem jak córka.

Witała Grzesia serdecznie, ale na twarzy jej malował się frasunek.

— Chodźciez bliżej — rzekła wprowadzając go do środka. — Dziwnie się wybrał dzień powrotu waszego...

Wiecież? myśmy tu was już za zginionego mieli. Chodziły wieści różne. Zapewniano nas, że nieszczęście was spotkało...

Lena nauczyciela swego oplakała... Wszak ci to pięć lat!!

Otyły Balcer, który od gorąca, paradnego stroju i zmęczenia, cały był jakby z łaźni, wyszedł czerwony i mokry, szedł także witać Grzesia, nie tak zdziwiony i poruszony jak inni...

Student tymczasem ze wszech sił swych starał się okazać bardzo wesołym... Śmiał się głośno umyślnie, żartować poczynił i udawał takiego lekkoducha włóczkę, jakim nigdy nie był.

Ponieważ towarzystwo weselne po większej części się z Niemców składało, Grześ musiał ich języka używać, lecz tak nim władał teraz, że mu wierzyć nie chciano, gdy się Polakiem opowiadał.

— Co dziwnego — wołał do Niemców otaczających — byłbym niezdarą, gdybym pięć lat po Niemcach się włóczę, ich mowy sobie nie przyswoił.

Bez przymówki do was, mości panowie, co tu w Krakowie po lat dwadzieścia siedzicie, a polskiego języka mało znacie...

Nierychło po tych pierwszych szarmydlach, ze drzwi Balcerowa podprowadziła Grzesia do pani młodej, aby się też z nią bliżej przywitał i z Frączkiem zapoznał.

Lena go oczyma oddawna ścigała, a gdy podszedł, wyciągnęła rękę do niego, do męża się odzywając.

— To mój nauczyciel, o którym wam rozpowiadałam, patrzcie abyście sobie przyjaciółmi byli dobrymi.

Frączek też, chłop serdeczny, wstał Grzesia uściskać bez zazdrości najmniejszej, z uśmiechem poczciwym i wyraził to zprostą, jak się cieszy, iż na wesele Pan Bóg mu dał gościa tak miłego jego żonie.

— Bóg widzi — odezwał się Grzes, ciągle wesołość udając — że czyste losu zrządzenie mnie tu przyniosło, cudem prawie. Wszakże w ulicę wchodząc o weselu wcale nie wiedziałem, a Dryszek, którego wczoraj spotkałem na drodze, chciałem go o państwa Balcerów pytać, nic mi o tem nie wspomniał.

Balcerowa posadziła zaraz Grzesia pomiędzy młodzieżą, nieopodal, dobre dając mu miejsce, z którego się pani młodej mógł przypatrywać.

Siedziała smutna, ale to wiadoma rzecz, iż mężatka młoda na weselu swem zbytniej radości okazywać nie powinna. Nie uderzało więc to nikogo. Frączek za to, jakby go na sto koni wsadził, śmiał się, żartował, nalewał, a trefnisiom, co się do nich zbliżali, pieniądze garścią sypał do nastawionych kołpaczków...

Towarzystwo składało się przeważnie z mieszczan, kupców i Niemców, chociaż duchownych i klechów także się w niem kilku znajdowało... Ci, dowiedziawszy się kto był Strzemieńczyk i przypomniawszy co tu o nim rozpowiadano, zaraz do niego przyłgnęli... A że wina i miodu w bród było i w głowach wesołe myśli krążyły, ku końcowi uczty, przypomniano sobie śpiew Grzesia i głos jego...

Nuż go tedy prosić i oblegać o piosenkę... Cytra się znalazła pod ręką, wetknięto mu ją gwałtem prawie. Stara Balcerowa, gospodarz, pani młoda i jej mąż tak usilnie nalegali, że choć może śpiewać mu się nie chciało, uległ prośbom...

Nakazano milczenie trefnisiom i muzyce, a Grzes palcami po strunach przebieając począł od niemieckiej piosnki.

Wybierał ją długo w myśli, bo miał z czego, nie chciał smutnej, nie mógł wesołej, zaśpiewał więc obojętną o siedmiu życzeniach :

Hält ich siben Wunsch in meiner Gwalt...

Znali ją wszyscy, ale głos Grzesia, nawet dla tych co go dawniej słyszeli srebrnym, dziecięcym, słodkim, zabrzmiał tak, iż najdalsi biesiadnicy porwali się z ław, biegnąc bliżej, aby go lepiej posłyszeć.

Rozległ się z taką siłą, z takim dźwiękiem, iż nawet ci, co w początku sobie lekceważyli ten popis, zamilkli osłupieli...

Nikt tu, jak żyw takiego śpiewu nie słyszał nigdy; wprawnego, śmiałego, długim doświadczeniem uczynionego posłusznem narzędziem pana...

Pieśń nie zdawała się nic kosztować tego, co ją nucił, przychodziła mu łatwo, bez wysiłku, jak ptakowi na gałęzi.

Gdy skończył swych życzeń siedm, pomiędzy którymi była i miłość pięknej kobiety, ale wciśnięta między takie pospolite życia potrzeby, że jej tam wstyd mieścić się było, niewiele zważając na słowa, podziwiali wszyscy śpiew cudowny.

Biesiadnicy byli podochoceni, pieśń chłodna nie dość się im zdała do serca przypadać. Nalegano na jedną z tych niemieckich pieśni miłosnych, któreby do śmiechu i do rumieńców pobudziły... Grzes uległ, ale wybrał skromną i smutną, śpiewał ją z oczyma spuszczonemi na cytrę i choć głos chwalono, żądano czegoś śmielszego od wędrownego studenta...

Oparł się temu.

— Wesołej chcecie, to wam zaśpiewam naszą, szkolną, studencką... ale po łacinie... Pochwycił kubek z winem, oczy mu dziko zaświeciły, usta gwałtem zmusił do jakiegoś uśmiechu rozpaczliwego, struny szarpnął silnie i... silnym począł głosem:

*Vinum bonum et suave,
Bonis bonum, pravis prave...
Cunctis dulcis sapor, ave!
Mundana laetitia!*

Choć nie wszyscy rozumieli, wesoła, szalona nuta starczyła za słowa, wszyscy poczuli wtórować Grzesiowi, tupiąc w takt nogami i bijąc o cynowe misy...

Wtem nagle, jakby wysiłek ten był nad moc jego, student wypuścił z rąk cytrę, kubek napełniony wychylił do dna duszkiem i powstał.

Twarz mu pobladła i zmieniła się, udawaną radością się zadławił.

Poruszył się z ławy, chcąc wyniść, tłumacząc nużącą podróżą, skwarem i potrzebą spoczynku...

Nie śmiano nalegać. Grześ po chwili wysunął się niepostrzeżenie, rzucił zdala wejrzaniem tęsknem ku pannie młodej, jakby ją żegnał, wmięszal w tłum chodzących około stołu gości i wśród nich zniknął tak, że nie wiedzano kiedy wysliznął się z domku Balcerów.

Tymczasem wesele z muzyką i płasami, do białego dnia trwało...

V

W tych czasach, gdy Grześ przybył do Krakowa, w młodej akademii sławił się starszy od niego wiele, ale rozkwitający do życia Ambroży Boner...

W dwudziestu kilku latach zdobył sobie pierwszy laur akademicki i gdy inni rówieśnicy jego uczyli się jeszcze, on już pisał komentarze nad Piotrem Lombardem.

Dziecię zamożnej rodziny, mógł się spodziewać, okazawszy chęć obleczenia sukni zakonnej, najwyższych dostojerstw w kościele. Prorokowano mu nadzwyczajną przyszłość. Świecił jak dyament, nie tylko pomiędzy młodszymi, ale w gronie starych teologów...

Radzili się go doktorowie, podziwiali łatwość argumentowania, dyalektykę, i styl piękny wszyscy owych czasów styliści...

Z nauką, młodością swą, stosunkami rodziny, mógł sobie prędko obiecywać infułę, a nikt nie wątpił, że ona go czeka.

Lecz świetny ten początek całe co innego wróżył, dwudziestokilkuletni księżyna, nagle zamknął się na Kazimierzu w klasztorze ks. Augustyanów Eremitów, u św. Katarzyny, przywdział habit, odbył nowicyat i objawił niezłomną chęć poświęcenia reszty życia na chwałę Bogu i usługę biednych ludzi

Cudowny młodzian, który w zakonie nosił imię Izajasza, stał się jednym z tych mniichów, jakich tylko stare dzieje pierwotnych wieków znały.

Posty, modlitwy, włosienica, nocne nabożeństwa, odwiedzanie chorych, grzebanie umarłych, posługa ubogim, pochłonęły całego... W chwilach odpoczynku zatapiał się w ascetycznych księgach... Z tego życia, którego celem było zapanowanie nad sobą i osiągnięcie chrześcijańskiej doskonałości, nic go wyrwać nie mogło...

Uczony młodzian, którego umysł bystry i erudycja cudownie nabyta, zawstydzali mądrych profesorów, posiwiących nad księgami, nie znalazł u Augustyanów ludzi, coby go ocenić umieli, przecież z pokorą wielką korzył się przed przełożonymi, rozumem i wolą... Był to wzór zakonnika i naówczas już widziano w nim za żywota ubłogosławionego...

Grześ w czasie pierwszego pobytu w Krakowie, gdy Izajasz zwał się Ambrożym i był jeszcze świeckim kapłanem, widywał go i miał u niego łaskę.

Boner cenił żywy umysł chłopaka, pojęcie łatwe i posługiwał się nim do przepisywania.

Od tego czasu lat upłynęło kilka, Boner się zamknął w klasztorze...

Grześ powróciwszy nie słyszał o nim jeszcze, choć w całym Krakowie za wzór świętobliwości go wskazywano.

Zaraz nazajutrz po weselu, gdy przechodził ulicą zadumany, ten traf, który w życiu Strzemińczyka, grał tak opatrzoną rolę, nastroczył mu... Izajasza, który od grobu świętego Stanisława do swego klasztoru powracał. Miał on do świętego męczennika szczególne nabożeństwo.

Pod tą suknią nową nie byłby go Grześ poznał pewnie, zwłaszcza że i twarz, niedawno rumiana i świeża młodego Izajasza, umartwieniami, postem, dobrowolnemi męczeństwami, nadzwyczaj zmienioną była.

Błądy, z policzkami zapadłymi, w starym habicie wytartym, bosi, z nogami poranionymi, nie zwrócił nawet na siebie uwagi zamyślonemu studentowi, który pogrążony był od wczoraj w smutnych jakichś dumaniach o przyszłości, walcząc z sobą i wahając się jeszcze, co pocznie, ale Boner z tem jasnowidzeniem dusz wybranych, które szukają wszędzie

boleści, aby ją pocieszać, wątpliwości, by ją rozjaśniać, przypomniał go sobie, wyczytał w twarzy jego utrapienie, przystąpił do niego i pozdrowił.

Grześ nie mógł go sobie przypomnieć. Głos i twarz były mu znane, ale człowiek wydawał się obcym.

Mnich położył mu ręką na ramieniu i uśmiechając się łagodnie, szepnął, iż był tym, dla którego on przepisywał niegdyś wyjątki Boecyusza...

Strzemińczyk teraz dopiero poznał go i zawołał zdziwiony.

— Ale cóż z wami się stało?... ta suknia?...

— Dała mi spokój, dobiłem do portu... jestem szczęśliwym — rzekł uśmiechając się Boner. — Dwu panom służyć nie można, wybrałem więc tego, ku któremu wielka mnie miłość ciągnęła... baranka skrwawionego na krzyżu...

Z zazdrością prawie i poszanowaniem skłonił przed nim głowę Grześ i westchnął.

— Widzę z twego oblicza smutnego — dodał ojciec Izajasz — żeś... na rozdrożu, a w niepewności dusza twoja... Chodź ze mną, zwierż mi się, ażali nie przemówi przez niegodne usta Duch święty, może ci pociechę dam, a przynajmniej zaboję z tobą...

Szli tak razem ku klasztorowi św. Katarzyny na Kaźmierz, a Grześ powoli opowiadał o swych wędrówkach.

Choć się ze stanu duszy swej nie zwierzał przed Izajaszem, łatwo mu było z samej powieści go odgadnąć. Milczał mnich nie przerywając... Razem weszli do celi mnicha.

O. Izajasz z umysłu zajmował i wyprosił sobie najnędnniejszą, ciemną, wilgotną, małą, a spojrzenie na nią malowało człowieka, który na świecie żył jeszcze, lecz już nie dla świata.

Nie było tu ani łoża, ani pościeli, bo asceta sypiał kilka godzin zaledwie, krzyżem leżąc na podłodze.

W kącie stał klęcznik twardy, a około niego zaschłej krwi krople rozprysłe, świadczące o biczowaniu... Krzyż i trupia głowa koronowały go...

Było to schronienie męczennika...

Z wesołą twarzą wprowadziwszy go, mnich zwrócił się do Grzesia...

— Tu szczęście moje! — zawołał — nie ma go gdzieindziej!

Trwoga jakaś ogarniała studenta, który stał zaniemiały...

— Mów jako przed bratem, co cię boli — dodał zakonnik.

— Znacie trochę żywota mojego — począł Grześ. — Uszedłem z domu rodzicielskiego dla nauki, bom do niej czuł popęd wielki, dla niej o głodzie i chłodzie włożyłem się po świecie. Nie jestem syt, nie wszystka nauka słodką mi się wydaje... Powróciłem w rozterce z sobą samym.

Mam-li wdziak suknię duchowną, czy w życiu czynnem, do którego pochop też czuję, starać się służyć ludziom i Bogu?

Co czynić? co przedsiębrać? nie wiem. Świat mi się uśmiecha jeszcze, nie mam siły się go wyrzec, a potęgą jakaś z góry zdaje się mnie popychać na inną drogę...

Wy, ojczy szczęśliwi jesteście, bo głos, który mówił do was, inne zagłuszył, a ja...

Izajasz słuchając go, stał z rękami złożonymi do modlitwy i zdawał się więcej może modlić, niż słuchać go, prosić o natchnienie z góry...

— Cóżes przyniósł z tej wędrówki po obczyźnie? — spytał łagodnie...

— Ten sam niepokój z jakim wyszedłem ztąd, wątpliwości wielkie, niepewność wszystkiego, do czego się dobijałem tak usilnie. W tej mądrości ludzkiej, którą zdobyć pragnąłem, zaledwie kielich jej ust moich dotknął, ambrozja się w żółć zmieniała. Co zdala jaśniało mi, zblizka wydaje się nikczemnem... Gdzim się spodziewałem ziarna, pustą znalazłem lupinę...

Izajasz milczał.

— Uczyc się pragnę zawsze, lecz są chwile, w których nauka wstrętną mi jest, bo ją czuję zawodną. Mam-li wdziak suknię duchowną??

Mnich dumiał, dał znak ręką i poszedł do klęcznika, padł na kolana, złożył dłonie, pochylił głowę i zatopił się w modlitwie.

Grześ stał patrząc nań z podziwieniem i trwogą.

Na tej rozmowie z Bogiem, Izajasz zdawał się o nim zapominać, nareszcie powstał zwolna... Spojrzał na oczekującego miłosiernie...

— Nie spiesz z tem — rzekł — co powinno być dziełem przekonania i natchnienia. Walczą w tobie nieukołysane żywioły, a walka ta, jak każda w życiu, może być płodną. Ale w tym ducha stanie, do bozkich ołtarzy przybliżać się nie godzi. Pomnij, że pierwsi chrześcijanie katechumenami długo stać musieli po za zgromadzeniem wiernych, niżeli do agapów byli przypuszczeni...

Lepiej jest nie wchodzić tam, z kądem wyjść się nie godzi, niż wnieść ze sobą, nie już zgorzenie, ale wątpliwość. Wzrok twój mgła ziemiska jeszcze zaciemnia, nie widzisz jasno, módl się i pracuj...

Gdy człowiek jest bezsilny, naówczas, na godnego pomocy, spływa łaska... z łaską spokój ducha, a z nią spadają z oczów łuski...

Nie, nie kwap się! — powtórzył Izajasz.

Grześ odetchnął swobodniej.

— Widzisz — dodał Boner — sam kapłan i zakonnik, nie ciągnę cię do tego, co dla mnie portem jest i szczęśliwością, albowiem wyzuc się trzeba ze starego człowieka, aby nowym być, a w tobie kipi krew i bije serce...

— Skazany więc jestem — przerwał Grześ smutnie.

— Na walkę, jak wszyscy ludzie — odparł Boner. — Jedni z nich przez klasztor idą do nieba, inni przez światła drogi cierniste... I purpura bywa włosiennicą i korona cierniem bywa... Różnie powołuje Bóg i sobie służyć każe...

Jak mądre dziewice, czekaj z lampą zapaloną, patrząc aby ci ona nie zagasła...

Strzemieńczyk zbliżył się wzruszony i w rękę go pocałował. Boner zamilkł.

— Pozostaniesz w Krakowie? — zapytał po chwili.

— Sprzykrzyły mi się wędrówki — odparł Grześ — chcę słuchać nauk w akademii naszej i jej służyć...

Pozwolicie ojcze, abym w godzinach zwątpienia i utrapienia, o pociechę i pomoc was prosił?...

— Widzisz — rzekł Boner — zem sam pierwszy zwrócił się do was. Jako służę wszystkim, tak i tobie, radą a pocieszeniem chcę służyć. Idź z Bogiem w pokój...

Uścisnął go zakonnik okazując mu jakby miłosierdzie wielkie, w czym Strzemieńczyk, choć widział pewną pociechę, czuł też przepowiednię ciężkich walk, jakie go na świecie czekały, a które błogosławiony mnich przeczuwał wcześniej...

Pokrzepiony wszakże radą tą i umocniony w postanowieniu czekania, aby się powołanie do stanu duchownego silniej w nim objawiło, wyszedł Grześ z klasztoru i powrócił do miasta...

Zostawało mu wiele do czynienia, a naprzód samo opatrzenie mieszkania, gdyż ks. Wacławowi ciężarem być nie chciał.

W tych myślach na rynek krakowski wchodził, gdy jednego z współbiedników wczorajszych, dawniej też sobie znajomego syna kupieckiego, którego Gąską zwano, ujrzał w wesołym humorze, kroczącego ku Sukiennicom.

Poznał go zdala Gąska i stanął...

Z wczorajszego wesela i biesiady jeszcze mu coś dobrej myśli pozostało. Począł wabić ku sobie studenta.

— Toście wczoraj nam z pola zbiegli niedotrzymawszy placu — rzekł wesoło. — Szukano was nadaremnie...

— Ani się dziwicie temu — odparł Grześ — com miał smutny i znużony robić między wesołymi?

— Bylibyśmy cię upoiłi i rozochocili?

— Albo ja was otrzeźwił i zasmucił. Trosk mam dosyć i do czynienia wiele...

— Ktoby temu wierzył! — rozśmiał się Gąska — albośmy to cię dawniej nie znali, żeście umieli podolać wszystkiemu, tak i dziś... Nie darmo macie głowę na karku...

— I głowa nie pomoże wiele, gdy rąk niema za co zaczepić — smutnie odezwał się Grześ.

— No, mówcież jaśniej, czem się tak frasujecie?

Strzemieńczyk z prawdziwej troski mu się spowiadać nie chciał, człowiek był nadto lekki, aby go rozumiał, więc tłumacząc się od niechcienia, rzekł, że nawet gospody sobie nie znalazł jeszcze...

— Tak-że mów — przerwał Gąska — i chodź ze mną... Wicie lub nie, zem po ojcu dom odziedziczył przy Grodzkiej, żyję w nim sam z matką, izb dosyć próżno stoi... Wybierzcie sobie jaką zechcecie...

— Najmiecie mi ją?

— Dam lub najmę, jak wola — odezwał się Gąska. — Wiem to, że wy pisać musicie, a do pisma światła potrzeba, nad gankiem izdebka jest, wschodki do niej nieosobliwe, ale nogi masz młode...

— Chodźmy — rzekł Grześ.

Tak się mieszkanie znalazło rychło. Komora była prawie próżna, a służyła dotąd tylko znajomym gościom do Krakowa przybywającym.

Gąska nie żądał za nią wiele i dodał śmiejąc się, iż Grześ za komorne czasem mu pieśń zaśpiewa...

Zeszli potem na dół do staruszki matki Gąski, która w swej izbie siedziała, niebardzo się już poruszając mogąc, bo niemoc w nogach miała i z krzesła służby i gospodarstwa dozierała.

Pomimo wieku i osłabienia, babina wesołą była, nudziło się jej samej w domu z dziewczkami, syn rzadko przesiadywał, powitała nowego komornika bardzo rada, że ich w domu więcej będzie.

Strzemińczyk też miał to szczęście, że się powierzchownością niewiastom podobać umiał. Stara jejmość dla gościa i dla syna, chcąc ich zatrzymać dłużej, wina zagrzać kazała.

— Chwalić Boga, że was mój Maciek złapał — rzekła — w domu nas więcej będzie... Nie chce mi się żenić, choć go proszę i swatam; a ja stara już w domu podołać nie mogę... Pomożecie mi może, aby go do wesela namówić...

Tu babuś przerwała sobie.

— Nie napatrzyłeś tam kogo na weselu? — spytała, i nieczekając odpowiedzi ciągnęła dalej. — Ot i tę, Lenchen Balcerów, gdyby był jeno chciał, byłby miał, jak Bóg żyw, a dziewczę śliczne i wiano piękne...

— Ale! ale — przerwał Gąska — Balcerówniej dostać nie było łatwo. Prawda że piękna i bogata, ale za mąż iść cale nie chciała, i rodzice ledwie ją na pół uprosili, wpół zmusili...

— Cóż to jej było w głowie? — spytała stara.

— Pewnie sobie roila panka. Wojewodzica czy kto ją wie kogo... — mówił Gąska. — A i to pewna, że choć mąż chłopak ładny i nieubogi i rodzina poczciwa, ledwie nieledwie ją matka skłoniła...

Staruszka kiwała głową.

— Drożyła się — wtrąciła — jak to one wszystkie; a takie małżeństwa przecie najlepsze bywają. Z wielkiej miłości zawczasu, potem tylko kwasy i swary...

Grześ, który słuchał z uwagą, tknięty tem, iż o Balcerównie powiadano jakoby za mąż iść nie chciała, poruszył się ciekawie.

— A zkądże o Balcerównie wicie, iż do kobierca ochoty nie miała? — zapytał.

— Cale miasto wie o tem — rzekł Gąska. — Osobliwa była dziewczyna, bo jej pan Bóg wszystko dał, a tak chodziła zawsze zatęskniona i smutna, jakby najnieszczęśliwszą była. W końcu kumoski matce otworzyły oczy, że ją koniecznie za mąż wydać trzeba...

— No, i dobrze ją wydali — odezwała się matka Gąski. — Mąż, chłop dorodny, dobry, stateczny i szpetny nie jest.

Słuchający syn, palcem się w czoło uderzył, babina to postrzegła.

— To co? — przerwała — albo ona za dwoje rozumu nie ma... Wszyscy przecie i o tem wiedzą, że ona na kobietę aż nadto oleju ma w głowie. Nie wiem czy nie kłamię, ale rozpowiadali, że pisać i czytać ktoś ją potajemnie nauczył...

Zarumienił się Grześ i spuścił oczy.

— A co jej potem — dodał Gąska — wolałaby szyć i kuchni pilnować...

Matka nie zaprzeczała temu. Strzemińczyk się nie mieszał do rozmowy. Wtem gospodarz wstał i odezwał się.

— Nie pójdziecie dziś do Balcerów? Wesele trwa i pewnie jeszcze dni kilka się przeciągnie. Ja zajrzę też, chodźcie ze mną.

Zawahał się Grześ, ciągnęło go tam bardzo, obawa jakaś odpychała. Iść tam, aby mu serce bolało więcej? Nigdy on wprawdzie na wielkiej przyjaźni do swej uczennicy, nadziei żadnych nie pokładał; wiedział, że ubogie chłopie, choć szlachectwo jego coś ważyło, do

zamożnej kupcowej nie mógł się posunąć, a jednak teraz, gdy ją widział zamężną, zazdrość i jakieś uczucie niewysłowionej bolesti, serce mu uciskało...

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Gaska nalegać począł mocniej.

— Chodź ze mną. Wczoraj za wami tam wszyscy się oglądali, będą wam radzi...

— Wyście też byli na weselu? — zapytała stara.

— A jakże! — rzekł Gaska. — Stary pono znajomy Balcerów i bardzo go tam witali serdecznie.

Strzemińczyk z gorzkim uśmiechem zwrócił się do gospodyni.

— Tak — rzekł — gdym pauprem przybył do Krakowa lat temu już sporo, pierwsi mnie żywili Balcerowie.

Staruszka potrząsnęła głową, Gaska tymczasem za rękaw go ciągnął i nalegał.

— Chodź ze mną...

Rozum iść nie kazał, a słabość ludzka ciągnęła. Grześ w końcu dał się skusić.

Dnia tego wprawdzie już wczorajszego ścisku i tłumy nie było, ale wewnątrz dworek pełniuteńki, i muzyka i ochota a okrzyki około stołów, z których miski i dzbany nie schodziły.

W progu ich powitała Balcerowa, z twarzą zmęczoną i posępną...

Grześ wsunął się nieznacznie, szukając pani młodej oczyma. Siedziała sama otoczona mężatkami, a mąż jej wesół w drugim końcu izby poił gości... Żona, jak matka, zdawała się znużoną, blada była jak wczoraj, i roztargnionym wzrokiem toczyła po izbie, gdy niespodzianie Grześ się jej nastęczył.

Lekki rumieniec okrył jej twarzyczkę, i jakby się lękała, aby gość ten jej nie uszedł znowu jak wczoraj, wstała żywo, śmiało się zbliżając ku niemu...

Uśmiezek zjawił się na jej ustach...

Strzemińczyk widząc ją wprost idącą ku sobie, musiał też naprzeciw niej kilka zrobić kroków. Goście weselni, których pełno było, podweseleni, mało na co zważali, tak byli sobą zajęci. Wśród nich więc mogli tak swobodnie rozmawiać, jakby się na osobności znajdowali...

— Długo, długo was w Krakowie nie było — zaczęła cichym głosem Lena. — Wam w podróży czas biegł pewnie prędko, nam tutaj powoli. No! i wy mnie porzuciliście dzieckiem, a znaleźli w czepcu!

Westchnęła. Grześ się silił na wesołość.

— W sam czas przybyłem — rzekł — aby wam powinszować...

— Nie wiem czy jest czego — przerwała — bo mnie się iść za mąż serdecznie nie chciało... Ale ojciec kazał, matka prosiła i płakała...

Spuściła oczy jakby je ukryć chciała.

— Zostaniesz w Krakowie? — spytała.

— Muszę — rzekł Grześ — powróciłem jak wyszedłem z sakwy próżnemi, pracować potrzeba, a między swemi łżej i ochotniej...

Oczy Leny podniosły się teraz i długo uparcie wlepione pozostały w Grzesiu. Zdawała się porównywać żywego z tym, który został w jej pamięci.

— Nie zapominajcież o nas — odezwała się spokojnie — gdyście Bogu dzięki wrócili. Stara przyjaźń nie powinna umierać.

— Wdzięczność tem bardziej — przerwał Grześ. — U waszego progu pierwszy znalazłem chleba kawałek i miłosierną rękę...

Na tę rozmowę poczętą ledwie, młody mąż Balcerówny nadszedł, szukając jej nie-spokojny, wesołą twarzą witając wczorajszego gościa... Z drugiej strony przysunęła się matka, a tuż i niektórzy z gości, przypomniawszy śpiew Grzesia, targać go zaczęli, znowu się o pieśni dopominając.

Dlaczego Strzemińczyk znalazł się teraz usposobionym lepiej i prosić się nie dając, wziął cytrę, sam on pono nie wiedział... Kołem otoczyli go wszyscy, cicho się w izbie zrobiło, i miłosa pieśń stara niemiecka zabrzmiała... Grześ wprawdzie zdawał się na struny cytry patrzeć tylko, lecz ukradkiem wzrok jego biegał po izbie...

Smutek ranny, niepokój i zwątpienie, które go do celi Izajasza zawiodło, wszystko co od niego słyszał, zapomniane zostało... Świat mu się wydał nie tak czarny, życie w nim nie tak utrapione, przyszłość nie tak groźna...

Mógł zdaleka patrzeć choć na cudze szczęście... Nie sami źli ludzie byli do koła... Śpiew przynosił pociechę, a grzechem być nie mógł...

Czemu nie miał pozostać takim śpiewakiem ptaszyną, co nucąc drugim i sobie żywot osładza?...

W tych myślach dokończył piosenki, i natychmiast drugą rozpoczął... Cały teraz był znów, jak nieraz w chwilach niedoli wędrownego życia, w pieśni, która go przenosiła jakby gdzie wyżej i dalej, a nie dała boleć nad tem, co było blisko.

Cudowna moc poezji i muzyki upajała jego samego powoli, a siła jej też ze śpiewaka promieniając, owładowała wszystkimi.

Kobiety miały na oczach łzy, mężczyźni dumali, wzdychali starzy, rozmarzali się młodsi, on zapominał... Stąpano coraz ostrożniej, szeptano coraz ciszej, i gdy on nareszcie zamilkł, długo jeszcze czekano, czy nie rozpocznie na nowo...

Wtem pani młoda, która z innymi razem zasłuchiwała się w pieśniach, jakby rozbudzona, poszła do stołu, nalała kubek i przyniosła zadumanemu śpiewakowi.

Grześ się porwał.

— Za zdrowie wasze! za szczęście! — zawołał głośno, ale ze drżeniem jakimś.

Obstąpili go wszyscy, rozmowa na chwilę przerwana stała się gwarną, a student korzystając z nowego napływu gości, wysunął się do nowego swojego mieszkania.

W kilka dni potem był już obeznany ze wszystkimi i oswojony ze swem położeniem. Na tułactwie wielu rzeczy liczył i zakosztował, do wielu skarbnic zajrzał, nie miał czasu nigdzie czerpać do dna. Wszystkie strony słabe nauczania i nauki bystry wzrok jego pochwytał, a poważnych zaniedbał... Potrzeba było czas niestracony, ale dopiero teraz mający się na korzyść obrócić, spożytkować, biorąc się do studyów gorliwie. Wiedział już Grześ, że łupin znajdzie wiele, że powłoki mu zaciężą, formy znużą, wywody zdadzą się niepożyteczne i długie, lecz rozumiał i to, że wykłady nie dla samych bystrych i pojętnych przeznaczone były, ale też dla nierozbudzonych i leniwych, którzy nic o własnej sile nie mogli zdobyć, a wedle wyrażenia gminnego, wszystko im łopata w głowę kłaść było potrzeba.

Z pomocą dawnych swych znajomych i towarzyszków, za protekcją kanonika Wacława, nietrudno mu było przyjętym zostać na słuchacza w kolegium mniejszem, które sam wybrał sobie...

Pomnażały się właśnie w owym czasie kolegia, i akademia rozrastała szczęśliwie, chociaż cała ona na ofiarności ludzi, na miłości nauki i poświęceniu się dla niej opierała. Szczupłe były, zaledwie najniezbędniejszym potrzebom starczące, pierwsze fundusze profesorów, którzy jeżeli głodem nie marli, winni byli swym beneficjom duchownym i bardzo skromnym wymaganiom. W kolegium większem i najstarszem, na stół (*mensa vere philosophica*), którym się tylko filozofowie mogli zaspokajać, zbierano co tydzień grosz wdowi... Jadano razem i wesołość a chrześcijańska wstrzeźliwość stanowiły potraw ubogich przyprawę.

Mieszkali tu sami teologowie i filozofowie, a życie było istnie klasztorne i reguła surowa...

Kolegium mniejsze, w którym Grześ miał słuchać nauk, założone i wyposażone przez dobroczynnych ludzi, mieściło się w skromniejszym, drewnianym budynku, było uboższe jeszcze, ale życie w niem mnożyło się i rosło... Miłość nauki je ogrzewała i karmiła. Tu więcej i przeważniej zajmowano się poezją, retoryką, gramatyką... wymowy profesorów płacił zapis Nowkona, astronoma Stobnera, a poetę Mężykowa wojewodzina ruska. Inni profesorowie żyli prawdziwie łaską Bożą i manną niebieską. Nikomu to wówczas nie zdawało się ani dziwnem, ani złem, ani uwłaczającym, owszem znajdowano, że zgodnie z powołaniem swem filozofowie i poeci, którym marność świata tego były obojętne, zatopieni w kontemplacji piękna i prawdy, łatwiej od innych bez chleba i dostatków obejść się mogli.

Było to logicznem, licowało z pojęciami wieku i nie odstręczało wcale od nauki i poświęcenia się jej całkowitego...

Grześ nie potrzebował wkupiać się do gromadki studenckiej, która go znała i wiedziała, że wielekroć wprzód Beanusa z niego otrząśnięto, rogi mu opiłowano, myto, golono i uczono *participiów* szczypaniem...

Tylko się bez uczty, *propiny*, nie obeszło, na którą Strzemińczyk zaprosił współtowarzyszów... i sam smutny dosyć, wesołością się ich cieszył. Położenie jego było zupełnie odrębne i wyjątkowe... Umiał więcej od wszystkich współpracowników, a równo może z wielu profesorami; nauka jego, pochwytna łatwo na rozdrożach, szerzej sięgała, niż szczupłe zakresy programów ówczesnych, lecz jak w sakwach jego podróżnych leżał Virgiliusz obok Stacjusza i Plaut z Gualterem de Vino Salvo, tak i w głowie młodej zapasy nie były uporządkowane...

Współuczniowie i profesorowie zarówno byli przybysza ciekawi, lecz Grześ w początku, z wyjątkiem kanonika Wacława nie otwierał się nikomu. Chodził pilno do lektoriów, słuchał uważnie, a gdy stawało czasu, zbiegał i do kolegium większego wciskając się między teologów, i do kolegium lekarskiego na ulicę Kanonną.

Z tego, co się w jego umyśle działo, z procesu ducha, który potrzebował opanować siebie i przyjść do równowagi, nie spowiadał się nikomu.

Im więcej trapiły go wątpliwości, im mniej był zaspokojony pokarmem duchowym, jaki mu z katedry podawano, tem uparciej milczał, i z poszanowaniem przyjmował, co było na dziennym porządku.

W oczach jego tylko czasem baczniejszy postrzegacz mógłby był pochwycić coś jak ironię i zdumienie, jak rozczarowanie i czasem zwątpienie.

Niektórzy z nauczycieli bystrzejsi, zdawali się przeczuwać w nim sceptycyzm i krytykę, lecz nie wydał się przed nimi...

Składało się zresztą wszystko pomyślnie dla niego, nauka nie wymagała zbyt wiele czasu, bo był do niej przygotowanym, resztą więc poświęcić mógł przepisywaniu, które się opłacało a znużony grał i śpiewał, sobie lub drugim.

Śpiew był dla niego jakby napojem Letejskim, zapominał nucąc o tem, co mu ciążyło, w świecie poezji chmury zwątpień znikają przy jej słońcu...

Rozweselał się czasem aż do młodzieńczego szału, który trwał u niego niedługo. Jedno nic czyniło go poważnym i chłodnym.

Zapraszany do zamożnych mieszczańskich domów, ugaszczany dla głosu tego, ulubieniec kobiet, bo piękność jego zyskiwała mu serca równie jak talent. Grześ czasem dawał się wciągać między ludzi, a niekiedy zamykał i dziczył.

Pomimo zapraszań swej dawnej uczennicy Leny i jej męża, Strzemińczyk widocznie domu ich unikał i wyraźne chyba wezwanie, na chwilę go tam sprowadzało.

W kilka miesięcy po przybyciu do Krakowa, dnia jednego wychodząc z kościoła, w którym na chórze śpiewał, spotkał Grześ u drzwi stojącą i jakby oczekującą na kogoś starą Balcerową. Byłby ją pominął skłoniwszy się, bo mu pilno było, ale go sama zatrzymała.

— Patrzajcie niewdzięcznika! — odezwała się do niego — żebyś to choć zajrzał do nas?

Grześ ruszył ramionami.

— Roboty mam siła — rzekł chłodno.

— Nie plótlbyś, kiedy wiem, że u innych gościsz, u Keczerów i Sowki godzinami siadujesz? Córka i zięć prosili cię, ja także, i doprosić trudno. Masz co do nas??

— Uchowaj Boże — zawołał Strzemińczyk zmieszany. — Byliście dla mnie jakby rodzice drudzy, sercem zachował wdzięczne.

— A okazać nam tego nie chcesz?

Grześ głowę spuścił. Przyparto go do ściany, zamyślił się i podniósłszy oczy, śmiało spojrzął na Balcerowę.

— Byliście mi matką — rzekł poruszony — nic dla was tajnego mieć nie chcę. Nie przychodzę do was, aby sobie serca i Lenie nie rozrzniać, alboż nie wiecie, żem ją kochał i Kocham? Trudno miłość utaić, a ludzie są zli...

Balcerowa trochę się zmieszła.

— Kochaliście się dziećmi — rzekła powolnie i niewyraźnie — no, to cóż? została przyjaźń... Lena za wami tęskni... ciągle was wygląda, przypomina i widzieć żąda... Bez złej myśli, jako przyjaciel i brat, czemubyście przyjść nie mogli??

Zatrzymała się trochę stara i dodała głosem cichszym jeszcze...

— Choruje, Bóg widzi z tęsknoty za wami... Nie dziwaczcie...

Grześ jeszcze chciał coś mówić, ale stara go za rękę pochwyciła i dodała żywo.

— Przyjdźcie a prędko. Powinniście...

I odwróciwszy się odeszła.

Grześ stał chwilę jak upojony, i zebrawszy myśli nierychło, z głową zwieszoną do domu się powlókł.

Tego dnia jednak do Balcerów nie przyszedł. Nazajutrz w biały dzień, bo mu się to właściwszem zdało, zjawił się we dworku.

Zastał Lenę z matką, starego Balcera i męża nie było. Zobaczywszy go stara, aż do progu podeszła witać i usadowiwszy przy córce, sama z izby się wysunęła.

Z początku słowa do siebie przemówić nie mogli.

— Któraż was mieszczka oczarowała, tak, że już o nas zapomnieliście? — odezwała się Lena.

— Bóg widzi, żem na te czary zbrojny, i przystępu one do mnie nie mają — odparł Grześ. — Albo w kolegium siedzę lub w domu, rzadko mnie wyciągną z niego...

Lena poczęła mu patrzeć w oczy.

— Czy dlatego, żem za mąż poszła — dodała — nie chcecie mnie znać? Ależ was pięć lat nie było i o was ani słuchu, ojciec naglił, matka prosiła, opierałam się długo... wręciem musiała dla nich do ołtarza iść...

— Albożem ja mógł mieć jaką nadzieję? — przerwał Grześ smutnie. — Dlatego właśnie zeszedł wam z oczów, że jej nie miałem... Chcę widzieć was szczęśliwą i dlatego smutnej twarzy mojej tu nie przynoszę.

— Oh! — zawołała Lena — a ona przecie jedna rozweselićby mnie mogła. Dopóki was tu nie było, choć tęskniłam, alem znosiła lżej samotność, teraz gdy o was wiem, słyszę, tom zazdrosna...

Jam przy was wzrosła i żyć poczęła...

Głos jej drżał.

— Szczęśliwe to były czasy — rzekł student — a co dawniej było wolno, dziś wzbrowione...

— Nie chcę o tem wiedzieć — przerwała kobieta gorąco — jakośmy byli, tak być powinniśmy! Chcecie chyba, abym wam w oczach zmarniała?...

— A Frączek co powie? — zagadnął Grześ.

— Frączek? — z lekceważeniem dodała Lena — to tylko powiedzieć może, co ja mu pozwolę! Ani się go boję, ani się przed nim kryć myślę... Wie on dobrze, żeśmy przyjaciółmi byli i musi was za mego przyjaciela przyjąć!

Ja was widywać chcę i przychodzić musicie do mnie!

Rozkaz był stanowczy...

— A ludzie? — szepnął Grześ.

— Co mi do ludzi, a im do nas! — odparła Lena.

Nadeszła na to Balcerowa na misce niosąc wino i owoce, aby gościa jak najdłużej zatrzymała. Pod ręką trzymała cytrę, która też miała swe znaczenie.

— No, proszę dobrej myśli być, abyście mi Lenę rozweselili — rzekła. — Pij, zakąsuj i śpiewaj... Będziemy was we dwie słuchały...

Strzemińczyk dłużej już nie walczył z sobą i nie opierał się. W istocie myśl dobra przyszła i śmiech na usta, proszony czy dobrowolny, poznać było trudno. Lenie też twarzyczka się zmieniła, pojaśniały oczy, zarumieniło lice, dziewczęcy humor, dawno nie widziany, powrócił. Z tej zmiany Balcerowa tak się czuła szczęśliwą, tak wdzięczną, że po pierwszej piosence pocałowała w czoło zawstydzonego Grzesia, a potem córkę.

Zapomniała o wszystkim zobaczywszy ją na chwilę szczęśliwą, odmłodzoną, taką jaką oddawna nie była.

Od tego dnia Strzemińczyk się nie mógł już obronić zaproszeniom do Balcerów i w końcu się im nie opierał. Przychodziła po niego Balcerowa, czasem otyły kupiec przez nią wysłany, a nawet Frączek, który najnatarczywiej właśnie nalegał i tak był zawsze wesół, a wcale niezazdrosny, iż Grzesia zupełnie ośmielił.

Młode mieszczki wprawdzie mówiły o tem dużo, śmiano się z Frączka, szepiano i zazdroszczono Lenie śpiewaka, ale głośniejszy nikt nie ośmielił się złego rzec słowa.

Obyczaj tamtych czasów, wiele swobodniejsze, dopuszczały w stosunkach poufałości większych, nie biorąc ich za złe. Grześ zresztą jako śpiewak wszędzie chwytny i pożądany,

miłością muzyki się tłumaczył. Ciągnęli go i panowie i duchowni do chóru, a nawet na dwór królewski go ściągnano...

Wśród współuczniów i w kolegium swem, Strzemieńczyk, jakeśmy mówili, stanowisko sobie zdobył odrębne. Jeżeli spór i trudność jaka zachodziła, o których rozstrzygać było potrzeba, rzadko się obeszło, aby go starsi nie zapytali o zdanie. Grześ wstrzymywał się od zbyt rzeźkiego sądu, starał się pojednawczo występować, chociaż ludzie o ironię go posądzali.

Usta mu się czasem ściągały jakby do śmiechu, który hamował...

W wielu przedmiotach nieuka udawał, ażeby sporu uniknąć...

Po dwu leciech już mu bakałareat przepowiadano rychły, ale on zdobyć go nie spieszyl.

Postarzały ks. Wacław zajmował się nim szczególnie i ciągle nakłaniał, aby kleszą suknię, którą już nosić musiał jako student, na duchowną zamienić.

— Nie naglijcie ojciec — odpowiadał Grześ. — Sam ja wiem i czuję, że ją wdziać muszę, ale zawczasu nie chcę, aby mi młodych ramion nie paliła... Bakałarstwa też dobijać się nie spieszę, dopóki nie zbadam wszystkiego, nie wysłucham do końca i nie uzbroję się w męztwo wielkie...

Kanonik patrzył ciekawie, nie spełna rozumiejąc.

— Od wielu bakałarzy i mistrzów umiesz więcej — rzekł — a zdaje się jakbyś z nauką tań się i zaczajał. Przecz to czynisz?

— Boć i obóz, do którego żołnierz się wpisuje — rzekł Grześ śmiejąc — i nieprzyjaciela, z którym się walczyć ma, dobrze poznać trzeba, nim się wyda wojna?

— Wojna? komu? — zapytał ks. Wacław.

Strzemieńczyk się zawahał.

— Kto wie z kim wojować przyjdzie? może właśnie z tymi, których ręce żywiły... i którym wdzięczność należy.

— Nie rozumiem — odparł starsuszek.

— Wszakci — dodał Grześ — bakałarstwo jest ślubem i przysięgą prawdzie, której sprawy bronić przeciw wszystkim obowiązkiem?

Kogo tym laurem uświęcą, ten jak rycerz prawdzie służyć musi, choćby przeciw rodzonemu?

— Nie rozumiem! — powtórzył kanonik. — Sąż między nami prawdy nieprzyjaciele?

Uśmiechnął się Grześ.

— Są może tacy co sądząc, że jej służą, męczą ją i katuja — zawołał. — Sądzącie ojciec, że nauczanie u nas takim jest jakby być powinno? że ci co oczy otwierają drugim, sami widzą?... że nic nie potrzeba naprawiać, nic burzyć, i z żadną nieświadomością a przesądem walczyć??

Starsuszek podniósł głowę i widać było, że się uląkł.

— A któż mówi ci, że ty jeden widzisz od wszystkich lepiej? i że burząc, z gruzów potrafisz odbudować gmach nowy?...

Pomnij na to, że pod dziurawym dachem lepiej czasu słoty mieszkać, niż nie mieć żadnego... Cóż gdy przy burzą dom wywrócisz?

Grześ stał zadumany, gryząc usta.

— Dlatego też sięgnąć po bakałarstwo nie spieszę, ojciec mój.

Mylić się mogę, zataić w sobie wątpliwość sumienie nie dozwala. Naówczas walka rozpoczęta posłuży na to, aby prawda zwyciężyła. Unikać jej grzechemby było.

Ks. Wacław zamilkł, zwieszając głowę na piersi.

— Czyń więc — rzekł — jako cię natchnie Duch boży, a com naglił do pośpiechu, mówię ci teraz, rozmyślaj i rozważ nim rozpocznesz bój, bo w gmachy światła i pokoju wnieść pochodnię wojny odpowiedzialność wielka...

Grześ w rękę go, pochyliwszy się, pocałował i zamilkł, tak jak był zwykł dotąd milczeć wyzywany, aby myśli swych nie zdradzić.

I stał znowu posepny a uważny na każde słowo w lektoryach i gorliwiej niż kiedy ucześniecał na wykłady, a pytany odpowiadał chłodno i niejasno, jakby siebie niepewnym był.

— Zagadkowy człowiek! — mówili starzy profesorowie.

VI

Tak biegły lata, nadszedł wreszcie r. 1433, który w życiu Strzemińczyka miał być tą chwilą przełomu, co jedną epokę zamyka, a drugą otwiera.

Sięgnął po dawno mu należny laur akademicki, po który schylić się tylko potrzebował. Wszyscy wiedzieli, że otrzymać go był godnym, a jednak dysputa stanowcza, w której pokonał wszystkich swych przeciwników, napełniła ich zdumieniem, wprawiała niemal w osłupienie. Młodzieniec ten milczący, pokorny, skromny, nagle zmienił się im w oczach, w zuchwałego, wymownego, pewnego siły swej człowieka...

Przy rozprawach okazał taką umysłu dojrzałość, uczoność i samoistność przekonań, tak nowe i śmiało rzucał zdania, że ludzi trwożliwych, szanujących tradycje, napełnił niewymowną trwogą.

Wybuchło to nagle jak lawa z wulkanu, która się w łonie jego oddawna zbierała...

Spodziewano się zawsze po nim wiele, ale nie tego nowatora, jakim się im teraz objawił.

Od lat dwóch pozyskał już był sobie sławę z pracowitości i erudycji, był wyrocznią w kwestjach piśmiennictwa starożytnego, lecz nie wynosił się z tego i pytany, odpowiadał treściwie i skromnie.

Wiedzano, że wiersz łaciński płynął mu z pod pióra, jakby go nic nie kosztował, że wyzwany mówił wytwornie i z łatwością, a pisarzy łacińskich nie tylko znał dobrze, ale ich prawie na pamięć umiał wszystkich...

Trafiało się dawniej, że wstrzemięzliwy w mowie i skromny, czasem jakby mimowoli strzelił sarkazmem, rzucił słowo obosieczne, dowcipnym sądem rozstrzygnął zawile zadanie, ale natychmiast hamował się i w ostrożnem zamykał milczeniu.

Nikt wielkiej myśli nie umiał jak on w krótkich pomieścić wyrazach. Słowa jego były jak cięcia szabli ostre i zabijające.

Ale dotąd nie szafował niemi.

Starsi, chociaż był dla nich z poszanowaniem, przeczuwali w nim wroga i patrzali nań z obawą, która się teraz usprawiedliwiła.

Laur akademicki, uczynił go nowym człowiekiem, spadły zasłony, odkrył się cały, jakim był. Wyglądał jak wyzwoleniec rzymski, gdy z niego zrzucano kajdany...

Wzrok, postawa, mowa, wszystko w nim było odmienne. Wczoraj jeszcze nieśmiały i zamknięty w sobie, pokornie sądzący *in verba magistri*, teraz z dziwną stanowczością mówił z siebie, nie oglądając się na nic.

Zwykła *wesoła biesiada*, na którą młody bakałarz mistrzów swych zaprosił, dała miarę tego czem być miał nowy profesor poetyki w kolegium mniejszem...

Przy miodzie i winie, które starym kolegiatom usta otworzyły, rozmowa wszczęła się żywą i poufną.

Spodziewano się, że wedle modły przyjętej wykladać będzie jednego z tych poetów, którzy w średnich wiekach niezasłużoną wziętość mieli, Statiusa lub Alana *De planctu naturae*, opierając się na silnej podstawie gramatyki Aleksandra i Prisciana.

Na wspomnienie o gramatyce, zaczął się Grześ uśmiechać.

— Nie godzi się nią pogardzać — odezwał się wesoło — ma i ona swą wagę a dobrą stronę, ale nią samą nauki języka ograniczać nie można.

Cobyśmy powiedzieli o człowieku, który bramę do miasta mając otwartą, drapałby się do niego przez mur wysoki? Zaprawdę gramatyka tym murem bywa, gdy poeci i pisarze są drzwiami... Przez nich do wnętrza mowy wnijść łatwiej...

Starzy pedagogowie spoglądali po sobie... Strzemińczyk mówił dalej...

— Z poetów też wybierać potrzeba takich, co w czasach, gdy naród żył, śpiewali, a nie pogrobowych lub tych, co łaciny się uczyli, gdy Latium i Romy nie stało.

— Więc kogo? — spytał nieco obrażony stary profesor, który słuchając usta wydymał.

— Niech na to odpowiedzą dzieje, nie ja — odezwał się Grześ. — Złotego wieku Augusta poeci są najpiękniejszą literatury ozdobą; dalej gdy państwo za cesarów pod ich purpurą krwawą chyli się do upadku... z obyczajami język się psuje... Jak w chorym człowieku ciało się wydyma, żółknie i marszczy, tak w chorym narodzie mowa się staje zgrzybiałą.

Potrząsano głowami, ale nikt zaprzeczać nie śmiał.

— Pytam — odezwał się po chwili stary — kogóż weźmiesz do wykładu?

Grześ milczał trochę, jakby nie namyślał się, ale ciekawość chciał tem większą rozbudzić. Oglądał się i uśmiechał.

— Jak myślicie? — zapytał.

— Widzimy już — wtrącił drugi z panów kollegiatów — że was, mości Grzegorzu, odgadnąć trudno. Pragniecie nowości i one wam smakują.

— Zaprawdę! pragnę ich tak, jak nowych butów, gdy stare chodaki nogi cisnęły i podarły się na nich — odparł Strzemieńczyk — nowość ma to do siebie, że umysły rozbudza i nęci. I to coś warto. Cóż dopiero, gdy jest prawdziwie piękną i pociągającą?

Możeż piękniejszym językiem, wierszem dźwięczniejszym pisać kto, a raczej śpiewać, nad czarodzieja Vergila?

Szmer powitał to imię znane, lecz w szkołach nieupowszechnione. Nie czytano w nich ani *Sielanek*, ni *Georgik*, ani się ważono pokusić o *Eneidę*.

Starsi ramionami ruszali. Czytać Vergila? była to niesłychana zuchwałość. Nowy bakałarz miał się li naprawdę porwać na tego poetę? Niedowierzano.

Starym wygodniej było powtarzać to, co słyszeli, nie łamać sobie głowy nad trudnościami nowego wykładu...

— Od *Eklog* rozpocznę — odezwał się Grześ śmiało. — *Eklogi* i *Georgiki* w kraju rolniczym jak nasz, łatwe będą do pojęcia i umiłowania. U nas też wieś i rola życie stanowią...

Przez poezję tę trafię do gramatyki i obojga zrozumienie ułatwię...

W pierwszej chwili, przy biesiadzie wzięto oświadczenie za przechwałkę... Za plecami Grzesia starsi ramionami ruszając, wiary nie dawali jego obietnicom.

Lecz nie w tym jednym przedmiocie, czasu pamiętnej wesołej biesiady, Strzemieńczyk zdumiał zuchwalstwem swym siwowłosych mistrzów.

Pomimo lat wielu nauki, które go ukołysać i obuzdać były powinny, świeżo uwieńczony bakałarz zdawał się młodo i nazbyt gorąco zapatrywać na wszystko, za mało okazywać poszanowania dla tych zasad i pewników, które miano za niewzruszone.

Wszczęła się u drugiego stoła dysputa filozoficzna, w której dwaj przeciwnicy zapuściwszy się w scholastyczne formuły, poczęli sobie docinać boleśnie.

Szło o dystynkcyę tak subtelne, o definicyę tak wyrafinowaną, o jakąś naturę, istotę, byt, schwycone w chmurach nie w rzeczywistości, że spór rozstrzygniętym być nie mógł, bo był logomachią, któremu brakło rzeczywistej faktów podstawy...

Zamilkli wszyscy, podziwiając nieporównaną dyalektykę dwóch filozofów teologów...

Grześ także słuchał, ale z szyderskim na ustach uśmiechem, jakby tę niezwyčajnej wagi kwestyę miał za spór *de lana caprina*.

Nie śmiał głośno wyrazić zdania swojego o przedmiocie, dla którego samo nieposzanowanie, mogło być za herezyją poczytanem, ale twarz i rysy jego zdradzały, że mu się śmiać chciało.

Stojący przy nim młodzian, trącił go, ciekaw będąc czyją weźmie stronę. Zapytał go o to. Grześ ramionami poruszył, schylił mu się do ucha i szepnął po łacinie.

— *Vigilantium somnia!* Sny na jawie! Omackiem szukają prawdy — dodał. — W tych subtelnych myśli wywodach, jak pajęczyna cienkich i kruchych, nie ma nic tylko to, co z siebie owe uczone pająki wysnuły...

Nie patrzą oni na człowieka, ani na naturę, roją i marzą.

Naukę ja inaczej rozumiem; potrzebuje ona podstawy doświadczeń i zbierania ich... Dopiero gdy ludzie nagromadzą dosyć danych, coś z nich na pożywienie wyciągnąć będzie można... Wiemyż my co? zdobyliśmy sami choćby ziarno. Nawet z tych spichlerzów starych, które Grecy i Rzymianie nasypywali, myśmy zapasu gotowego nie wyczerpali... Bawim się nie uczymy!

Młody słuchacz, może niedobrze rozumiejąc całe zuchwalstwo tych twierdzeń, na ów czas zbyt śmiały, milczał niemal osłupiony...

— Czegóż i jak uczyć się waszem zdaniem potrzeba? — spytał nieśmiało.

— Wszystkiego co nas otacza — rzekł Grześ. — Żyjemy zamknięci w świecie bajecznym, któryśmy sami stworzyli sobie, gardząc naturą i tem, co onaby nam łatwo dać mogła. Od mrówki do wielbłąda, wszystko to są przedmioty dla nauki. A i ten świat starożytny, co nas poprzedził, przysypyany gruzami, któreby odgarnąć potrzeba.

Wszystko co dnia tego mówił bakałarz młody, tak nie licowało z tem, co zwykle było w obiegu, iż po części na upojenie przy biesiadzie dziwne jego zdania składano, a niektórzy brali je za trefne żarty.

Jeden ze starszych mistrzów, który mistrza Wincentego (Kadłubka) czytał, począł się rozwodzić nad pięknnością tej kroniki, błogosławionego i świętobliwego męża skreślonej ręką...

— Mąż świętobliwym był i przed jego pokorą zakonną a cnotą uchylić potrzeba czoło — odezwał się Grześ — ale kronika, widzi mi się, do wykładu w szkołach niebardzo się nadała...

Zmarszczyły się czoła, podniosły ręce. Napaść ta na czczonego mistrza, wydała się targnięciem na sławę narodu i niemal zbrodnią.

— Łacina w kronice — rzekł Grześ — wzorową nie jest, styl napuszony, retoryka to nie dzieje... Gorzej zaś nad to, że ucząc historii tej, bajek uczymy, które jawnie są zmyśleniem, bo rachuby czasu łamią...

„To co mistrz Wincenty w historii swej pisze o początkach narodu naszego, nietylko bajecznem jest, ale poczwarnem. Wywodzi starożytne pochodzenie nasze od potopu, mieni nas być Scytami, którym Aleksander Wielki wojnę wydawał, a rzymskiego Graccha chce mieć u nas grodu założycielem, marząc o powinowactwie z ubóstwionym Juliuszem, co ani z miejscem, ani z czasami, ani z rzeczami dokonanemi przez Rzymian i Aleksandra się nie godzi, a podobniejsze do babskich bajek przy kądzieli...”¹

Poruszył ramionami.

Nastało milczenie groźne niemal. Sam bakałarz zmiarkował, że na początek zaszedł zadaleko.

Staruszek ks. Wacław tuż siedzący, podniósł głowę sędziwą...

— Wszystko to dobre jako igraszka — rzekł — lecz sądząc zbyt surowo, na wiele się oglądać należy... Nauczywszy się obalać i burzyć, przeczyć i negować, dojdziemy do tego, że będzie *tabula rasa*, nie pozostanie nic, oprócz uczucia nieświadomości i nicestwa...

Młodym jesteś — dodał. — Nauki te, których treść ci się zdaje ułomną i jest nią może, są to przecie narzędzia, które umysły rozwijają, są to bodźce, co dają życie. A nauczy się kto bajki, jeśli razem posiędzie rozum i bystrość, z fałszu się łatwo otrzęsie...

Grześ nic nie odpowiedział. Starsi mistrzowie głośno ks. Wacławowi potakiwali. Jemu żal się zrobiło młodzieńca i wnet się poprawił.

— Radbym od niepomiernego burzenia was powstrzymać — rzekł — ale tej żywości umysłu jakiej dajecie dowody nie powściągać... Chwalebna to kusić się o zdobycie prawdy... jak Tytani do niebios szturmowali, więc — tu podniósł kielich w górę — naszego Tytana prze zdrowie, a niech go Jowiszowe głązy nie strąca z wyżyny i nie biją...

Starsi radzi z tego pojednawczego głosu, zwrócili się też ku bakałarzowi, który kłaniał się i dziękował, a ks. Wacława uściśnął.

Postarali się potem niektórzy biesiadnicy, aby rozmowa na te cierniami najeżone manowce nie zesłała powtórnie. Ten i ów wesołym żartem starał się dać jej obrót nowy; zawołano o pieśni, przyniesiono cytrę laureatowi, który ją wziął do ręki i przywieszono z Niemiec zanucił, nieznane tu jeszcze

Gaudeamus igitur...

Starsi słuchali tylko z uśmiechem na ustach. Była to pieśń młodości, która im stare dzieje, dawne czasy przypominać mogła... Po niej inne pieśni łacińskie się ozwały i wieczór skończył się w pokoju, zgodzie, chociaż odchodzący do domu kolegiaci, wynieśli z niego przeczucie trosk, na jakie Strzemińczyk miał ich narazić.

Nigdy i nigdzie bez boleści nic nowego na świat nie przychodzi. Tu się zapowiadały drogi nowe, ruch i życie, którym staruszkom wydołać było trudno.

Pocieszano się tem, że co *inter pocula* młodzian wygłaszał, tego uspokojony, ochłonawszy do skutku nie przyprowadzi.

Stało się inaczej. Grześ spytany nazajutrz czy w istocie *Eklogi* Wirgiliusza czytać zamierzał, potwierdził to, oświadczając, iż od nich rozpocznie.

¹To co mistrz Wincenty w historii swej pisze... — Dosłownie z życia Grzegorza, przez Kallimacha. (przyp. aut.) [przypis autorski]

Więść o tym fakcie rozbiegła się nietylko po uczęszczających do collegium mniejszego, zanesiono ją na ulicę św. Anny, do collegium nowego, prawniczego, a nawet lekarskiego. Imię łacińskiego poety nie było nikomu obcem, bo w średnich wiekach używało ono sławy wielkiej, nikt jednak go nie czytał i nie wykladał.

Zapowiedź była nowością ponętną, a że literatura łacińska naówczas była jedyną europejską, na to nazwanie zasługującą, chociaż z niej już wykluwały się inne, Virgili w collegium obudzał takie zajęcie, że ktokolwiek się poezją i literaturą zajmował, do wykształcenia rościł prawo, świeccy, duchowni, starzy, młodzi, wszyscy chcieli posłuchać tego wykładu pierwszego tu, niebywałego, nowością swą pociągającego...

Imię Grzegorza Strzemińczyka, lub jak go tu poufalej zwano, Grzegorza z Sanoka, znalazło się na wszystkich ustach.

W ulicy spotykający się z sobą zapytywali.

— Kiedyż ten Virgili zawita do nas? Gdzie? w collegium mniejszem!! Szkoda... Lektorya szczupłe, powinnyby mu w większem collegium salę *maioris* wyznaczyć!!

— Zbiegowisko będzie wielkie, mało kogo zabraknie z tych, co tyle obiecującego młodzieńca radzi posłuchać. Dostojnicy miejsca zajmą, a inni za drzwiami zostaną...

W istocie wybierali się kto żył na to czytanie. Mogło to pochlebiać bakałarzowi, mógł sobie życzyć popisu przed słuchaczami dostojnymi, a jednak skromnie się tak znalazł, iż o dniu nie głosząc, niespodzianie przed samymi studentami, sielanki Virgilego czytać zaczął...

Po czasie już dowiedzieli się ciekawsi i sala szczupła napelniła się tak, że w końcu godziny dla nikogo więcej miejsca nie było...

Znaleźli się i starzy profesorowie, których zarówno ciekawość wiodła, jak nadzieja może, iż nowemu przedmiotowi niewprawy nauczyciel nie podola...

Ale Grześ wystąpił z takim spokojem, a czytał z taką jasnością i talentem nauczania, iż najmniej usposobieni z młodzieży rozumieli go doskonale.

Przytem sam ów przedmiot tak świeży, tak poezją wsi, pól, lasów i pasterskiego życia tchnący, przemawiał stokroć więcej do umysłów, do serc, niż napuszone deklamacje, niż przesadne pochwały Stacjusza... niż wszystko to, czem młódź dotąd karmiono.

Z Virgilim powiał jakby ożywczy oddech wiosny na szkołę... wleciała do niej ze złotymi skrzydłami poezja, wykwinna, strojna, wonna, trochę zalotnie utrefiona, lecz z piersią młodą, w której serce biło. Nie dziw też, że serca młode odpowiedziały jej współczuciem gorącym...

Nie było po odczycie jednego głosu, któryby laureatowi szczędził pochwał i zaprzeczył nadzwyczajnych zdolności. Zazdrosnym zamknął usta...

Pierwsza ta lekcja poruszyła bardziej jeszcze ciekawość wszystkich... Mówiono o niej wszędzie, u biskupa Zbyszka, na zamku u królowej, po pańskich dworach, po mieszczańskich domach, w celach zakonnych.

Kto tylko mógł obiecywał sobie iść słuchać nagle sławnym już będącego Grzegorza z Sanoka.

Ci co go nie znali wcale i nie słyszeli o nim, dopytywali ciekawie, coby za jeden był, z kąd się wziął i jakiego był wieku? Nauczyciel budził zajęcie człowiekiem. Opowiadano, że chłopię ubogie, dziecię szlacheckie, zbiegło przed laty z miłości dla nauki z rodzicielskiego domu, tułało się po świecie i nadzwyczajnym obdarzone geniuszem, o własnej sile zdobyło naukę zdumiewającą.

Wielu podobała się odwaga młodzieńca torującego drogi nowe, inni wątpliwie potrzęsaliby głowami.

Na drugi odczyt zawczasu zgromadziło się tyle duchowieństwa, starszyzny, ciekawych, że dla uczniów prawie miejsca nie stało...

I tym razem powszechny aplauz pozyskał sobie bakałarz młody, a po lekcji zbliżył się doń dostojny kanclerz akademii, opiekun, jej głowa, biskup Zbyszek, który był tu drugim królem, w kilku słowach uprzejmym wieszając laureatowi powodzenia i zachęcając go do pracy...

Nieruchomy ten i gorączkowe zaprzątnienie Virgilim nieco się uspokajając zaczęło. Słuchaczów nie brakło nigdy, bo i młódź cała napływała z wielką żądzą i miłością dla nauczyciela...

Wykład jego nie był tak suchym i zimnym jak innych pedagogów. Z uśmiechem na ustach, z tą swobodą, jaką mu ovladanie przedmiotem dawało, bez książki w ręku, z pamięci mówił bakałarz, a przywoził i cytował dla porównania poetów innych, nie potrzebując do nich zaglądać.

Czasami żart jakiś wtrącił, porównanie rubaszne, które przedmiot najlepiej objaśnić mogło, naówczas oczy młodzieży pobłyskiwały, usta się otwierały i igraszka ta wrażała się w pamięć silniej niż poważne słowo.

Trzydziestokilkoletni już nasz Grzegorz, pomimo wieku, zachował całą świeżość młodości. Nie zbywało mu na powadze w potrzebie, lecz się w nią nie lubił przyodziewać. Czuć w nim było zawsze obok uczonego, cytarzystę i śpiewaka.

Trwoga, która w początkach opanowała była starszą, obawiającą się zbytniego nowatorstwa i nadto zuchwałych wystąpień młodzika, ustąpiła wkrótce, gdy się przekonało jak we wszystkim miarę umiał zachować. Cieszyło się nim szczególnie kolegium mniejsze, któremu dodał blasku, zazdrościli kolegiaci królewscy...

Razem z tem, zaczęły się znowu odzywać głosy, wyzywające Strzemieńczyka do obrania nareszcie tego stanu duchownego, któremu był przeznaczony. Nie ulegało wątpliwości, iż pod sutanną skończyć musiał... Tymczasem, nosił wprawdzie strój kleryków jak wszyscy profesorowie i uczniowie, ale do święceń się nie kwapił.

Nie odpowiadał nawet gdy go zagadywano i milczeniem zbywał...

Z miasta przeniósł się teraz bakałarz nowy na mieszkanie wspólne do kolegium mniejszego i zajął u stołu ostatnie miejsce, bo te po starszeństwie dawano.

Życie to niemal klasztorne, do którego wszyscy byli obowiązani, podlegało pewnym prawidłom, urządzone było wedle godzin i odjęło Grzesiowi część dawnej jego swobody. Miało zarazem korzyści, bo zbliżało go do starszych i nastęrczało wymianę myśli, które choć często na polemikę narażały, nie dawały zgnuśnić i usnąć.

W godzinach wolnych młody bakałarz nie mógł już teraz zajmować się przepisywaniem, które lubił, zarzucano go bowiem robotami... Musiał pisać nagrobki i wiersze pochwalne wszystkim zmarłym znakomitościom, a niejedna redakcja dokumentu w sprawach publicznych o niego się oparła...

Gdy szło o piękną i poprawną łacinę, Grzegorz z Sanoka uchodził tu za najbłęgiejszego znawcę...

Posyłał mu z kancelaryi akta biskup Zbyszek, radzili się inni. Wiersz szczególnie był jego największą chlubą...

Wśród tych zaprzętnień, które mu przyszłość zapewniały, a sławę roznosiły coraz szerzej, Grześ po staremu wiernym został przyjaźni dla Balcerów...

Był tu, jak niegdyś dawniej, niby we własnym domu... Nigdy pocziwy Frączek nie zmarszczył się zastając go przy żonie, a starzy Balcerowie jak rodzone dziecko kochali. I Lena teraz uzdrowiona, spokojna, pewna, że przyjaciel młodości nie opuści jej, zdawała się szczęśliwą.

Równie nad mężem i nad bakałarzem panowała, a prawdę rzekłszy władała wszystkim i wszystkimi w domu. Obcowanie z człowiekiem takim, jak Strzemieńczyk starczyło jej za naukę i księgi. Uczyla się przy nim, oswajała z wielą przedmiotami innym kobietom obcemi, i rozwijała w oczach na niewiastę męzkiego umysłu i charakteru...

Ludzie, którzy przeciwko temu dziwnemu stosunkowi zamężnej niewiasty do młodego nauczyciela sykali w początku, w końcu widząc, że jawnym był, nikogo nie gorszył, a Frączka wcale nie jętrzył, przyjęli go jako naturalny i godziwy.

Znajdowano go w domu Balcerów zastępującego niemal miejsce gospodarza, i nikt się już temu nie dziwił.

Lena Frączkowa nie dopuszczała też, aby jej posądzaniem uwłaczano, niewiasta była jak rozumna i zręczna, tak dumna i wyniosłego umysłu. Nikt nie śmiał ją słowem dwuznacznem zadraskać, wiedząc, że za nie z nawiązką zapłacić potrafi.

W dworku Balcerów powodzenie, sława i tryumfy Grzesia, tak były witane radośnie, jakby domowi zaszczyt czyniły. Chlubila się tym przyjacielem Lena, miała go na ustach ciągle, ale też i rządziła nim despotycznie. Służyć jej musiał jak kazała, na skinienie spełniać co pożądała, i nieraz najpilniejszą pracę rzucić, gdy się jej podobało powołać go do siebie. Przeniesienie się do kolegium nie zmieniło tych poufanych stosunków... Codziennie musiał

się Grześ stawić u Balcerów, często stół wspólny zaniedbać, a niekiedy z chłopcem i latarką późno powracać, gdy się jejmości zatrzymać go podobało.

Umysłu w innych rzeczach niepodległego, Grześ w sprawach powszednich ulegał niewieście, która nim jak dzieckiem rządziła... Piękna niegdyś, gdy dzieckiem była, pani Frączkowa po pójściu za mąż dopiero rozkwitła znowu w pełni wdzięku i słyęła w Krakowie jako z niewiast najpiękniejsza.

Coś dziewiczego w niej pozostało, ale zarazem powagą okrytego i zmuszającego ludzi do poszanowania.

Przewaga, jaką miała nad umysłem Grzesia, tak była wielką, iż w największych i najmniejszych sprawach bez jej rady nic nie czynił.

Nie zadziwiła się więc, gdy jednego ranka wcześniej nadszedł niż zwykle i od progu poczał się tłumaczyć, że ważna sprowadza go okoliczność.

— Zaprawdę! — uśmiechnęła się wstając na powitanie Frączkowa — czy o nowej sutannie myślicie i chcecie abym wam wybrała flamskie sukno... albo o płaszczu?

Strzemieńczyk zbyt był przejęty tem, z czem przychodził, aby żart mu smakował, namarszczył się.

— A! gosposiu moja — zawołał — idzie o daleko ważniejszą sprawę, i gdybyś umiała po łacinie, powiedziałbym ci *paulo majora canamus*.

— Powiedźcie mi to lepiej po polsku — odparła wielkie swe oczy wlepiając w niego Lena. — Cóż to tam takiego? Wyście zazwyczaj spokojni, widzę poruszonym?

— Posłuchajcież — rzekł Grzegorz. — Już z mego stroju możecie wniesć, że gdym go w powszedni dzień włożył, to nie bez słusznej potrzeby...

— Widzę, suknia nowa — zawołała gosposia — trzewiki nowe, pan mój się wystroił jak na święto...

Grześ potarł się dłonią po czole...

— Nie wiem co to znaczyć ma, dworzanin wojewody krakowskiego Jana z Tarnowa, przybył do mnie dziś rano, zapraszając w imieniu pana, abym go odwiedził w ważnej, niecierpiącej zwłoki sprawie... Ja sprawy ani z wojewodą, ani u wojewody żadnej nie mam, akademia zostaje pod zwierzchnością ks. biskupa Zbyszka... Niepokój mnie ogarnął...

Lena głową potrząsała.

— Ja, równie jak wy, tego wezwania nie rozumiem — rzekła — ale nie widzę przyczyzny, dlaczego ono was niepokoić miało.

Pomyślała chwilę, palce do ust przyłożywszy, a oczy wlepiając w ziemię.

— Samiście mi mówili, że często was o napisy łacińskie i różne podobne roboty napastują. Nic innego być nie może, nad coś podobnego. Wojewoda pan możny, więc się to wam opłaci.

— Ale pocóżby mnie wzywał osobiście, gdyby szło tylko o napis, który lada dworzanin mógł zamówić u mnie? — rzekł Strzemieńczyk.

— Idźcie do niego, a wszystko się to wyjaśni — przerwała Lena.

— Mamli iść? — zapytał bakałarz. — Sługą pana wojewody nie jestem, ani mnie jak pacholka do siebie godziło się pozywać?

Z dumą szlachecką podniósł głowę Grześ... Lena poruszyła ramionami.

— Stary i poważny pan, senator... tyś młody — rzekła — nie ma obrazu w tem, jeżeli przez dworzanina grzecznie zaprosił... Idźcie...

Namyślał się jeszcze, gdy położywszy mu rękę na ramieniu, piękna Lena popchnęła go zlekka ku drzwiom.

— Pycha nie w miejscu — szepnęła — idź, a z powrotem czekam na wyjaśnienie, bo chcę wiedzieć, jaką miał pan wojewoda sprawę do pana bakałarza...

Jak gdyby na jej rozstrzygnięcie czekał tylko, Strzemieńczyk nie wahając się już i sam pomiarkowawszy, że w istocie pycha chudemu pacholkowi nie przystała, szybkim krokiem poszedł do dworu wojewodzińskiego przy zamku stojącego.

Po panu krakowskim, wojewoda był tu najznaczniejszym dostojnikiem i miał władzę największą.

Lecz, gdyby nawet Jan z Tarnowa nie zajmował tego stanowiska, samo jego imię, stosunki, zamożność, powaga wielka i osobiste przymioty dawałyby mu znaczenie wielkie.

Był to mąż w latach już podeszłych, lecz krzepki ciałem i umysłem, nie skwapliwy do mówienia i szermowania słowy, ale gdy raz otworzył usta, nie oglądający się na żadne

względy, i rąbiący prawdę każdemu, choćby najwyżej położonemu. Mawiał ją tak nieraz samemu królowi, i gdzie potrzeba było wystąpienia śmiałego, jego naprzód popychano, bo się nie uląkł niczego. Wiek dawał mu zimną krew i panowanie nad sobą.

Nie zalecał się świetną wymową, ani kunsztem oratorskim, ale jasnością i wyrazistością słowa. Gdy drudzy już w szkole ówczesnej wyćwiczeni, zręcznie umieli zawikłać myśl i sztucznie ją tak przedstawiać, aby silniejsze czyniła wrażenie, Tarnowski znajdował to niemęzkim i nierycerskim, wyrażał się rubasznie, silnie a krótko.

Cechowało go to w radzie i w domu, że długo milczał, ale gdy się odezwał, zamykał rozprawę jakby ostatecznym wyrokiem.

Szanowali go wszyscy, bo oprócz tego, był to prawy senator i radzca pański, który tylko dobro ogólne miał na oku, a osobistemi względami nie dawał się z prostej zbić drogi.

Pan możny, zmuszony dla dostojęstwa ciągle się licznym otaczać dworem i występować z pewną okazałością, nie lubił błyskotek marnych, ani przepychu dla próżności, dom był pański i dostatni, ale nie tak czczo świetny i puszający się, jak panów z Kurozwęk i innych, którzy świeżo się do dobrego bytu dobili...

Pewna prostota starodawna zachowała się tu z czasów już zapomnianych i zatartych. Gdy inni przejmowali chętnie obyczaje cudzoziemskie, tu się ich wpływ dawał czuć jak najmniej.

Wojewoda sam wychował się w tych jeszcze latach, gdy rycerskie wykształcenie zastępowało wszelkie inne... W obcowaniu z ludźmi nabył później wiadomości wiele i oglądy, ale zawsze wzdychał nad tem, gdy go senatorska dostojność do ocierania się o Niemców, Włochów, Węgrów, ba Francuzów i innych narodowości ludzi zmuszała, gdy sprawy przychodziły, dla których łacina urzędowym była językiem, że za młodu języków mało się uczył, i kancelaryjnych talentów nie nabył...

W wielu też rodzinach naówczas u nas, rozumiano to, że przyszły senator, choćby od siodła i koncerza poczynał, razem musiał też nad księgą się mozolić, aby nie potrzebował kanclerzów i tłumaczy ciągnąć wszędzie za sobą, a w końcu na ich łasce i pod ich wpływem pozostać...

Owdowiały wojewoda, w czasie tym, miał pięciu synów, których wychowanie wielką dla niego było troską, dwaj starsi, Jan Amor i Jan Gratus, już sporemi wyrostkami będąc, dopominali się, aby o ich przyszłości postanowiono...

Wojewoda pobożny mąż, w duchu mówił sobie, iż tych dzieci, któremi pan Bóg małżeństwo jego pobłogosławił, jedno jako prawa dziesięcina, Jemu należało, ale żadnego z nich nie wyznaczał, pragnąc, aby się powołanie objawiło samo... Inni musieli naprzód rycersko służyć krajowi, potem zdobywszy zasługą stanowisko, radą i mieniem pomagać królowi...

W ganku dworu wojewodzińskiego, który o tej godzinie pełen był rycerstwa i szlachty, ten sam dworzanin, który przychodził z wezwaniem do bakałarza, zdawał się czekać na niego, bo zobaczywszy i poznawszy natychmiast się zbliżył i uprzejmie powitał, a z sobą do komory zaprosił, dopóki by wojewoda wolnym nie był...

Dworzanin, z uboższych Leliwitów, młody człek, który już jednak próbował zapasów rycerskich, i miał chlubne po nich pamiątki na obliczu wskrós blizną różową przeciętem, był wesołego usposobienia, a łatwy do ludzi.

Z tego korzystając bakałarz nasz, po kilku słowach, zręcznie go chciał wy badać, czyby nie wiedział na co go tu potrzebowano.

— Widać, że w miłość naszego pana nie zacie, gdy się o to dopytujecie mnie, prostego posłańca? któremu wojewoda myśli swych nie powierza... Daleko poważniejsi mężowie też tem się pochłubić nie mogą. Słowa on próżnego nie rzecze nigdy... a co myśli jeden tylko Bóg wie, ludzie zaś dopiero naówczas, gdy myśl czynem się staje...

Nie badał więc już ciekawy gość i czekał cierpliwie, aż go do wojewody wezwano.

Przyjął bakałarza stary i poważny mąż, ręką witając i słowem miłym, a mimo młodości, dla sukni duchownej, miejsce mu wskazując nieopodal od siebie.

Sami byli w izbie sypialnej wojewody, z taką prostotą i skromnością urządzonej, jakby możnemu panoszy przystała. Łoże było twarde, skórą okryte, stół dębowy kobiercem starym zasłany, a sprzęt dawny i niepokazny.

Wojewoda też odziany był ciemno w długi żupan, czarnym pasem ściągnięty, a krom sygnetu z pieczęcią na palcu, żadnej nie miał na sobie błyskotki. Broda siwiejąca, ciemna, szeroka mu się na piersi rozkładała, włos spadał długi na ramiona.

— Wieleśmy o was słyszeli — odezwał się obracając do Grzegorza wojewoda — a wszyscy wam sprawiedliwość oddają, iż uczonością i dowcipem celujecie wśród kolegum...

Wiem i to, żeście sami sobie winni to wychowanie... Ludzie was sławią, chciałem poznać bliżej tak wiele obiecującego na przyszłość męża...

Grzegorz dziękował krótko.

— W kolegium waszem — mówił wojewoda — pewnie bardzo pożytecznym młodzieży być możecie, ale dla siebie tam nie uczynicie wiele... Chudoście wyposażeni... głodem słyszę przymieracie...

— Praca to osładza — odparł Grześ.

— Piękną z niej czynicie ofiarę — mówił Jan z Tarnowa dalej — ale przy zdolnościach waszych, moglibyście łatwo wyżej się wzbić, a około młodzieży zastąpiłby was choćby i mniej zdolny nauczyciel...

Jam o was pomyślał dla siebie i dla waszej przyszłości razem — dodał stary pan. — Mam synów, radbym ich wychować tak, aby i Bogu i królowi służyć mogli rozumnie i dzielnie... Cóżbyście rzekli na to, gdybym wam zwierzyć chciał opiekę i władzę nad nimi?

Grześ, którego niespodzianie zaskoczyło to życzenie wojewody, zamilkł w początku chcąc zebrać myśli.

Pochlebne to było dla niego, wbijało go w dumę, lecz burzyło cały gmach jaki on sobie sam budował, obierając zawód nauczycielski w akademii.

Dozorca i bakałarz wojewodzińskich dzieci świetne miał przed sobą nadzieje, byt dostatni i swobodny, zapewnioną przyszłość, ale schodził z tej drogi, która w publicznym zawodzie, wiodła do sławy i znaczenia w świecie uczonym... Mignęła mu ta myśl, że miał zaprzedać za miską soczewicy dostojność swoją i prawa jakie dawała nauka, że się sprzeniewierzał zawodowi...

Wojewoda jakby odgadł znaczenie długiego milczenia, powolnie dalej ciągnął.

— Rozumiem ci to — rzekł — iż z katedry znijsz na bakałarstwo domowe, choćby u krakowskiego wojewody, wydać się wam może uwłaczającym; ale zaprawdę ważyć powinniście, że gdy senatorskie dzieci na przyszłych radźców królowi i krajowi wychowacie, w bojaźni bożej i nauce ich doskonaląc, będziecie może większą mieli zasługę, niż ubogich klechów ucząc łaciny...

Wszyscyśmy potrzebni na świecie, senatorowie i klechy, ale gdy u góry światła zabraknie, nie przyjdzie ono ze spodu...

Strzemińczyk milczał jeszcze.

— Rozważcie to sobie — dodał po chwili wojewoda — prędkiego rozstrzygnięcia nie żądam, boć on o losie żywota waszego stanowić ma. Biorąc was do synów moich, dla których wy się poświęćcie, słuszna, abym też wam zapewnił nagrodę równą pracy... Powołanie wasze duchowne ułatwi mi opatrzenie was, przy pomocy i łasce królewskiej...

Grześ podniósł oczy i chciał już się przyznać, że suknia, którą nosił, jeszcze go żadnym ślubem nie wiązała, lecz coś mu usta zamknęło. Skłonił głowę i po małym przestanku odezwał się.

— Nie mam co rzec na to, oprócz iż miłości waszej za zaufanie pokornie dziękować muszę.

Zaszczyt dla mnie i chluba... ale zarazem brzemię, którego na ramiona brać nie wiem czym godzien. Inna to rzecz, panie wojewodo, z katedry nauczać łaciny, poezyi, retoryki, a choćby i filozofii, inna zaś podjąć się wykształcenia dzieci na ludzi. Nauka tu narzędziem i dodatkiem, a człowieczeństwo celem... Ludźmi, chrześcianami i synami korony tej być muszą, a niepoślednimi, gdy ich w spadku wielkie obowiązki czekają.

Czy ja prosty bakałarz podołam temu!

— Z pomocą i pod okiem mojem! — zawołał wojewoda — dla czegoż nie! Najlepszym dowodem, iż wychować potraficie, to, żeście sami siebie wychować byli zdolni.

Grześ westchnął.

— Tak, panie wojewodo, ale mnie niańczyła i kształciła największa w świecie mistrzyni, nędza i sieroctwo... Kto wie, czy nie łatwiej ubogiemu się wydobyć na wierzch, gdy go smaga los, niżeli pieszczonemu w pieluchach, którego szczęście usypia, lub butnym zawczasu czyni i zuchwałym!!

— Zaprawdę pięknie mówicie — przerwał wojewoda — lecz nie wiecie o tem, iż ja trzymam z wami, a dzieci moje karnie i surowo prowadzę... Nie żądam też ani pozwolę, abyście im folgowali dlatego, że zrodzeni są w dostatku, owszem żądam, aby im nie pobbrażano, gdy wykroczą...

Młodości zbyt hamować nie godzi się, bo onieśmielona traci siłę, ale rozbujając się też nie można dozwolnić, aby znała granice...

To mówiąc powstał wojewoda i uderzywszy w dłonie, czekał na pacholę, które się w drzwiach ukazało.

— Amor, Gratus i Rafał niech tu przyjdą — rzekł i powrócił na siedzenie swoje.

Nie upłynęła chwila, gdy drugie drzwi otworzyły się zwolna i troje pięknych chłopiąt, jednako w szare kaftany ubranych, z których najstarszy mógł mieć lat dwanaście, wsunęło się skromnie i cicho, skłonili się ojcu pokornie i po starszeństwie przyszli podaną im rękę rodzica całować.

Na dany znak powitali też zdala bakałarza, który się im ciekawie przypatrywał. Miło było spojrzeć na te zdrowe, kraśne, rumiane, pełne życia oblicza, które bez nieśmiałości, ale z poszanowaniem zwracały się ku ojcu, jakby czekały rozkazów jego.

Amor i Gratus, starsi, podobni do siebie, wiekiem się niewiele różniący, już wzrostkami mieli w sobie coś rycerskiego. Rafał delikatniejszy, z wdziękiem niewieścim na ładnej i bladej twarzyczce, więcej od nich okazywał obawy i trzymał się, jakby ukryć pragnął za braćmi. Był też najmłodszym i dzieckiem prawie.

Wojewoda zapytał ich o to czem się zajmowali, co na dziś im wyznaczonem było. Amor odpowiedział na to w kilku słowach jasnych, z których zmiarkować mógł Grześ, że nauka zaledwie się rozpoczynała...

Niedługo ich zatrzymawszy wojewoda, wskazał, że odejść mogą. Chłopcy jakimś podejrzliwym okiem zmierzwiwszy siedzącego klechę i pozdrowiwszy go zdala, ucałowali znowu rękę ojca i wyszli.

Dopiero za drzwiami słyhać było swobodne i żywe a pospieszne szeptanie uciekających i wyścigających się chłopaków...

— Chciałem abyście ich widzieli — rzekł wojewoda. — Silni są, zdrowi, nierozpieszczeni, alem zbyt zawczasu ich uczyć nie kazał, aby mogli wprzód urosnąć i skrzepić się... Teraz już im ława i siedzenie nad tablicą nie zaszkodzi.

Zapukano do drzwi. Wojewoda wstał zwracając się do bakałarza.

— Pomyślicie — rzekł — jutro lub pojutrze dacie mi odpowiedź. Nie chcę, abyście bez rozmysłu przyjęli obowiązek, a pragnę aby wam słodkim był i co w mej mocy dla osłodzenia go, uczynię...

Niewola to będzie — dodał z uśmiechem — ale któryż i kiedy człowiek jest wolnym? Ani królowie się tem poszczycić nie mogą, bo i ich obowiązek w żelaznych okowach trzyma.

Skłonił się Grzegorz, obiecując prędką odpowiedź i jak upojony wyszedł z wojewodzińskiego dworu.

Ztąd do Balcerów spiesząc tak w sobie zatopiony szedł, że ludzi nie widział i co około niego się działo nie znał... Lena w oknie siedząc na niego czekała, a był tak pogrążony w myślach, iż dworek pominął i zawołać go musiała, dopiero się opamiętał...

Wyszła na próg do niego.

— Ciężkie jakieś brzemie niesiecie! — rzekła.

— Zaprawdę i takie, któregom się spodziewać nie mógł — odparł Grześ padając na ławę.

Tu począł opowiadanie o swej rozmowie z wojewodą, którego mu Frączkowa dokończyć nie dała, w ręce klaskając i wołając ojca, męża i matkę z uniesieniem, w jakie ją wprawiła wiadomość o łasce pana wojewody.

Grześ stał trochę zdumiony, bo mu się to więcej ciężarem wydawało, niż dobrodziejstwem, ale Lena po swojemu sądziła...

— Cóż tu myśleć? co ważyć! — zawołała. — To pierwszy szczebel, do podniesienia się w górę.

Nie wiecież wy, iż dzieci wojewody codziennie na zamek chodzą, dla zabawy królewiczów, że one są towarzyszami ich i że nauczyciel Tarnowskich z niemi razem na pokoje królowej się dostanie!!

Dosyć, abyście przestąpili te progi, a tam, jak wszędzie, poznają się na was... Mielizbyście dla marnego bakalarstwa odrzucać los, który dla was jest zgotowany??

Kto wie czy nauczyciel wojewodzie nie zostanie bakałarzem królewiczów! A król stary! a królowa rozumna pani, a Władysław starszy panicz ma już zapewnioną koronę. Patrzcież co się to wam otwiera i czy wy się wahać możecie przyjąć szczęście, które pieczonym gołąbkami w usta wam spada.

Grzegorz stał jeszcze zadumany, gdy napastliwa kobieta, bijąc go po ramieniu, śmiejąc się, wieszając, mężowi kubek wina nalewać kazała...

— Wypijmyż przedzrowie, przyszłego nie wiem kanclerza czy...

Balcerowie, Frączek ściskali go już jakby rzecz była rozstrzygniętą, a Lena ani słuchała nie chciała o dalszych rozmyślach...

— Jutro pójdziecie podziękować wojewodzie i wybierzecie się z kollegium... Szczęśliwej drogi, bo nie wątpię, że ona być musi szczęśliwą...

Być może, iż Strzemińczyk byłby i bez tej namowy niewieściej przyjął wezwanie wojewody, to pewna jednak, iż to, co mu rokowała Lena uczyniło na nim wrażenie i przechyliło szalę...

Wyszedłszy z dworku już mniej niepewien siebie, wprost zaszedł do starego ks. Wacława... Kanonik pomimo nadwreżonego wzroku, szklami się posługując, jak zawsze czytał coś w księdze, którą złożył na pulpicie, widząc wchodzącego ulubionego ucznia swojego...

— Ojczy — zawołał żywo Grzegorz — słuchajcie z czem przychodzę... Oto co mi mój los znowu zgotował...

Ks. Wacław nie odzywając się, nastawił ucha... Szybko, treściwie począł mu wszystko opowiadać Strzemińczyk, ale już w ten sposób, jakby się bronił i tłumaczył, że ofiary takiej odrzucić mu się nie godzi.

Kanonik nie przerwał ani słowem, nie okazał zdziwienia, a gdy skończył, nie rychło przemówił.

— Niech będą Bogu dzięki, jeżeli to waszym pragnieniom i nadziejom odpowiada — rzekł chłodno. — Tak, jutrzienka ta błyska różowo! lecz sądzicież, iż życie przy dworze, w zgiełku i ruchu tym, kędy się krzyżują i ścierają żądze, ambicje, namiętności, szczęśliwszem będzie, niż nasze w tych ubogich i cichych celach, w których się nabywa mądrości, pogardy świata, miłości Boga i nauki? Sądzicież, że tam wam łatwiej przyjdzie zachować cnotę, umysłu niepodległość i spokój ducha??

Ja nie wiem... Mówią nam o ptakach, co na falach burzliwych ścienią gniazda... ja podziwiam cuda te przyrody, ale nie zazdrozczę im tylko tym, co pod strzechą siedzą...

I miłość nauki... potraficież zachować tam, gdzie od niej życie z pokusy swemi nieustannie was odrywać będzie??

Zamilkł starzec.

— Zaprawdę — dorzucił po chwili — gdyby najwięcej dali wam, nie zapłacą za to, co stracie!! Wyście im potrzebni, a oni wam??

Po rozmowie z ks. Wacławem tęsknota za życiem, którego się miał wyrzec, chwyciła go za serce, ale daleko silniej ciągnęło je jakieś nieokreślone pragnienie nieznanego, nowych, świetnych przeznaczeń...

W kollegium wiadomość o ustąpieniu Grzegorza z Sanoka uczyniła wrażenie dwójiste, uczniowie oplakiwali mistrza tego, towarzysze, starsi panowie kollegiaci czuli jakby ciężar jakiś spadł im z ramion. Obawiali się tego popędliwego umysłu, pędzącego na nowe drogi, zmuszające trzebić, gdy tak wygodnie jest wybitymi iść kolejami. Wieszowali szczęścia, nie powstrzymywali wcale, znajdowali, że Grzegorz zasłużył na to, co go spotkało, a następca na katedrze zawrócił od Virgilego do Alana, i po staremu Donata zalecał, jako najpewniejsze do łaciny wrota...

VII

W kilka miesięcy potem, skromnego bakalarza, który na dnie powszednie w wyszarzanej chadzał sukience, poznać było trudno w młodym nauczycielu wojewodzie.

Powołanie nowe, świat wśród którego się obracał, wymagania dworu, do którego się liczył, zmusiły go nawet powierzchownie się przeistoczyć.

Pan wojewoda też od tego począł, iż dostarczył sukna i jedwabiu, aby bakalarz dzieci, codziennie z nimi chodzący na zamek do królowej jejmości i królewiczów, występował jak przystało pańskim progom...

Królowa Sonka, wiadomem to było, sama lubiła strój wytworny, i od tych, co ją otaczali, wymagała ubioru, któryby oczu zaniedbaniem nie raził. Młodzi królewicze, oba zawsze występowali bardzo strojnie i wedle mody wieku...

Młodzi Tarnowscy, choć ojciec ich zbyt do błyskotliwych strojów nie chciał przyzwyczajać, musieli po troszę do wymagań królowej, której oka nic nie uchodziło, się zastosowywać. Gdy szli na zamek, ubierano ich pięknie.

Nauczyciel, który ich nigdy nie odstępował, musiał też kłaść suknie odświętne. Były to zawsze tylko czarne sutanny klechów, ale i tkaniną i krojem dostatkowi dowodziły.

Nie zbywało też na innych wygodach we dworze pana wojewody, który zarówno zbytku jak skąpstwa nie cierpiał. Trochę rubaszny i szorstki obyczaj studentów ubogich tu na inne obejście się z dziećmi pańskimi zmienić było potrzeba. Szczęściem dla bakalarza, jego młodzi uczniowie od razu do niego tak przyłgnęli, jak on do nich. Chłopcy byli serdeczni, niepopsuci, a życia równie jak nauki chcieli.

Ale w obu starszych, bądź co bądź przemagała krew rycerska. Posłuszni siadali do tabliczek, pisać się uczyli, łacinę przeflykali, ale dopiero gdy powieść jaka uderzyła o strunę wojenną, oczy im połyskiwały i rumieniały się policzki... Najmłodszy był spokojniejszego ducha, Amor i Gratus nie taili się z tem, że byle im pozwolono, chętnieby pióro na szablę zamienili.

Nie zapominano też przy nauce o kształceniu ich do przyszłego powołania. Pod okiem bakalarza przychodził stary żołnierz uczyć ich szablą władać, kawalkator dosiadać koników, łucznik strzelać do celu. Naówczas Grzegorz mógł się przekonać, że z nich pono uczonych nie potrafi uczynić, bo przez posłuszeństwo gotowi byli męczyć się nad pergaminem i papierem, ale życie w nich wstępowało dopiero na podwórku...

Oba pojęcie mieli bystre i pamięć dobrą, a Grzegorz nie był pedantem do form przywiązanym, i uczył więcej żywym słowem, niż suchą literą.

Gdy się nad książką zdrzemali, naówczas z pamięci począł opowiadać rycerskie sprawy Aleksandra, albo historią jednego z bajecznych bohaterów starożytności, i słuchano go pilnie...

Godziny zabaw na zamku dla wszystkich były zarówno pożądane, królewicze i wojewodzice czekali na nie, a niemniej i panowie nauczyciele... Naówczas w wielkiej sali dolnej zamku, rozpoczynały się igrzyska, w których pilny postrzegacz już mógł przyszłe wyrostków, wykluwające się rozpoznać charaktery...

Gdy poraz pierwszy ze swymi wychowancami zjawił się na królewskim zamku Grzegorz, chociaż bojaźliwym z natury nie był, uczył, że mu przyjdzie chwilę ciężką przeżyć, wystawionemu na wejrzenia i pytania ciekawe.

Przy królewiczach, naznaczeni na zjeździe od szlachty, znajdowali się dwaj dozorczy i nauczyciele, szlachcic niemłody już Piotr Ryterski i Wincenty Kot z Dębna duchowny, kustosz gnieźnieński. Z nich pierwszy miał pieczę nad ciałem więcej, drugi nad umysłem wyrostków, nad którymi nieustannie czuwała sama królowa Sonka, matka troskliwa, dla której dzieci były całym światem. Miała ona jednak oprócz nich do czuwania nad wielą sprawami, i musiała zjednywać sobie serca panów Rady, z których wielu Jagiellońskiemu rodowi było nieprzyjaznych. Odzywały się ciągle jeszcze wspomnienia Piastów, ich praw i odwiecznego w tem królestwie panowania.

Władysław starszy królewicz dochodził do lat dziesiątka, młodszy o lat parę Kazimirz, był jeszcze prawie dziecięciem. Rówieśnicy Tarnowskich, oba nawykli byli z nimi poobiednie spędzać godziny.

Dawniej towarzyszył im tu stary sługa Strzemesz. Gdy raz pierwszy przyszedł z chłopcami Grzegorz z Sanoka, nie obeszło się bez natrętnej ciekawości królewiczów i zapo-

znania się z ks. Kotem. Poważny kustosz, który już słyszał o młodym bakałarzu, i był ciekawym go poznać, chociaż dał mu uczuć wyższość swoją, przyjął go uprzejmie.

Mąż był światły, w wieku tym, który spokój daje umysłowi. Z pierwszych wyrazów rozmowy poznał w Grzegorzcu uczonego i rozumnego młodzieńca i z przyjemnością zawiązał z nim jakąś dysputę, która świetne przymioty bakałarza na jaw wyprowadziła.

Ryterski tymczasem nagląca na bawiących się chłopców, którzy po wielkiej sali wyprawiali hałaśliwe wyścigi. Starszy królewicz bywał zawsze wodzem tych wypraw wojennych, bo się inaczej jak w rycerstwo nie bawiono. Najmłodszy tylko Rafał dosyć bojaźliwie i niechętnie zaciągał się do tych szeregów, w których mały Każko stawał obok brata, mimo wzrostu i wieku.

Tego dnia, jak zwykle w ciągu zabawy, uchyliła drzwi naprzód, a potem weszła przypatrzeć się jej królowa Sonka.

Postrzegła ona postać nową i nieznaną sobie, która musiała obudzić ciekawość, gdyż zbliżyła się do ks. kustosa i dowiedziawszy się o bakałarzu, kazała go sobie przedstawić.

Grzegorz był tak szczęśliwy, że powierzchowność jego dobrze o nim uprzedzała, oprócz tego udało mu się na kilka pytań królowej odpowiedzieć zręcznie i tak, że w nim umysł żywy a energiczny poznać mogła.

Po krótkiej rozmowie, oddaliła się królowa, a i Tarnowscy odejść musieli do domu.

Codzień potem prawie Grzegorz już śmielszy szedł z nimi na zamek, królewicze się z nim nietylko oswoili, ale polubili go, gdyż chętnie się mięszał do ich igrzysk i był w nich sędzią i rozjemcą. Ks. Kot, mający często zajęcia, poznawszy bliżej bakałarza, czasem odchodził na chwilę, zostawując mu królewiczów razem z ich towarzyszami.

Parę razy zastała tak królowa ich samych z Grzegorzem, i w dłuższą wciągnęła go rozmowę. Jawnem było, że przybysz ten podobał się jej, i że umiała go ocenić. Badala go nieznacznie o synów, wzywała rady, i nawet stary Ryterski dostrzegł po jakimś czasie, iż bakałarz zyskał łaskę pani, czego mu powińszował.

Królowa miała ten instynkt ludzi wybranych, którym gdy samym sił brak do osiągnięcia wielkiego celu, umięją przybierać sobie pomocników, z wielką trafnością wydobytych z tłumu.

Grzegorz, który w początkach obawiał się zbliżenia do królowej, a z odgłosu powszechnego miał o niej wcale inne wyobrażenie, poznawszy ją lepiej, przekonał się jak mało ocenić ją umiano i spotwarzono niegodnie.

Wzbudzała w nim poszanowanie i współczucie.

Miłość jej dla nauk, których sama nie posiadała, a miała tylko jakby ich przecucie, chętna pomoc uczonym, opiekowanie się młodzieżą ubogą, wszystko to zjednało jej cześć młodego bakałarza i chęć służenia...

A że uczucia takie zawsze się zdradzają i najczęściej są opłacane, królowa też wyróżniała Grzegorza, i zdawała się czekać tylko chwili, gdy go do służby swej zawezwie.

Były to ostatnie lata panowania zestarzałego króla, który jeszcze się podrózami i łowami zabawiał, ale rządy kraju były więcej niż kiedykolwiek w silnych rękach biskupa Zbyszka i jego rodziny...

Na zamku i u wojewody spotkał też Grzegorz wszechmocnego władcę, który okazywał mu dosyć życzliwości, szczególnie ceniąc jego łacinę i znajomość literatury.

Zbigniew z Oleśnicy zresztą był człowiekiem zbyt samoistnym i żądnym władzy, aby tych, w których odkrył energię, mogącą w przyszłości stanąć mu na przeszkodzie, pociągał ku sobie i torował im drogi.

Poczuł on w Grzegorzcu z Sanoka człowieka, który cudzem być nie mógł narzędnym, nie podawał mu więc ręki, spychając go jak Ciołka na podrzędne stanowisko stylisty i wierszopisa.

Nie starał się też bakałarz o pozyskanie sobie biskupa, ograniczając się tem, ażeby go nie mieć nieprzyjacielem.

Królowa zaś, właśnie ceniąc tę energię w nim, na której się może w przyszłości oprzeć spodziewała, nie spuszczała go z oka.

Ani ks. kustosz, ani p. Piotr Ryterski nie zazdrościli bakałarzowi jawnych łask królowej, zresztą ograniczających się tem, że czasu zabaw rozmawiała z nim prawie codzień, coraz poufalej. Grzegorz się z tego nie wynosił, ale przewidywał, iż to mu na przyszłość posłużyć może.

Tak stały rzeczy, gdy nagle jak piorun spadła na królowę i królestwo niespodziana wiadomość o chorobie, a prawie jednocześnie o śmierci Jagielly.

Biskupa Zbyszka nie było naówczas w Krakowie, a na nim polegała Sonka, iż syna jej starszego na tronie osadzi. Poruszyło się po zgonie króla wszystko, co imię jego i powaga długim panowaniem pozyskana, spojnym i spokojnym trzymały.

Wszystkie zachcianki, nadzieje, urojenia, zabiegi przyjaciół Piastów, mściwe zachody wrogów królowej wybuchły i zakłóciły spokój.

Sonka nie miała się kim posłużyć, komu zaufać, potrzebowała ludzi... W tej godzinie stanowczej już dawno napatrzony Grzegorz z Sanoka, na myśl jej przyszedł. Posłała do wojewody i zażądała od niego, aby bakałarza swego odpuścił dla niej. Jan z Tarnowa zgodził się na chwilowe pofolgowanie mu w obowiązkach, ale nadto go umiał ocenić, aby się całkiem chciał z nim rozstać...

Grzegorz też, na teraz jeszcze pod żelazną ręką biskupa, nie bardzo życzył sobie być służką bez znaczenia i powagi.

Bakałarz czasowo przeszedł na zamek, dał się użyć jako poseł i pośrednik, ale nie rozstał się z Tarnowskimi. Aż do przybycia biskupa, który już do Bazylei nie jechał, bo pilniejsze nad sobór były sprawy królestwa, Grzegorz z Sanoka był na usługach królowej, chociaż niewidoczne i podrzędne zajmował na dworze stanowisko...

Była nawet mowa o tem, że go dodać miano posłom na sobór wyjeżdżać mającym, ale młody wiek jego i niedość znane teologiczne wykształcenie, może żywość i śmiałość, wstrzymały tę podróż.

Przypadła mu za to ciężka praca czuwania nad królewiczem Władysławem i przysposobienie młodzieńczego chłopięcia, do tych wystąpień, jakie go czekały.

Dawniej już Grzegorz umiał sobie wesołością, wymową, łagodnością zyskać wielką sympatyę przyszłego króla. Nieraz Ryterski i ks. kustosz używali go nieznacznie do przełamania małego uporczywości, do namowy na jakieś ustępstwo...

Grzegorz w sposób pełen uszanowania, ale żartobliwy i poufały, umiał królewicza skłonić do czego było potrzeba...

Już w dziesięcioletnim panu, przyszyły jego zwiastował się charakter, który w wielu rysach ojca przypominał. Przedewszystkiem był to krwią i wychowaniem rycerz już, który marzył o sławie, zdobyczach, o wielkich wojnach i czynach nadzwyczajnych.

Z dziejów, które królewiczom czytano, Krzywousty był jego ulubieńcem i wzorem. Zazdrościł mu młodzieńczych wypraw, walk i całego żywota, opiewanego przez Galla... Na ustach miał ciągle: Gdy dorosnę, a wyjdę na wojnę...

Najmilszym strojem jego była mała zbroja lekka, którą dla niego naumyślnie zrobiono, najulubieńszą zabawką igrzyska na podobieństwo małych turniejów w podworcu zamkowym. Ryterski musiał go hamować, a ks. Kot gwałtem zasadzać do nauki i wabić do niej historyami bohaterów.

Drugą cechą młodzieńca, wziętą po matce, i z obyczaju wieku, było upodobanie w wytwornym stroju i elegancji, w oglądzie europejskiej.

Książęta niemieccy przybywający do Krakowa, opowiadanie o dworze cesarza Zygmunta, niepokoili Władysława, który chciał, aby polski dwór i zamek nie ustępowały tym, które przy nim sławiono...

Po ojcu wziął królewicz nadzwyczajną ową jagiellońską hojność, która nigdy nikomu nie odmówić nie umiała. Często bardzo to, co miał najulubieńszego, przyjaciółom Tarnowskim, gdy się im podobało, natychmiast chciał oddawać, a że swej woli nie miał, biegł z tem do matki, która nigdy pozyskiwaniu sobie ludzi przez dzieci nie była przeciwną.

Tak mało na kogo rachować mogła!!

Wśród tych dni burzliwych, gdy aż do ostatniej godziny wicherzyciele chcieli koronacyi Władysława przeszkodzić i nie dopuścić, gdy królewiczowi nieustannie trzeba się było ukazywać, kłaniać, prosić i mieć przytomność umysłu starego a wytrawnego człowieka, Grzegorz z Sanoka stał przy nim ciągle ukryty, dodawał mu męztwa, budził w nim słabnącą na widok łez matki energię, rozśmieszał go, aby mu nie dopuścić się rozplakać.

W dniu koronacyi, gdy na sali łajano się od ostatnich słów, a godziny uchodziły i nie można było wiedzieć, czy obrzęd da się spełnić, gdy Władysław błądy i strwożony stał w całym ubraniu królewsko-kapłańskim, czekając i drżąc, Grzegorz z Sanoka był u jego boku, udając wesołego i zapewniając biednego, że dziś włoży koronę na skronie...

Tych dni kilkanaście przebytych prawie bez przerwy na zamku przy Władysławie, więcej do niego zbliżyły Grzegorza z Sanoka, niż cały rok poprzedzający. Młody król był mu wdzięczny, spoufalił się z nim, nauczył ufać, nie taił z żadną myślą najszybszą.

Gdy wreszcie ukoronowano młodego pana, a wszystko się szczęśliwie skończyło, Grzegorz nie czując się tu już potrzebnym, pożegnał królową i powrócił do swych wychowańców.

Za tę usługę niewidoczną w dniach ciężkich, zaszczycono młodego bakalarza wezwaniem do napisania pochwalnego wiersza na cześć zmarłego króla.

Było to odznaczeniem go, ale razem zepchnięciem ze stanowiska, jakiego mógł osiągnąć. Wytykano w ten sposób palcem, jako poetę i uczonego, który miał pozostać łacinnikiem tylko i poetą.

Grzegorz z Sanoka spełnił dane mu polecenie, nie dając poznać po sobie, iż mógłby być przydać się do czego innego. Napisał pochwałę zmarłego, zebrałszy do niej rysy charakterystyczne, które dziś uderzają realizmem śmiałym i naiwnością swoją. Król chwalony wystąpił w nich jakim był za żywota, z silnie oznaczoną indywidualnością... Apologia nie stworzyła ideału, który mógł przystać do tysiąca innych postaci, dała wizerunek zmarłego...

Jak wszystko co pisał Strzemińczyk, wiersz ten obudził i podziwienie i zdumienie. Tętniło w nim życie, do którego w poetach owego czasu ludzie nie byli nawykli.

Młody król tymczasem sposobił się do przyszłych rządów... Biskup krakowski, panowie rady, a po za nimi królowa, zastępowali go w sprawach bieżących, które silnej dłoni potrzebowały...

Władysław w tej atmosferze, jaką stworzyła mu zawcześnie osiągnięta korona dojrzał szybko.

Przyszły władca miał już, pomimo czuwania matki, pochlebców, ulubieńców, zabiegających o jego łaski, posłuszne sługi, potajemnie rade serce pozyskać.

Szczęściem czuwało nad nim oko matki, a królowa Sonka, gdy nie wiedziała nawet, sercem macierzyńskim przewidywała niebezpieczeństwo.

Skłonności też młodego króla nie zagrażały jego przyszłości. Przedewszystkiem był to marzący o swem rycerskiem powołaniu młodzian niecierpliwy, który potrzebował sobie jednać przyjaciół i zawsze się otaczać rówieśnikami.

Garnęli się też do niego chętnie starsi nawet, widząc w nim hojność ojcowską... Przeciwno temu chórowi, który nigdy nie śmiał królowi w niczem się sprzeciwić, a wyprzedzał fantazje jego, trzeba było postawić jakiś samoistniejszy charakter, coby się nie wahał powiedzieć prawdy i nie dopuścić zbytniej samowoli.

Królowa, znająca już dobrze Grzegorza z Sanoka, nie schlebającego nigdy, mającego w potrzebie odwagę sprzeciwienia się, zażądała go mieć przy synu.

Zawołany na dwór, został wpuszczony do królowej, która już na niego oczekiwała.

Podala mu rękę do pocałowania, uśmiechając się.

— Mówiłam już z Tarnowskimi — odezwała się. — Jesteś wolnym, żądam abyś na zamek się przeniósł i króla nie odstępował...

Grzegorz się pokłonił.

— Miłościwa pani, zaszczyt to dla mnie wielki, ale jakież ja tu zajmę stanowisko? komu mam być podległy? jakie będą obowiązki moje?

Królowa z pewną niecierpliwością i objawem rozdrażnienia spojrzała na bakalarza. Piękne jej pełne wyrazu oczy, w których silna wola się malowała, chwilę mierzyły pytającego i przygotowywały do odpowiedzi.

— Pozostaniesz przy królu — rzekła — jako starszy przyjaciel jego, jako oko moje, jako stróż z ramienia matki. Nie będziesz podlegał nikomu oprócz mnie. O przyszłość swoją możesz być spokojnym.

— Nie troszczę się o nią, miłościwa pani — rzekł Grzegorz — ale o obowiązki jakie będą włożone na mnie, abym mógł im podolać.

Królowa oblekła się powagą i podniosła głowę, namyślając chwilę.

— Obowiązkiem waszym będzie stać przy królu i mówić mu prawdę, tam gdzie wszyscy prawić będą pochlebstwa... Władysław dobry jest, ma najszlachetniejsze serce, ale młody, rozmarzony, niedoświadczony, potrzebuje hamulca, królowi nie łącznie kto ma się

odwagę sprzeciwić. Jam matka, nie zawsze przemówić mogę, nie wszystko mi się mówić godzi. Będziesz mieć odwagę za mnie?

Grzegorz myślał chwilę i rzekł z uroczystym namaszczeniem...

— Spełnię rozkazy wasze...

— Przenoście się na zamek, marszałek wskaże wam izby w bliskości królewskich...

Kończyła te słowa królowa, gdy z wesołą twarzą, strojny, piękny, wysmukły, z śniadą swą twarzyczką, ciemnymi oczyma, włosami w puklach spadającymi na ramiona, ukazał się Władysław. Zobaczywszy Grzegorza, uśmiechnął mu się, witając matkę.

Oba oni, starszy i młodszy nawykli byli nietylko ją szanować, ale bez najmniejszego oporu spełniać każdą jej wolę. Sonka łagodną była dla nich, ale nigdy z rąk władzy macierzyńskiej nie wypuściła...

Chciał odchodzić Grzegorz, gdy skinienie pani wstrzymało go.

Wskazała synowi na stojącego bakalarza.

— Grzegorz z Sanoka pozostanie na dworze, chcę byś go miał przy sobie, spodziewam się, że ci będzie miłym.

Król młody podał mu rękę.

— Nie wiem czy kogo Kocham więcej nad niego — rzekł z uśmiechem — chociaż kłócimy się z nim bardzo często...

— A ja właśnie dlatego sprowadzam go na dwór, aby kłócił się z tobą — przerwała królowa Sonka. — Nadto ci się wszyscy kłaniają...

— Niech on mnie strofuje! Ja się go nie boję — odparł Władysław zawsze wesoło.

Odpuszczono nareszcie bakalarza, który poszedł pożegnać swych wychowalców i wedle zwyczaju donieść pani Frączkowej o nowem szczęściu, czy obrocie losu jaki go spotkał.

Miał on wielkie znaczenie.

Zwlekane dotąd poświęcenie się stanowi duchownemu, musiał Grzegorz stanowczym krokiem zakończyć. Nosił suknię, nie mając święceń, wahał się jeszcze...

Dawano mu oddawna do zrozumienia, że byłby mógł otrzymać beneficjum jakiegoś, probostwo lub kanonię, gdyby kapłanem został. Rozdawano je wprawdzie naówczas i długo potem jeszcze, osobom świeckiego stanu, z obowiązkiem trzymania wikaryuszów, lecz było to wyjątkowem i przez duchowieństwo niedobrze widzianem.

A Grzegorz nie czuł w sobie jeszcze tak jawnego powołania, aby się wyrzec na zawsze swobody życia i nadziei...

Pani Frączkowa też, która była jego Egerią, nie nalegała na pośpiech, choć przewidywała, że się na święceniu skończyć musi.

I tym razem Grzegorz poszedł do dworku Balcerów naprzód, pochwalić się tem, co go nawiedziło... Spotkał w progu starą Balcerowę.

— A co, matuniu — rzekł do niej wedle poufalego zwyczaju dawnych czasów. — Żle ze mną. Ludzie się Grzesiem waszym rzucają. Tarnowscy już mnie nie chcą. Wyrzekli się...

Widząc uśmiech na jego ustach, nie ulękła się jakoś Balcerowa.

— Cóż myślisz poczynąć?

— Albo to człowiek ma w czem wolę swoją? — rzekł Grzegorz wchodząc za nią do izby. — Teologowie i filozofowie powiadają o wolnej woli, ale bodaj tak świat widzieli!!

Mus jest we wszystkim, chcesz czy nie, konieczność ciągnie...

— Dokąd? — wtrąciła nadchodząca pani Frączkowa.

Grzegorz witał się z nią i odparł obojętnie.

— Kazała mnie przywołać królowa dziś i poleciła przenieść się na zamek, a stać przy młodym królu.

Lena potrząsnęła głową.

— Skarżysz się na to? — zawołała.

— Jako żywo, bo ja na nic się nie zwykłem skarżyć, to raz, a powtóre, skarga się nigdy na nic nie zdała i jest rzeczą dziecinną, ale czy to bardzo wygodne i zdrowe? nie wiem...

Westchnął.

— Lepiej było w kollegium? — zapytała Frączkowa.

Wtem praktyczna Balcerowa wtrąciła.

— Cóż wam na zamku przeznaczono robić? bo już ciż miejsce dać musieli.

Grzegorz głową trząsł.

— Dali mi miejsce Ezopa przy królu.

Kobiety spojrzęły po sobie nie rozumiejąc.

— Cóż to jest? — spytały.

Śmiał się bakałarz.

— Trudno wytłumaczyć, mam królowi mówić prawdę, a tak słodką, aby ją przetykał — rzekł wreszcie. — Będę wisiał przy dworze, trochę więcej jak błaznem, a trochę mniej niż ochmistrem...

— Nie drwij — przerwała Lena, która nie lubiła, aby ją lekceważono.

— Mówię prawdę — ciągnął dalej Grzegorz. — Nie dano mi żadnego urzędu, ani obowiązku, królowa chce abym młodego pana miał na oku i ostrzegał go.

— Toć najlepszy sposób zbliżenia się, przywiązania do siebie i pozyskania.

— Nieprzyjaciela — dokończył Grzegorz. — Zbrzydź mnie sobie...

Kobiety nie chciały tego zrozumieć.

— Druga konieczność — dodał Grzegorz — że wreszcie suknię, którą noszę, trzeba będzie dać pokropić święconą wodą i wygolić sobie koronę na głowie.

Westchnął. Frączkowa się popatrzyła na niego i ramionami ruszyła.

— Nie chce mi się wierzyć w takiego księdza.

— Mnie też — dokończył Grzegorz — ale spieszyć nie będę...

Smutnie jakoś skończyła się rozmowa. Po chwili despotyczna pani Frączkowa zawczasu zaczęła nad tem boleć, że Grzegorz na zamku zajęty o nich zapomni.

— A ja tego nie ścierpię — dodała. — Nie było nas do siebie przyzwyczajając, teraz chcesz czy nie chcesz, musisz służyć Frączkowej...

— Tego się nie zarzekam — rzekł bakałarz. — Nie mam oprócz was na świecie nikogo...

W złą wyrzekł to godzinę.

Frączkowa się nagle spiesniejszym krokiem zbliżyła do niego z dosyć zafrasowanym obliczem...

— Nie w porę wam to oznajmię — rzekła — ale zataić trudno... Właśnieście powiedzieli, że nikogo nie macie, a bodajbyście nie woleli naprawdę nie mieć rodziny...

— Albo co? — przerwał zdziwiony Grzegorz.

Kobiety się na siebie popatrzyły.

— Nie ma co taić — odezwała się Frączkowa. — Drugi już dzień jak tu przychodzi obdarty, pijanica, zawadyaka okrutny, a mieni się waszym bratem Zbilutem i szuka was. Nie chcieliśmy mu o was powiedzieć, abyście wstydu nie mieli...

Grzegorz pobladł i zerwał się na nogi, ręce łamiąc.

— Być-że to może! Zbilut tu... Rodzony mój, Boże wszechmocny! W tej chwili!!

— Jeżeli go wiertelnicy pijanego gdzie nie pochwycili przy kościach, to tylko co go nie widać — mówiła Frączkowa. — Uparł się tu chodzić, aby koniecznie wymódsz na nas wiadomość, gdzie ma szukać brata... Ale strach spojrzeć na niego! a wam się serce zakrwawi gdy go zobaczycie...

— Brat, brat!! — powtarzał Grzegorz wzruszony. — Rodzony brat! Jakże ja go mogą opuścić. Jego jednego w świecie mam! Może nędza do tego stanu biedaka przyprowadziła, może rozpacz każe mu szukać zapomnienia w pijaństwie. Brat! — powtarzał Grzegorz...

Wtem w sieniach dał się słyszeć głos chrypliwy.

— Puszczaj nicponiu! bo ci łeb rozkwaczę... Słyszysz! Szlachcic jestem ty łyku jakiś, rabie...

Frączkawa uszy zasłoniła sobie rękami i rzuciła się do drugiej izby, gdy Grzegorz, domyśliwszy się Zbiluta, zapomniał o wszystkim i wybiegł naprzeciw niego wołając.

— Zbilut! brat!

Szedł z rękami otwartymi, aby go przycisnąć do piersi, ale na widok jaki mu się przedstawił, cofnął się z jękiem przerażony...

Przed nim stał młody jeszcze mężczyzna, w sukni zbloconej, poszarpanej i odartej, w czapczynie na tył głowy zarzuconej, z brodą zarosłą i rozczochraną, z włosami, w których słoma i śmiecie tkwiło. Twarz jego czerwona krwawo, zwierzęcego wyrazu, oczy zasze krwią, sińcami okryte i guzami czoło, brudne ręce, czyniły go obrzydliwym i straszonym.

Na widok Grzegorza, zaniemiawszy na chwilę Zbilut, ręką niepewną, drżącą sięgnął do czapki i zamruczał.

— Czołem!

— Zbilut! — zawołał Grzegorz.

— Tak jest, Zbilut Strzemińczyk z Sanoka, — odparł bełkocząc pijany. — Szukam brata zgubionego... Ten słyszę tu opływa w dostatkach a krew jego wszy jedzą. Taka sprawiedliwość na świecie...

Otarł rękawem zaślinione usta, splunął i począł niepewien jeszcze kogo ma przed sobą, bo mu się w głowie mąciło, przyglądać się Grzegorzowi, który zawołał surowo.

— Chodźmy ztąd!!

W Grzegorzu walczyło wzruszenie i odraza, a smutek jakim go przejmował widok pijanego, zezwierzęconego człowieka, w którym chciał widzieć brata. Zbilut nie okazując najmniejszej czułości, wpatrywał się oczyma zażawionemi od pijaństwa temu, w którym się domyślał brata. Bakalarz wyszedłszy, tarł czoło, myśląc co pocznie z tym człowiekiem, z którym naprawdę wstyd było się pokazać w ulicy.

Potrzeba było mieć męztwo wielkie i miłość jaką czuł Grzegorz, aby spełnić ciężki obowiązek.

— Masz gdzie jakie przyporzysko? gospodę? — zapytał stojąc w ulicy.

Zbilut ruszył ramionami.

— Gdzie tu w tym przeklętym Krakowie znaleźć dziurę? Ludzie jak drapieżne zwierzęta! Trzy razy mnie w szynkach pobito... Nie mam kąta, nie mam grosza... Ostatnią noc nie wiem gdzie spał pod murem...

— Aleś pił i jesteś pijany?

— Co to, pijany? Człowiek, gdy nie ma co jeść musi pić — krzyknął Zbilut. — Jeżeli jesteś moim bratem, no, to prowadź mnie do siebie na gospodę... A juści!

— Nie mogę — rzekł Grzegorz — ja mieszkam na zamku przy królu, a tam takich obdartusów jak ty nie cierpią. Dostałbyś się do kuny...

— No, to gdzie chcesz mnie wsadzić, aby dach nad głową, jeść i pić w bród, bom głodny — rzeki Zbilut — a nie, to po ulicach wywoływać będę coś za brat!! Wstydu narobię.

Wziął się w boki.

— Jam tu darmo z Sanoka na piechotę przywłókl się!! Powiadali ojcu i mnie, że wy tu opływacie.

— Żyje ojciec? — przerwał Grzegorz.

— Nogami suwa, a ani go dobić! — odparł Zbilut. — I grosza mi już nie daje... a trzyma co ma pod sobą!

— Nie mogłeś to pracować? — zawołał surowo Grzegorz.

Zbilut splunął.

— Ale! — wykrzyknął. — Boso, w tym kubraku, bez konia szlachcicowi służby szukać? Stary nic dać nie chciał, on wszystkiemu winien.

Po krótkim namyśle, Grzegorz nie przedłużając rozmowy, począł iść w miasto... Nie mógł go gdziekolwiek umieścić, tylko pod dozorem człowieka, któryby litość nad nim miał, a razem energię do powstrzymania go od pijaństwa...

Za czasów, gdy począł tu do szkół chodzić, bakalarz na jednej ławie siadywał z bardzo biednym, starszym od siebie wyrostkiem, którego przezywano niewiedziec z kąd Grochowiną. Przydomek mu się ten pozostał. Grochowina, który uczyć się począł, gdy był pod wąsem, niedaleko zaszedł w szkole, porzucił ją potem i w mieście go do straży zaciągnięto. Był starszym nad częścią pacholków miejskich, Viertelników.

Choć sam nieuk, Grochowina miał wielkie poszanowanie dla ludzi stanu duchownego i nauczycieli, chlubił się tem, że z Grzegorzem razem do szkoły chodził, a spotykając się z nim, uśmiechał mu się i kłaniał. Był to człek dobry, ale nawykły do ocierania się ciągłego o gawiedź uliczną, do surowości wdrożony i nieubłagany dla hultajów.

Wiedział Grzegorz, że Grochowina mieszkał w lichej izbie u Floryańskich wrót i spodziewając się go tam znaleźć, bratu iść kazał za sobą. Zbilut mrużąc ciągnął za nim.

Grochowina stał właśnie w furcie, gdy nadeszli, na wieczorny obchód swojego kwartału się sposobiąc.

Pospieszył bakalarz przodem ku niemu, a poznawszy go zaledwie, drab zdjął kołpak z głowy i począł się uśmiechać z dziecinną radością.

— Grochu mój! — zawołał bakalarz — patrzaj na tego, którego z sobą przywiodłem... pijanicę co się tak zatacza... Jest to mój rodzony brat! Bieda go do tego doprowadziła. Nie mam na razie co z nim począć. Miej nademną miłosierdzie. Weź go do siebie do izby... nakarm, pić mu nie dawaj, włóczyć się nie pozwalaj...

Wyjął z kalety bakalarz garść denarów i wsypał je w szeroką dłoń Grochowiny.

— Nim się namyślę, co z nim począć, może się ustatkuje. Zatrzymaj go przy sobie, ale mu za próg nie daj wychodzić i pić nie dopuść!

Grochowina słuchał z uwagą, potrząsając głową.

— Jednak — dodał litując się bakalarz — nie bądź za surowym... obchodź się z nim łagodnie. Jutro przyjdę, aby coś na przyszłość obmyśleć.

Zbilut stał tymczasem oglądając się dokoła.

— Słuchajcie — zawołał do brata razem i do nieznanego Grochowiny — a gdzieby tu się posilić? Pić mi się chce wściekle...

Targnął za rękaw Grzegorza.

— No, cóż będzie?

— Zostaniesz tu, dadzą ci pomieszczenie i strawę — rzekł bakalarz. — Naprzód ci się wyspać potrzeba, nim ja z tobą mówić będę.

— Cóż to to? przecie nie gospoda — odparł chmurząc się Zbilut — wygląda na więzienie...?

— Izba jest jasna i dobra u mnie — przerwał z wolna go pod pachy biorąc Grochowina, i popychając przed sobą na ciasne wschodki. — Idźmy...

Grzegorz poszedł też za nimi.

Weszli do komory sklepionej, dosyć obszernej, w której kątach był nagromadzony rynsztunek wojenny. Parę okien kraciastych, niewiele światła dopuszczających, czyniły ją dosyć smutną. W kącie stał tarczan Grochowiny, a na stole w pośrodku postrzegłszy dzban i kubek, Zbilut wprost nie pytając nikogo, chwycił się do nich. Ale, oboje było próżne.

Z pogardą postawił je nazad i obejrzał się.

— Jeść! — zawołał — i pić!

— Wszystko przyjdzie swego czasu — rzekł Grochowina — a mnieby się widziało, abyście naprzód na mój tarczan szli spocząć.

Bakalarz stał z niewymownym litości wyrazem przypatrując się odzyskanemu bratu.

— Zbilut — rzekł poważnie. — Chceszli abym ci bratem był, stań-że się takim, byś mi wstydu nie czynił.

Będziesz miał wszystko, co ci potrzeba, oddam ostatnie, podzielę się z tobą czem mogę, ale hultaja nie ścierpię...

Zbilut zdawał się słuchać, piąte przez dziesiąte rozumiejąc ledwie.

— Alboś ty mi brat albo nie brat — odezwał się — a jeżeliś mi brat, to mi powinno być wszystko w bród! Za co ja mam nędzę cierpieć, kiedy ty w flamskim suknie paradujesz.

— Alem ja na nie zapracowałem! — odezwał się Grzegorz.

— To i ja z kordem w ręku, ino mi dać co się należy, potrafię też po łbach ludzi walić, bo to jest szlachecka sprawa, a ja jestem szlachcic zawołania Strzemie. Klechę, jako żywo nie będę, a w rycerskim rzemiośle nikt mi nie sprost!

Wyciągnął pięść, ale zachwiał się na wązkiej ławie, na którą padł, i gdyby go nie pochwycił Grochowina, na ziemięby się stoczył. Silny drab, raz go ująwszy, rzucił na tarczan i dał znak Grzegorzowi, aby był o niego spokojnym.

Zbilut znalazłszy się na posłaniu, zabelkotał coś niewyraźnie, ale wypity trunek go rozmarzał, i po chwili, choć rzucał się i chciał wstawać, sen nim oświadczył...

Bakalarz spojrzawszy zdala z politowaniem, poszeptał z Grochowiną, i odszedł...

VIII

W tydzień potem, pijanicy Zbiluta, którym brat się zajął serdecznie, poznać było trudno. Naprzód od stóp do głów odział go swoim kosztem bakalarz, nakarmił, opatrzył, a gdy się wytrzeźwił i oprzytomniał, wymógł na nim przyrzeczenie, że pić nie będzie, obiecując mu rycerską służbę dobrą wyrobić przy jakim pańskim dworze. Zbilut otrzeźwiony, zdawał

się na wszystko zgadzać, przyrzekał bratu poprawę, lecz czem był w dziecięcym wieku, pozostał i teraz, to jest najchytrzejszym i najzepsutszym z ludzi. Umiał się ułożyć tak i przybrać pokorną i powolną powierzchowność, że bakałarz mu uwierzył... Tłumaczył się rozpaczą, do której go nieludzkość ojca doprowadziła...

Pobyty w Grochowiny, trochę więzienny, nie podobał się Zbilutowi, obawiał się tego draba, który pilne miał na niego oko, wyprosił się więc do jakiegoś mieszczanina, z którym zrobił znajomość.

Przez dni kilka układał się tak dla Grzegorza, aby go nigdy pijanym nie zastał. Późno potem w noc wykradał się do browaru i tam pił do upadłego; a że piwnice naówczas, zwłaszcza odleglejsze, pełne były kosterów; z nimi też kości rzucał i kilka guzów oberwał. Złożył je na jakiś przypadek, a przed bratem ciągle statecznego udawał, powtarzając...

— Ja teraz nic, tylko wodę! abym głodnym nie był!

Chcąc go w służbę wojskową dać, musiał Grzegorz o konia, o zbroję, o miecz, o koncerz, o suknie i o rząd się starać, tak że co miał tylko grosza, wydał na to. Zbilut przyjmował dosyć wdzięcznie, ale potrzeby coraz nowe wynajdował... a potem obiecywał pokazać dopiero co umie...

Bakałarz, któremu o te czasy przypadło razem starać się w akademii o nowy stopień mistrza (*magister*), bo ten mu był do dalszego pomieszczenia się potrzebnym, stać u boku króla, nieraz potajemnie być wzywany do królowej, a razem brata tego na ludzi wyprowadzać, nie miał jednej chwili wolnej.

Przybycie Zbiluta zubożyło go... oddał mu, nie jak postanawiał połowę tego co miał, ale niemal wszystko co uzbierał.

Lecz nie było mu straszne ubóstwo, bo dla siebie nie potrzebował wiele, a cieszył się tem, że brata wyrwie z błota.

Wychwalał się tą szczęśliwą przemianą przed Frączkową, która jako kobieta nie tak łatwowierna, uśmiechała się tylko i głową trzęsła... Nie wierzyła w poprawę zawadyki i pijaka.

Właśnie gdy już mistrzem mianowany Grzegorz z Sanoka, dla odrodzonego brata spodziewał się znaleźć pomieszczenie we dworze wojskowym wojewody sandomirskiego, jednego dnia dano mu znać z gospody, w której przebywał, że porąbany, pijany, odarty ze wszystkiego Zbilut, leżał w krwawych chustach, potrzebując więcej lekarza, niż służby...

Grzegorz pospieszył do niego...

Potłuczony Zbilut, który miał się czas wytrzeźwić, nie przyznał się do tego, że go przy kosterstwie odarto i posieczono, ale zmyślił baśń, jak go nocą lotrzykowie napadli.

Przysięgał się, że całe pijanym nie był, i że stał się ofiarą zbójów.

Okazało się, że i kupiony koń znikł, bo go wzięli roztrucharze, i zbroi nie było i sukni nie stało... Słowem cała ta wyprawa, na którą Grzegorz w pocie czoła zebrany grosz oddał, marnie przepadła. Uwierzyć niezręcznym kłamstwom Zbiluta nie było podobna. Wahał się jeszcze brat, mówiąc sobie, że nałogowy i popsuty człowiek nie od razu poprawionym być może, chciał go ratować, lecz w kilka dni potem polepionego plastrami łotra, zastał bez zmysłów spitego...

Wstręt i odraza, mimo litości, oburzenie go opanowało... Podniósł ręce, zakrył sobie oczy i zawołał do gospodarza.

— Czyń z nim co chcesz, ja więcej o nim wiedzieć nie chcę! Jego nie uratuję, a siebie zgubię...

Lecz łatwiej to było powiedzieć, niż skutecznić.

Zbilut wytrzeźwiony, wylizawszy się, począł od tego, że resztę rzeczy przedał i przepił, potem stanął około zamku na czatach i czyhał na brata.

Ze zwykłą logiką ludzi jemu podobnych, wywoływał głośno.

— Co to on sobie myśli, że ja mu tu będę z głodu marł, kiedy on u króla je i pije! Albow brat albow nie brat, musi mnie tak trzymać jak mi się należy. Ja swoje prawa znam i nie popuszczę...

Grzegorz uwiadomiony o tej napaści, która się na niego gotowała, z rezygnacją chrześcijańską zniósł ten krzyż pański. Dopóki miał nadzieję, że uratuje człowieka, gotów był na wszelkie ofiary, zrozpaczywszy o tem, postanowił nie czynić już nic, a upokorzenie znieść stoicko.

Szczęśliwy traf wyzwolił go od tego, coby go niechybnie spotkało, gdyby królowa w tajemnym poselstwie nie kazała mu jechać do Węgier do cesarzowej Barbary.

Gdy Zbigniew Oleśnicki wewnętrzne sprawy państwa, spory ze Świdrygiełłą, Krzyżakami, z warchołami hussyckimi załatwiać musiał, królowa tymczasem, w części bez wiedzy jego, lub wcale mu się nie zwiierzając, przewidywała zawichrzenia w Węgrzech i Czechach, po niewieściemu przygotowując się z nich korzystać.

Nie miała nawet wstrętu do hussytów, których Zbyszek odpychał jako kacerzy, przysposabiając pomiędzy nimi stronnictwo, któreby Kaźmirza małego na tron wezwać mogło.

Tak samo z pomocą cesarzowej Barbary, co ledwie do prawdy zda się podobnem, spodziewała się już Władysławowi węgierską zapewnić koronę.

Zygmunt cesarz chorzał, Barbara z zimną krwią i przewrotnością najzepsutszej kobiety, spiskowała z królową Sonką, czyniąc jej nadzieję, że zaślubi Władysława i uczyni go panem na Węgrzech.

Zabiegi te były naówczas jeszcze zaledwie rozpoczęte nieśmiało, nikt o tych marzeniach królowej matki nie wiedział, oprócz cesarzowej Barbary, tymczasem jednak pilno się starano o pozyskanie ludzi wpływowych w Węgrzech i Czechach.

Królowej Sonce niedosyć było dla Władysława polskiej korony, a prawdopodobnego wielkorządztwa na Litwie dla Kaźmirza, upajała się tą myślą dziwną, że jej synowie panować będą nad Polską, Węgrami i Czechami.

Potworna myśl przeszło pięćdziesiątletniej cesarzowej Barbary, poświęcenie syna tej kobiecie, której życie swawolne i bezwstydne dla nikogo tajemnicą nie było, wszystkie trudności tego olbrzymiego i zuchwałego planu, nie odstręczały królowej Sonki.

Wiedziała ona, że zwieryć się z tem nikomu nie mogła, bo niktby nie pobłążył myśli dzikiej i wstrętnej, zdawało się jednak Sonce, że powinna była pracować dla zapewnienia synom wielkiej potęgi, i w ciszy nie ustawała knować w Węgrzech i Czechach.

Zabiegi jej okrywała tajemnica największa, a Grzegorz z Sanoka, którego sądu obawiała się królowa, tak mało wiedział o tem jak i drudzy, bo mu nic nie mówiono. Sonka tylko znając go wiernym sobie i królowi, rozumnym i zręcznym, posługiwała się nim, jako narzędziem, gdy potrzebowała listy przewieźć, lub przeznaczone do Węgier i Czech pieniądze...

Nadzwyczaj czynna, królowa umiała milczeć, a synów tak przysposabiała do ślepego dla siebie posłuszeństwa, iż najmniejszego z ich strony oporu spodziewać się nie mogła.

Władza jej nad dziećmi była nieograniczoną. Król Władysław, choć dorastał i wkrótce być miał usamowolnionym, przy matce czuł się chłopięciem tylko, które skinienia jej słuchać musiało.

Niewidoczna dłoń pani na dworze poruszała wszystkim, nadawała kierunek, usuwała i ścigała ludzi...

Dzieci swe umiała zręcznie przygotowywać do tego, co wedle myśli spełniać mieli; budziła w obu ambicję wielką, żądzę sławy i panowania.

Starła się też przypatrzywszy rządowi Jagiełły, który sam przez się mało lub nic nie czynił, zahartować ich charaktery, aby nad sobą nikomu przewodzić nie dali.

Z Władysławem, rozmarzonym rycerzem, szło jej po myśli, gdy go do wojen i zdobyczy podzegała, ale energii w nim takiej, jakiej pożądała, wyrobić nie mogła. Jak Jagiełło dobrym był, łagodnym, hojnym i miękkim... Obok męztwa, które już w chłopięciu zapamiętało było i niczem niedające się ustraszyc, Władysław serce miał prawie niewieście. Potrzebował aby go kochano, nie dbał, by się go lękał kto inny, oprócz wroga na polu bitwy.

Kaźmirz równe obiecujący męztwo, zdawał się skłonniejszym do zahartowania i więcej w sobie zamkniętym...

Grzegorz z Sanoka obcujący z nimi, musiał wedle skazówek królowej, wpływ na obu wywierać.

Niechętnie pozbywała go się Sonka od dzieci nawet na czas krótki, lecz gdzie tajemnicę potrzeba było zachować, i przewieść jakie słowo, które do niczyjego po drodze ucha dostać się nie powinno, tam mistrz Grzegorz jechać musiał.

I teraz więc dnia jednego znikł on z Krakowa, a nikt nie umiał powiedzieć dokąd się obrócił.

Właśnie gdy Zbilut czatował nań, zapijając się po browarach i odgrażając na brata, Grzegorz był na drodze do Węgier...

Los chciał, by w nocnej jakiejś rozterce z łotrami, z którymi Zbilut przestawał, nie on pobity został, ale przeciwników swych pokaleczył. Schwytany z kosterami już nie poraz pierwszy, dostał się do miejskiego więzienia, i tu go znalazł Grochowina.

Ten znając już dobrze człowieka, a wiedząc ile strapienia przyczynił Grzegorzowi z Sanoka, postarał się o to, aby go bez zbytecznego rozgłosu, po prostu z miasta wyświecono.

Napróżno niepocziwy człek odwoływał się do mistrza brata i do królowej, ponieważ nie jeden już raz poszlakowanym był, wywiedziono go precz za miasto, a Zbilut wiedział, co go czekało, gdyby, mimo zakazu, był pochwyconym.

Gdy spełniwszy posłannictwo swe wrócił mistrz Grzegorz do Krakowa, brata już tu nie zastał. Frączkowa, która się niepokoiła tym zbójem, i rada była widzieć go wygnanym, miała o tem wiadomość. Zjawił się u niej Grzegorz i od niej posłyszał o tem, co Grochowinie był winien...

Rad był może, iż pozbył się ciężaru, ale pocziwem sercem odbolał tę stratę... Ojciec stary, który jak Zbilut mu opowiadał, dotąd nie przebaczył ucieczki, i ten niepoprawny łotr, składali całą jego rodzinę... Czuł się sierotą...

Wincenty Kot z Dębna, który był przy królewiczu, z nauczyciela jego postąpił na kanclerstwo, to go odrywało od młodych wychowanców, tem większy więc ciężar spadł na Grzegorza z Sanoka. Musiał on prawie nieodstępnie towarzyszyć królowi, i podzielać zabawy jego i zajęcia...

Młodzi Tarnowscy Amor i Gratus, dawni uczniowie, znajdowali się także na dworze. Wszystkim im, nie wyjmując Kaźmirza, Grzegorz umiał być miłym i zjednać ich sobie, chociaż żadnem pochlebstwem się o to nie dobijał.

Owszem mówił im często prawdę, ale zarazem wesoło, dobrmi słowy, z serca płynąciami.

Królowa równie z niego była rada, chociaż surowego jego sądu obawiała się nieco i nie zwierzała mu z tego, czego była pewną, że pochwalić nie mógł. Odznaczał się tem, że przekonani swych dla przypodobania się, nikomu nie zrzekał.

Jak w akademii gorszył starszych pomysłami nowemi, tak na dworze nieraz mu uniżający się i płaszczący ludzie nie mogli darować tego, iż niepodległym się okazywał.

Lecz wiedziano, że na niego, raz go pozyskawszy, rachować było można.

Życie na dworze i przy królu, wcale nie przeszkadzało Grzegorzowi po nocach ślęczyć nad księgami. Właściwie, dzień dla niego był służbą, noc, życiem prawdziwym, bo wówczas przy lampce zasiadał do obcowania z nieśmiertelnymi duchami swych ulubionych poetów, i czytywał się w Plauta, którego naśladować usiłował...

Żałował teraz i bolał, że za młodu przedsięwziąwszy wędrówkę, nie przeciągnął jej za Alpy, do Italii tej, z której płynęły drogocenne rękopisma, słynącej skarbami swemi...

Goszcząc raz na zamku biskup Zbyszek, który piękną łacinę Grzegorza cenił wielce i przestając z nim, umyślnie może rozmowę zwracał na piśmiennictwo, aby go w inne nie wtajemniczać sprawy, usłyszał to życzenie a raczej żal, iż mu nie dano było gościć we Włoszech...

Zmarszczył czoło i spojrział bystro na młodego mistrza.

— Dziwnie się to składa — rzekł — bo życzenie wasze schodzi się z moją pilną potrzebą wysłania zaufanego męża na dwór Ojca św. do Rzymu? Gdyby królowa jejmość i młody pan zgodzili się na to, chętnieby wam powierzył poselstwo moje. Nie od rzeczyby też było może, abyście suknię nosząc duchowną i święcenia kapłańskie otrzymali, a te z łatwością byście tam uzyskali...

Myśl ta uśmiechała się wielce Grzegorzowi, lecz nigdy się nie spodziewając, aby ją mógł przyprowadzić do skutku, gdy nagle ujrzał blizką urzeczywistnienia, oniemiał prawie z podziwienia i radości.

Okazywać jej jednak nie śmiał, bo będąc na usługach królowej, nie wiedział czy go odpuścić zechce...

Wszystko więc pozostawił biskupowi Zbyszkowi.

Ile razy znajdował się w takim położeniu, w którym człowiek szuka kogoś, aby się z nim myśla i uczuciem podzielić, Grzegorz nawykł był zwracać się do dworku Balcerów.

Frączkowa, prawda, była kobietą nieuczoną, jednakże przy tym mistrzu nabyła, przyswoiła sobie zdrowy sąd nawet w tych rzeczach, o których otwarcie powiadała, że się na nich nie znała i nie rozumiała. Słuchała Grzegorza, i często zdumiewała go sądem zdrowym. Z nią zresztą mówił jakby sam z sobą, tak znajdował jej wyobrażenia pokrewnymi swoim.

I tym więc razem, rozkołysany myślą, że podróż do Italii przyjść może do skutku, poszedł się podzielić z Frączkową swoją nadzieją.

Już w progu, znająca go dobrze jejmość, na twarzy wyczytała, że coś pomyselnego przynosił, bo mu się oblicze uśmiechało.

Nie spieszył jednak z dobrą wieścią.

— Cóż mi tam przynosicie? — zapytała Lena siadając naprzeciw niego — bo czuję i widzę, żeście nie przyszli z próżnymi rękami.

— Otóżecie się omylili! — rozśmiał się mistrz — bo naprawdę, tylko wiatr i dym przynoszę w nich!! Nadziei wszelkich inaczej nazywać się nie godzi.

— A z jakąż nadzieją przychodzicie? — nalegała Frączkowa.

Grzegorz się wstrzymał trochę z przyznaniem do niej, przypomniał sobie, że jejmość nie była rada gdy podróżował.

— Dawnom marzył — odezwał się w końcu — aby się do Italii dostać, bo to królestwo ksiąg i nieprzebrane źródło nauki. Otóż, otóż się tak składa, że ks. biskup potrzebuje posła do Rzymu, a po drodze bym i o Bononię i Padwę zawadził.

Skrzywiła się Frączkowa.

— Ks. biskup?? — zapytała głową potrząsając znacząco, i ironicznie się uśmiechnęła — a wy, człowiecze dobroduszny, cieszyście się z tego?

Zdumiał się Grzegorz.

— A dlaczegoż radowaćbym się nie miał? — odparł niemal obrażony.

— Dlatego — zaczęła Lena — że onby was rad ode dworu, króla i królowej oddalił, bo może wam rosnącego wpływu zazdrości, może się go obawia!!

Grzegorz na chwilę się zadumał, ale gdy podniósł rozumne i spokojne wejrzenie na siedzącą naprzeciw Frączkową, która tryumfowała ze swej przenikliwości, wzrok jego niemal ją upokorzył, oznaczał on politowanie jakiegoś, miał siłę i wyższość, którą uczuła Lena.

— Przyjaciółko moja dobra — rzekł powoli — zaprawdę, zaprawdę w troskliwości waszej o mnie, wy nigdy wszelako nie zrozumiecie, do czego ja dążę i czego pragnę!

Sądźcie, że wysokie stanowisko przy królu, że stanowczy głos w radzie, że udział w rządzie, mogą być dla mnie celem pożądanym, i że ja o nie dobijać się myślę...

Tak nie jest! Marne to są sprawy, które za sobą wloką troski wielkie, walkę i odpowiedzialność. Nie pragnę, a niech mnie Bóg strzeże, abym miał wyręczać lub zastępować biskupa Zbyszka... Panować nie chcę! Władzy nie pożądam, za mądrością gonię i jej szukam... a spokoju... Księga nowa, światło nowe, które pozyskam, droższe mi są niż dostojęstwa i skarby...

Na chwilę zatrzymał się, zamilkł, jakby chciał aby słuchająca dobrze wagę słów jego pojęła.

— Tak — dodał — a jeżeliście mnie widzieli rzucającego cichy kąt w kollegium dla zyskowniejszego stanowiska u Tarnowskich, potem od nich przechodzącego w służbę królowej, nie sądźcie, abym to czynił dla władzy i marzeń o dostojęństwie... Wszystko, nawet mądrość kupować potrzeba... chciałem mieć za co nabyć sobie Plauta i Terencyusza! a na później, na starość zabezpieczyć kąt i strzechę, pod którąbym nie łaknąc chleba powszedniego, mógł ich czytać i rozmyślać nad niemi...

Nie troszcz się więc dobra przyjaciółko moja o los Grzegorza, który sam o niego inaczej się nie troska, tylko aby mu dał spokój do pracy...

Lena założywszy ręce na piersiach, milczała i patrzyła nań.

— Rozumiem i nie rozumiem — odpowiedziała po chwili. — Można jużci marnosciami świata pogardzać, ale gdy tym światem ku lepszemu pokierować człowiek ma zręczność, czemużby z niej nie korzystał?

Nie dla siebie, a dla świata!

— Jejmość moja — śmiejąc się odparł Grzegorz — ostrożnie, abyśmy nie zabłądzili oboje na manowce filozoficzne!! Sądziś, że kto oprócz Pana Boga i jego wyroków kieruje światem?? Sądziś, że Zbyszek, któremu się zda, że prawa dyktuje, jest czem innym, jak narzędziem w ręku Opatrzności! Mylisz się! Każdy powinien czynić do czego się czuje powołanym, a o resztę się nie troszczyć...

Mnie do Włoch woła pożądlivość ksiąg i światła, pójdą za nią, a Bóg sprawi, że moja praca na użytek powszechny się obróci...

Frączkowa tą nauką daną sobie, trochę się czuła może obrażoną i odparła żywo.

— Sądziś więc, że ja się myślę i że Zbyszek nie ma na myśli cię odepchnąć?

— Owszem — obojętnie rzekł Grzegorz — przyjmuję to przypuszczenie jako możliwe i trafne, ale wzruszam ramionami na to... Obawia się biskup właśnie tego, co mu najmniej grozi... Współzawodnikiem jego być nie myślę.

— A oddalenie się od młodego króla — przerwała żywo Lena — nie dozwolił innym was z jego łaski wyrugować, a samym się w nie wcisnąć?

— Nie sądę — spokojnie rzekł Grzegorz — lecz gdyby tak było nawet, nie smuciłbym się zbytnio... Król młodym jest, wszystko co może zawinić spadnie na doradców i przyjaciół jego, nie chcę za niego odpowiadać...

— Jam zawsze, co najmniej marzyła dla was o kanclerstwie — westchnęła Lena — ale widzę...

— Że ja probostwem się zaspokoję!! Dobra prebenda starczy!! — zamknął Grzegorz z Sanoka.

— I pojedziesz do Italii?

— Z wielką radością — odparł prędko Grzegorz. — Pomyślcie ino!! nie mamy w Krakowie dotąd jednego całego Cicerona, braknie nam wielu pisarzy łacińskich, bez których kalekami jesteśmy. Natomiast traktatów o filozofii, która jest bałamuctwem złożonym z formułek dziecinnych, aż nadto. Czas radzić, aby przyszłe pokolenia nie ogłupiały!

To co mówił Grzegorz zdawało się przechodzić granice wiedzy i pojęć Frączkowej, lecz choć może niejasnym dla niej było, tyle razy toż samo powtarzane słyszała z ust mistrza, iż jej to nie było obcem...

Dała głową znak potakujący, jakby mówiła.

— Powtarzasz mi starą piosenkę...

Ale twarz jej smutkiem się oblekła.

— Podróż za góry — westchnęła — pełna niebezpieczeństw i trudności.

— Dla tych co ją odbywają z trzosem nabitym, bo ich hultaje na drodze obdzierają a pod czas i zabijają, ale ja... mamony z sobą wieść nie będę i zaśpiewam zbójcom to mnie puszcza...

Choć mistrz rozmowę starał się wesołą uczynić, Frączkowa się zasępiła. Wolałaby była, ażeby nie jechał.

Nazajutrz powołano go do królowej, która go bystrem wejrzeniem zmierzyła.

— Czyście wy się sami nastęrczyli biskupowi do poselstwa? — spytała.

— Nie — rzeki Grzegorz — bom o potrzebie wyprawienia posła nie wiedział, ale przyznać się muszę miłości waszej, że gdybym był zawiadomiony, byłbym popełnił ten grzech, bom zdawna do Rzymu i Włoch wzdychał...

— Ale wy mi możecie być lada chwila bardzo potrzebni — odezwała się królowa głos zniżając i krokiem poważnym, ale żywym, jak zawsze parą razy przesunęła się po izbie zadumana. Zwróciła się potem do Grzegorza.

— Nie chciałabym, aby biskup zawczasu wiedział, że ja na was rachuję, więc i od tej podróży nie będę was odciągająca. Jedźcie.

Tu stanęła bliżej i palec podnosząc dodała.

— Jedźcie, lecz nie bawcie tam. Poselstwo sprawcie prędko. Ojciec św. gdy zażądacie, da wam odprawę rychło. Ja tu na was rachuję. Jesteście mi przy Władysławie potrzebni, a kto wie — szepnęła tajemniczo — może i gdzieindziej. Gdzieindziej! — powtórzyła z naciskiem. — Nie będziecie żalowali służby waszej u mnie.

Grzegorz się sklonił, a królowa po chwili dokończyła patrząc nań, aby wiedzieć jakie to na nim uczyni wrażenie.

— Probostwo w Wieliczce pono opróżnione, postaram się, aby wam je dano. Będziecie je mieć, ale do czasu milczcie.

Grzegorz ucałował wzruszony rękę królowej, która żywo powtórzyła.

— Wracajcie rychło. Ja tu nikogo nie mam, komubym się zupełnie zwierzyć mogła...

Chciała mówić wyraźniej i zawahała się nieco.

— Nie skarzę się na zdracę — ciągnęła dalej — ale nie wszystko co czynię chciałabym rozgłaszać przed światem, a nawet przed tymi, co jak biskup dobrze mi życzą...

Na twarzy królowej Sonki błysnął przelotny promyk dumy i pewności siebie.

— Ja kobietą jestem i po kobiecemu to czynię, co inni po mężku możeby w różny sposób od mojego chcieli zdobyć... Okaże się, komu się lepiej poszczęści!!

Uśmiechnęła się królowa ironicznie trochę i natychmiast wróciła do powagi zwykłej.

— Jedźcie gdy potrzeba — rzekła — bo biskupowi odmawiać nie możecie, ale pamiętajcie, że powracać wam należy rychło, jeśli mnie służyć chcecie... O probostwie w Wieliczce nie mówcie nikomu, ja wam je przyrzekam i mieć je będziecie...

Dzień to był, w którym nie dano Grzegorzowi spoczynku. Biskup Zbyszek wzywał go do siebie. Podróż do Włoch była postanowioną. Pisano listy do Papieża, biskup ustnie dawał instrukcje.

Sobór bazylejski i wszystkie spory i trudności, jakie wywoływał, były przedmiotem głównym poselstwa. Sprawy kościoła polskiego, obsadzenie katedr, stanowiły także ważne zadanie, które biskup Zbyszek chciał powagą Stolicy apostolskiej rozstrzygnąć.

Wszystko to miał przedstawić w Rzymie Grzegorz z Sanoka, ale dla niego Padwa i Bolonia, skarby, które się spodziewał zdobyć, stanowiły największą tej podróży ponętę.

Jak wszystkie umysły mające przecucie i przekonanie, że nauki postępu uczynić nie będą mogły, dopóki nie przejmą spuścizny po starożytnym świecie, Grzegorz z Sanoka w pisarzach dawnych widział kierowników odrodzenia i przyszłości. Równie z nim namiętnie inni też uczeni poczynali poszukiwać zaginionych pomników... Z nich mówił jakby głos zamilkły długo, który miał być hasłem dla postępu...

Może w tych chwilach rozbudzenia czci dla pogańskich pisarzy i mądrości, bałwochwalstwo dla nich było przesadzonym, może ono z trudnością dawało się pogodzić z nauką chrześcijańską, lecz w przekonaniu tych pierwszych korchowników, odgrzebujących gruzy, dobywających arcydzieła, świat pogrzebiony powinien być z żywym się przejednać, a wnuki przyznać do praojców...

Z tem gorącym pragnieniem światła, Grzegorz z Sanoka, o którego podróży celu mało kto był uwiadomionym, wybierał się z Krakowa...

Król Władysław nie wiedział dotąd o niej. Nie mówiła mu o niej matka, biskup nie znajdował potrzebnem wtajemniczać go w te sprawy.

Młodego pana dotąd kształcono rycersko, dawano mu się zabawiać z rówieśnikami, lecz zawczasu nie obciążano go zawikłanymi interesami kraju. Biskup zawiadamiał go tylko o głównych wypadkach i tłumaczył mu je tak, aby zdanie jego i rady sobie przyswoił.

Władysław też wcale nie pragnął mieszać się do tego, co za niego matka i biskup szczęśliwie spełniali. Rwał się tylko do wojny, resztę chętnieby był zdał na innych.

Matka i Zbyszek tak go przyzwyczaili do tego, aby się niemi wyręczał, iż Władysław wcale jeszcze woli swej nie miał...

Wszystkie młodości upodobania i żądze, przedwcześnie dojrzewającego pochłaniały. Matka czuwając, nie stawiała im na przeszkodzie...

Wśród najprzykrzejszych zajęć na Litwie, układów z przewrotnymi Krzyżakami, młody pan mógł swobodnie zajmować się swemi końmi, zbrojami, ludźmi, których dla siebie jako straż wybierał i stroił, turniejami, wyścigami i wesołemi zabawami z Tarnowskimi.

Matka dawała czasem wskazówkę, niekiedy surowsze napomnienie. Król naówczas ręce jej całował, rzucał się jej do kolan lub na szyję i odchodził szczęśliwy, że ją widział weselszą.

Nauki matki wszystkie jedno żywiły uczucie, ambicję bohaterstwa i panowania, zdobyczy ogromnych państw, znaczenia i sławy.

Królowa Sonka nie wahała się nawet po cichu boleć przed synem, iż nieboszczyk Jagiełło nie umiał korzystać z tego, co mu się niemal narzucało. Władysław obiecywał jej śmiejąc się, że pójdzie, choćby na skraj świata zdobywać, wrogów gromić i ziemie zagarniać...

Wśród wrzawy na pokojach młody pan próbował przywiezionej zbroi, którą Tarnowscy i kilku dworzan oglądali na nim i wychwalali, gdy wszedł Grzegorz z Sanoka.

Poważnej jego postaci i sukni Władysław wcale się nie obawiał. Kazał mu więc przytrazić się sobie i powiedzieć, jak zbroję a szczególnie szyszak znajduje, na którym lew i orzeł osadzeni byli... Jaskrawo wyszywane i wystrzygane misternie wiesidła spadały po obu stronach i leżały na ziemi teraz (lambrekiny), bo uzbrojenie do konia przeznaczone było. Królowi pięknie było w tym stroju, a z pod otwartego hełmu, śmiała się młoda twarz pełna ognia i życia.

— Mistrzu, co mówisz na moją zbroję? — wołał król.

— Że się na niej nie znam i gdybym ją pochwalił — rzekł Grzegorz — moja pochwała nicby nie była warta...

— Tak jak moja, gdybyś mi czytał twojego ulubionego poetę — odparł król.

— Jeszcze mniej — rzekł Grzegorz.

Z oczów mistrza wyczytał pewnie Władysław, że nie darmo przychodził i że coś mu miał do zwierzania... a że się domyślał poselstwa matki, zwrócił się doń szepcząc.

— Masz co do mnie?

— Chcę waszą miłość pożegnać — rzekł cicho Grzegorz.

Król posłyszawszy to, prędko oburącz uwolnił się naprzód od hełmu, który śmiejąc się, obok stojącemu Amorowi wcisnął na głowę, potem począł zbroję ściągać, do czego mu inni dopomogli i z Grzesiem poszedł w drugi koniec izby.

— Dokąd jedziesz? — zapytał.

— O podróży tej albo biskup Zbyszek, lub królowa lepiej zawiadomią, waszą miłość — rzekł Grzegorz. — Jadę, bo mnie posyłają.

Król się zmarszczył.

— A jam temu nie rad — rzekł — bo mi was brak będzie. Wy jesteście moim rozumem i gdy mi zabraknie własnego, zwracam się do was jak do dzbana, kiedy kubek próżny...

Obie ręce położył młody król na ramionach ulubionego mistrza i serdecznie spojrzawszy nań łagodnymi oczyma swemi.

— Jedziesz — rzekł — jedź gdy trzeba, ale wracaj do mnie prędko.

Tu zniżył głos.

— Nie chcę, aby mi tu was jaki inny zastąpił, z którymby mi nie było tak dobrze jak z wami.

Tak był nawykły Władysław do posłuszeństwa rozkazom matki, że więcej dopytywać nie chciał. W tej chwili tylko myśl mu przyszła...

— Nie wiem dokąd cię ślą, może to być tajemnicą, ale jeżeli będziesz w jakim kraju, gdzie oręż i zbroje są piękne, kup ich dla mnie.

Grzegorz głową skinął na znak zgody.

— Jeżeli się na nich poznać potrafię — dodał.

— Ty!! — wtrącił król. — Ty! znasz się na wszystkim!!

Wyszedł mistrz i tegoż wieczora już go nie było w Krakowie.

Są ludzie tacy, mało napozór znaczni, których gdy zabraknie, pozostawiają po sobie niezapełnioną próżnię. Grzegorz należał do nich. Nie występował on nigdy naprzód, ani myślał o narzucaniu się ludziom, a mimo to, trudno się bez niego obejść było. Każdy w nim czuł rozum, pojęcie bystre i szanował jego zdanie. Gdzie zachodziła wątpliwość, nawet w rzeczach obcych napozór jego powołaniu, odwoływano się do niego...

Zabrakło go na zamku krakowskim, a już o tem, jak brak było codziennego gościa w dworze Balcerów, mówić nie potrzebujemy. Frączkowa chodziła milcząca i zafrasowana, a stara Balcerowa nic nie mówiąc, śledziła jej kroki i pieszczotliwie głaskała pod brodę...

W kollegiach też, choć Grzegorz nie nauczał, nieraz za nim zatęskniono. Tu wszelki spór zwykle, jeżeli nie poddawano rozstrzygnięciu jego, przynajmniej bez zasięgnięcia zdania się nie obszedł.

Z powołania nie teolog, wcale w filozofią scholastyczną niewtajemniczony, bo się z niej wyśmiewał zuchwale, choć nigdy wyłącznie się nie zajmował ani nauką natury, ni lekami, ni matematyką, miał Grzegorz we wszystkim dość wiadomości i rozeznania, aby dojrzeć i rozeznąć fałsz od prawdy.

Na swój czas zdumiewające były i rażące zdania jego, które wyprzedzały o wiele przyjęte naukowe aksjomata. Nie rozumiano go często, oburzano się czasami, lecz żywsze umysły miały jasnowidzenie, że prawdę głosił. Obawiano go się i szanowano.

W akademii więc tęskniono za mistrzem Grzegorzem...

W tych tęsknotach i wyglądaniu niemal cały rok upłynął. Listy naówczas tak chodziły powoli, jak ludzie. Powierzano je podróżnym, kupcom, z rąk do rąk przechodziły, ginęły, a gdy się dostały do swego przeznaczenia, częstokroć, ten, co je pisał, sam już także przybył z powrotem.

Ta cisza głucha, oczekiwanie czyniła tęskniejszym, można się było dorozumiewać wszystkiego złego i roić najstraszniejsze katastrofy.

Łatwo więc pojąć radość tych, co po kilku miesiącach trwogi, witali wędrowca z powrotem...

Grzegorz z Sanoka zjawił się naprzód na zamku, aby sakwy podróżne złożyć w starym mieszkaniu, potem szedł do dworu biskupa zdać mu sprawę z tego, co widział, słyszał i co mu zlecono w Rzymie. Zbyszek zatrzymał go wieczór cały i część nocy... Oprócz listów, świadek naoczny przywoził papieżkie życzenia i rozkazy. Położenie Ojca św. wobec Soboru i zawikłanych spraw, które się rozstrzygały, było trudnem a nawet groźnem. Biskup Zbyszek odczuwał to mocno, bo mu na powadze Stolicy apostolskiej wiele zależało, a lękał się, aby Sobór nią nie zachwiał...

Późno w noc ledwie mógł powrócić na zamek Grzegorz, gdzie już i królowa i młody król, dowiedziawszy się o przybyciu, dopominali się o niego.

Nazajutrz dopiero, po rannej mszy, mógł się królowej pokłonić. Nie spytała o nic, rada tylko była, że go miała z powrotem.

Pierwsze słowo, które mu rzekła, było.

— Gotujcie się do nowej podróży, będzie ona potrzebną rychło...

Król Władysław na szyję mu się rzucił radośnie, Grzegorz po kilku miesiącach niewidzenia ze zdumieniem postrzegł, że urósł znacznie...

— Przywiozłeś mi zbroję? mieczyk? tulich?

— Miłościwy panie — rzekł mistrz wesoło. — Wiadoma to rzecz, że się w podarku tym, których się miłuje, nie daje żelaza ani ostrza... Ledwem jedną tarczę i szyszak zdobył, ale się ich nie powstydzę.

Niecierpliwy król natychmiast pacholków posłał po obiecany gościniec...

Helm był przedziwnej roboty, ale tarcza krągła piękniejsza jeszcze.

Pierwszy wyrobem włoskim był, wielce kunsztownym, lecz niknął przy tarczy krągłej, przywiezionej ze wschodu, złotem dźwirowanej, nasadzonej kulami złocistemi, w około której jak wieniec tajemniczy okręcał się napis niezrozumiały...

Król jak dziecię się nią zabawiał...

Grzegorz mógł teraz już pójść tam, gdzie mu najpilniej było, do dworku Balcerów, niosąc pod suknią poświęcane różańce i sznury koralu dla obu jejmości.

Tu jeszcze nie doszła była wieść o jego powrocie. Frączkowa od miesiąca w łóżku leżała chora.

Nie wiedziała sama co jej było, nie rozumiała choroby i matka Balcerowa, ale sił brakło i ochoty do życia... Pobladła i wychudła biedna, a mąż napróżno lekarzy i jadła najwymyślniejsze sprowadzał dla niej.

Gdy w pierwszej izbie wchodzący się Grzegorz ukazał, a Balcerowa radośnie wykrzyknęła, tak że w sypialni aż głos jej słyhać było, stał się cud prawie, Frączkowa, która z łóżka się nie mogła podnieść wczoraj, narzuciła na siebie suknię i chustę, i nim się przybyły z matką rozmówił, wybiegła z krzykiem radośnym, obiema rękami chwytając odzyskanego...

Ale wnet, jakby ją ten wysiłek wyczerpał, wpół omdlała zawisła na rękach matki...

Mdłość ta nie trwała długo, otworzyła oczy jasne i nowym blaskiem ożywione, a Grzegorz posadziwszy ją w krześle, podróż swą opowiadać zaczął, dobywając podarki.

Stary Balcer i Frączek znaleźli się tu wnet także na powitanie wędrowca. Znajdowano go opalonym, przychudłym, ale jakby pokrzepionym tą pielgrzymką.

— Teraz już nie pragnę nic — rzekł — bo chyba bym do grobu Pańskiego jeszcze mógł tęsknić. Widziałem Rzym i zwiedziłem te stare gniazda, w których się nauka pielęgnuje... A nie powróciłem bez zdobyczy i owoców. Czegom kupić nie mógł, tom nocami przepisywał, a czegom nie zdołał skopiować, dobrzy ludzie powierzyli mi lub dla mnie odpisywać kazali. Na całe więc życie moje mam nad czym ślęczyć, a czegóż mi więcej potrzeba?

— I dosyć już tych podróży! — zawołała Frączkowa.

Mistrz westchnął.

— Dla mnie byłoby ich już dosyć — rzekł — alem sługą, a zatem niewolnikiem.

Wszyscy poczęli go zarzucać pytaniami, a było opowiadać o czem, począwszy od kraju, którego niebo i słońce, rośliny i zwierzęta wydawały się, jakby z czarodziejskiej baśni wyjęte mieszkańcom północy, aż do gmachów, o jakich tu nie miano pojęcia... ludzi i obyczaju osobliwego... Grzegorz mówił z żywością młodzieńczą o wszystkim, słuchano go z poszanowaniem...

Tegoż dnia witał w kolegium mniejszem dawnych towarzyszy, przywołując im apostołskie błogosławieństwo.

Tu badano go chciwiej jeszcze, ale właśnie na te pytania, których odpowiedź była najpożądaną, Grzegorz miał usta zamknięte.

Natomiast z zapalem prawił o rękopismach, o pisarzach, komentatorach, o wszystkim, co w Bolonii i Padwie oglądał i czego się tam nauczył.

Twarz jego promieniała, gdy się o tem rozwodził a starzy nauczyciele ze złożonemi wtórowali mu rękami...

Jednych kościół, drugich nauka ciągnęły do tych Włoch, które przestawszy panować światu mieczem, królowały mu duchem i stanowiły jakby zadzierzgnięty węzeł, który miał całą ludzkość jednoczyć...

IX

Nadchodziła jesień i mistrz Grzegorz cieszył się dłuższymi wieczorami, które wcześniej dozwalały zamknąć się przy lampce nad księgami. W zamku i w mieście dzień kończący się rychlej do spoczynku napędzał, zabawy przerywał, a jemu dawał wolność usunięcia się do komory, w której obcował z duchami przeszłości.

Biskup Zbyszek, chociaż przyjazny i życzliwość okazujący towarzyszowi króla, nie odrywał go bynajmniej, ani od jego nadzorczych obowiązków, ani od ślęczenia nad ulubionym Plautem i Wergilim.

Posługiwał się czasami łaciną łatwą i piękną Grzegorza, ale go do tajemnic kancelaryi swej nie przypuszczał. Znawca ludzi otaczał się chętniej takimi, którzy mu ślepo będąc posłuszni, nie mogli być niebezpieczni. W Grzegorzu z Sanoka, gdyby do spraw rządowych był użytym, biskup słusznie obawiał się niezależności, z którą walczyćby musiał.

Nigdy też uczony nasz nie okazał najmniejszej chęci mieszania się do tych ciężkich zadań, jakie na biskupa ramionach leżały. Stał na uboczu, hamując zbyt żywe porywy rycerskie młodego króla, posługując królowej, gdy rady jego i pomocy potrzebowała.

Właśnie może ta wstrzeźliwość i pomiarkowanie Grzegorza, jednały mu królowę Sonkę. Nie było dnia, ażeby go nie powoływała, dając skazówki co do postępowania z Władysławem. Mistrz słuchał ich, nie sprzeciwiając się, chociaż nieraz w duchu się im dziwić musiał.

Niespokojna o przyszłość matka, zdawała się głównie dzieci chcieć natchnąć żądzą panowania, wielkości, podbojów, co według Grzegorza na umysły młode niebezpiecznie działać mogło.

Od powrotu z Włoch, niewtajemniczony w to, co się knuło na dworze, i w otoczeniu Sonki, Grzegorz widział jakiś ruch, niepokój, krzątanie się gorączkowe, których celu pojąć nie mógł.

Szczególniej uderzały go nieustanne przesyłki, posły i listy, które z Krakowa do Wyszehradu, Budy i Pragi biegały.

Ztąd też przybywali często ludzie, którzy choć usiłowali grać rolę mało znaczących, kupców, klechów, rycerzy najemnych, wydawali się mimowoli postawą i obejściem, jako mężowie znaczenia i dostojenstwa wielkiego. Tych z najrozmaitszemi ostrożnościami, pod różnemi pozorami, zwykle przyprowadzano tajemnie do królowej, która miewała z nimi narady.

Ponieważ biskup Zbyszek, albo wcale o tem nie wiedział, albo nie chciał dać poznać po sobie, że był wtajemniczony, cała ta jakaś robota skryta, zdawała się dziełem królowej.

Ilekróć się trafiło, że podobny przybysz ukazał się w Krakowie, poznać było można po królowej, iż ważne jakieś przywoził wieści. Była zajęta, niespokojna, uradowana, albo gniewna.

Grzegorza z Sanoka dotąd nie wzywano nigdy, ani do porad, ani do pomocy; a wysyłając go z pismami poufnymi na Węgry, królowa nie zwierzyła mu, ani co zawierały, ani nawet dla kogo były przeznaczone.

Tak samo jak z Wyszehradem i Budą, ciągle się z bliższą Pragą znoszono. Tu czujnego oka biskupa Zbyszka starano się widocznie unikać, a Grzegorz łatwo rozumiał przyczynę. Biskup wcale mieć nie chciał do czynienia z kacerzami, za jakich uważał nawet tych hussytów, dla których Sobór Bazylejski skłaniał się do powolności.

Nawet korzyści państwowe, jakie Polska wyciągnąć mogła, stając po stronie nowatorów, nie zdołały biskupa pociągnąć i przejednać. Dla niego jedność i zgoda z Rzymem, posłuszeństwo Stolicy apostolskiej, było pierwszym warunkiem zapewniającym przyszłość Polski.

Ci co z Czech przybywali do królowej, po pewnych znakach łatwo się kazali domyślać, iż do katolickiego obozu nie należeli.

Z rozmów z królową, jakkolwiek ostrożną, gdy one o religję potraçały, Grzegorz zdawna wyrozumiał, iż Sonka do kacerstwa wielkiej nie przywiązywała wagi, i gotową była podać mu rękę, byle ono synom jej zapewniło wpływ lub o władanie Czechami. Zdradzała się czasem z tą myślą, że tron czeski przystałby młodszemu Kazimierzowi.

Mistrz nie objawiał wcale swojego zdania w tych sprawach, słuchał i badał, lecz stał zupełnie na stronie. Nie okazywał też takiej zażartości przeciwko hussytom w ogóle, jak biskup Zbyszek, który na wspomnienie ich, burzył się, dowodząc, że z tego nasienia wyrośnie chwast, którego wieki wyplenić nie potrafią.

Szczęśliwym był Grzegorz, iż mógł nie mięszać się wcale w tę walkę, nad którą ubolewał.

Ten pozorny chłód jego i obojętność, a wypróbowana wiara, sprawiły, że królowa się nim chętnie posługiwała, gdzie trzeba było, niepytając coś spełnić i zachować tajemnicę.

Jednego jesiennego wieczora, gdy młody król już znużony przejazdka, poszedł na spoczynek, a Grzegorz zabierał się do pracy, i lampkę swą włoską zapalał, pacholik z komorników królowej przyszedł go wezwać do niej.

Godzina była trochę spóźniona, sprawa więc pilną być musiała.

Gdy mistrz zjawił się na progu komnaty królowej, znalazł ją siedzącą u stołu, i spieszenie kartę jakąś chowającą za suknię.

Słynna ta niegdyś piękność, była dotąd jeszcze niewiastą pełną majestatycznego wdzięku, oczy jej cały dawny blask zachowały, ale dziś była to nie owa uroczą Sonka, która wszystkich co się do niej zbliżali, czarowała, matka tylko i królowa...

Stroiła się zawsze i lubiła, aby jej okazywano cześć, a wrażenie jakie czyniła na ludziach, szmer podziwienia i zachwyty nie był jej obojętnym, ale teraz ta władza, jaką mogła mieć nad niemi służyła za narzędzie tylko do wyższych celów.

Gorączka jakaś trawiła ją, i nie dawała spoczynku...

Lękała się widocznie, ażeby biskup i syn nie usunęli jej od udziału i wpływu w rządach, nie chciała z rąk puścić tego, co raz pochwyciła...

Z biskupem potrzeba było postępować ostrożnie, z synem tak, aby się z pod władzy nie wyzwolił.

Ta nieustanna potrzeba bacności, ta obawa ciągła, nie dawały jej spoczynku.

W wewnętrznym zarządzie krajami Korony i Litwy, królowa zaledwie mogła oględnie bardzo dopilnować, aby nieprzyjaciele jej nie zdobyli stanowisk ważnych, zaledwie śmiała biskupowi podszeptać, lub przez jego przyjaciół poddać kogo życzyła, a kogo się obawiała.

Za to cała jej czynność i zabieglwość zwracała się ku stosunkom zewnętrznym... tu pragnęła okazać całą swą przebiegłość i umiejętność, tu na sercu jej leżało, dokazać cudów i zdumieć wszystkich.

Ni mniej ni więcej, szło o zawładanie Węgrami i Czechami, chociaż żył jeszcze cesarz Zygmunt i córka jego, której mąż był naturalnym spadkobiercą praw Luksemburczyka.

W Pradze i na Węgrzech zawiązywano stosunki, jednano przyjaciół, i cesarzowa Barbara rozgniewana na zięcia i córkę własną, z pomocą brata hr. Cilly i synowca, zdawała się nieobcą zuchwałym planom królowej Sonki.

Tajemnice tych knozań nie były jeszcze zdradzone. W tym roku właśnie ukoronowano Barbarę w Pradze, ale cesarz mąż jej zapadał na zdrowiu... Szemrano, że mu długiego życia obiecywać nie było można.

Cesarzowa już rachowała na to i potajemnie skupiała około siebie zwolenników.

Gdy Grzegorz z Sanoka wpadł, zwróciła się żywo królowa ku niemu.

— Potrzebuję was — rzekła. — Nie pytajcie mnie o cel podróży, spełnijcie tylko co wam polecę. Nieprawdaż, iż na wierność waszą rachować mogę? Jest tu Czech, który was przeprowadzi. Pojedźcie z nim do Pragi, nie wiem zresztą dokąd wypadnie. Oddacie listy hrabiemu Fryderykowi Cilly, bratu cesarzowej, niepotrzeba, aby was tam widziano i znano, jako mojego posła!

Królowa mówiła pospiesznie, żywo, jakby długo wprzód nagromadziwszy to, co miała powiedzieć, a mimowolnie teraz gorączkowo, starając się do razu całą myśl swą wyrzec, i wrażenie jej pochwyć. Wlepiała oczy w słuchającego z powagą i chłodem Grzegorza.

Ten milczał jeszcze, Sonka wstała z siedzenia i zbliżyła się ku niemu.

— Pojedźcie do Pragi, zdacie mi sprawę z tego, co tam będziecie widzieli i słyszeli. Być może, iż Cilly powoła was potajemnie do cesarzowej, że ona pytać będzie o mnie, o syna...

Tu zarumieniła się królowa, srom ją jakiś ogarnął. Nie chciała przyznać, co miała w myśli.

— Miłościwa pani, — rzekł Grzegorz — spełnię wiernie, co mi polecicie, lecz, że nie dość jestem świadomym kraju i ludzi, trzeba by się upewnić o przewodniku, abym ja za jego niezręczność nie odpowiadał, jeżeli w tem tajemnica jest potrzebna.

— Tajemnica! — przerwała gorąco królowa — tajemnica jest wszystkim! Nikt z otoczenia cesarskiego wiedzieć o was, ani się domyślać nie powinien.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — wydaje mi się to trudnem bardzo, gdyż cesarz, jak głoszą, chory jest, i cesarzowa Barbara przy nim być musi...

Sonka wzruszyła ramionami, oczy jej błysnęły.

— Cilly i cesarzowa — rzekła — stanowią jedno, Zygmunt drugie. Sprawa ta wcale cesarza nie tyczy, i on o niej wiedzieć nie ma.

Nie wchodźcie w to więcej, dowiecie się, gdy przyjdzie czas.

Mistrz skłonił głowę.

— Zastosuję się do woli miłości waszej — rzekł pokornie.

— Czech Biedrzyk, którego wam dają — dołożyła królowa — świadom jest tam wszystkiego, zręczny i przebiegły, możecie mu zaufać, bo wam przystęp do Cillego ułatwi.

Przeszła się, dłoń przykładając do gorącego czoła, i poczęła dalej.

— Jeżeliby cesarz zachorował niebezpieczniej, albo się gorszego czego spodziewać można, naówczas pospiesznie dacie mi znać...

To mówiąc, Sonka dobyła gotowy już zapieczętowany list, i wręczyła go Grzegorzowi. Ręka jej drżała.

— Nie omylcie się, — rzekła — list jest do Fryderyka Cilly, a dwu ich tam znajdziecie.

Jeżeli cesarzowa wezwie was do siebie, a pytać będzie o króla...

Tu głos jej zadrżał.

— Powiecie, że jest ślicznym młodzieńcem, że żadnego z rycerskich przymiotów mu nie braknie...

Grzegorz słuchał, i na myśl mu tylko przyszło, iż z którą pokrewną cesarzowej młodego Władysława swatać chciano.

— Miłościwa pani — odważył się wtrącić — łącno domyśleć się, iż widoki, dla przyszłości króla naszego kochanego swatać go każą, lecz lepiejby stokroć było tę myśl zawczesną małżeństwa oddalić, młody jest...

Sonka wstrząsnęła ramionami niecierpliwie.

— Królowie — rzekła żywo — rządzić się muszą innemi względami, i poświęcać dla nich... Gdy idzie o zdobycie panowania, co znaczy jakieś małżeństwo, wczesne czy późne, z starszą lub młodszą niewiastą?...

Grzegorz mimo całej powolności swej dla królowej, nie mógł stłumić w sobie żalu, jaki go ogarnął... kochał króla.

— Miłościwa pani — odparł — po cóż królowi starać się o rozleglejsze królestwo i większe troski? Nie masz on dosyć ziem i ludzi?

— Królowi żadnemu nigdy dosyć być nie powinno! — zawołała nakazująco i prawie gniewnie królowa.

Wzrok jej dopowiedział reszty...

Zamilkł Grzegorz z Sanoka, królowa przechadzać się zaczęła.

— Jutro rano przyjdzie zabrać was z sobą Biedrzyk — rzekła — ale niepotrzeba, ażeby was z sobą widziano, ani mówiono o tem z kim i dokąd jedziecie...

Wysłuchawszy urywanych przestróg i zaleceń królowej, Grzegorz nareszcie komnaty jej opuścił, zadumany i smutny. Wiedział już i przeczuwał, że jego ulubiony pan młody, zaledwie się rozwijający do życia, poświęcony zostanie jakimś rachubom politycznym. Trapiło go to, chociaż nie przypuszczał całej poczwarności planu, który knowano.

Zamiast zasiąść przy lampce do księgi, musiał myśleć o tem, jak się do tajemniczej przygotować podróży. Spokojnej izby i życia żał mu było...

Rozglądał się jeszcze dokoła, gdy do drzwi zapukano i nieznajomy zupełnie człowiek wsunął się z pokłonem, ciekawie wlepiając oczy w mistrza. Łatwo się było w nim domyśleć zapowiedzianego na dzień jutrzejszy Biedrzyka, i z cicha przedstawił się gospodarzowi, jako przez królowę przysłany.

Do tej roli jaką odegrywał, lepiej dobrać niebyło można człowieka. Ów Biedrzyk podobnym był tak do tysiąca innych ludzi, twarzą, postawą i dobraną do nich odzieżą, tak się wydawał pospolitym, nieznaczącym, tak trudno było w nim pochwycić jakieś znamię zdradzające, kim był i czem się zajmował, że Grzegorz chwilę stał zdumiony, nie mogąc nawet oznaczyć, jak się miał do niego odezwać, i z nim obchodzić.

Nie czekając zaproszenia, przybyły Czech naprzód zajął miejsce przy stole, na którym złożył czapkę i rękawice, potoczył dokoła oczyma, i głosem równie obojętnym, bez dźwięku, cicho zaczął mówić do Grzegorza.

— Królowa oddała wam listy? — jesteście więc w gotowości, ja dziś jeszcze wyniosę się do gospody, a jutro do dnia z ludźmi mojemu czekać na was będę za wrotami miasta... Przyszedłem tylko pokazać się wam, abyście mnie poznać mogli, a ja was...

Zadumał się trochę, wlepiając oczy w stół, przy którym siedział.

— Nie obojętna to rzecz, — dodał — jak się przysposobicie do podróży, dla ludzi, co na siebie oczów ściągać nie chcą, i suknia wiele znaczy...

— Duchowna przecie a skromna — odparł Grzegorz — nie zadziwi nikogo. Jest nas wszędzie klechów i *włoków* dosyć... Gdy podszarzaną włożę...

Biedrzyk głową pochylał.

— Jeżeli chcecie suknie wasze zatrzymać — rzekł — weźcie takie, aby nie oznaczały stanu, a wprawiły w wątpliwość. Najstarsze, najmniej okazałe, najlepsze będą.

Musimy się przesuwac niepostrzeżeni.

Napomknawszy jeszcze o potrzebnych do podróży przyborach, o skrętnem przechowaniu listów, aby na wszelki wypadek, łatwo znalezionemi być nie mogły, Biedrzyk pokłonił się i zniknął.

Krótką z nim rozmowa, i to co słyszał od królowej, wprawiły Grzegorza w niemłą troskę, widział teraz, że poselstwo jego było niebezpiecznem i trudnem, a sama tajemnica, którą się otaczało, była mu wstrętliwą.

Cieszył się tem tylko, że niewtajemniczony, sumieniem swem nie odpowiadał za czynności, których był posłusznym narzędziem.

Do dnia otwarto bramę wyjeżdżającemu z zamku, i oprócz stróżów, nikt go nie widział. O mroku przebył puste ulice i w miejscu oznaczonem zastał już Biedrzyka, w kilka koni oczekującego za miastem. Orszak składał się z tak dobranych ludzi, że w nich panna od sług rozpoznać było trudno. Niemożna też było oznaczyć kupcy, mieszczenie, czy ubogie rycerstwo jechało, a suknie tak miały krój i barwę nieoznaczoną i startą wszelką cechą miejscową, że po nich narodowości się domyśleć nikt nie mógł.

Z drogami Biedrzyk i jego ludzie byli tak dobrze obeznani, że nie trzymając się głównego gościńca, bocznymi szlaki jechali, nie rozpytujac nikogo... Czech niewiele mówił.

Drugiego dnia wszakże, jakby lepiej oswoiwszy się z Grzegorzem, i mniej go obawiając, Czech otwartym być począł.

Utyskiwał on nad wojnami, które kraje niszczyły, z przyczyny wiary, wzdychając do tego, aby pod lepszym panowaniem pokój powrócił. Z kilku słów domyśleć się było można

człowieka, który z hussytami trzymał. Grzegorz nie chciał się z nim w żadną wdawać dysputę, odpowiadał ogólnikami.

— Wy Polacy z nami Czechami powinniście się połączyć i podać nam ręce — mówił Biedrzyk — nie obcy jesteśmy sobie, boć język tego dowodzi... Królowie nas rozłączyli, król jeden powinien złączyć. Z Niemcami my nigdy nie przyjdziemy do ładu... Wszystkim się o to starać potrzeba... Jest nas dosyć, aby się ostać i obronić...

Nie przeczył Grzegorz, ale przypomniał, że Zygmunta w Pradze przyjęli, uznali, ukoronowali jego i żonę, więc sami mu się w ręce oddali.

— Oho! — przerwał Biedrzyk — niewszyscy! Zresztą cesarz Zygmunt niedługo-wieczny, a cesarzowa...

Tu uśmiechając się, spojrział z porozumieniem na Grzegorza, który odparł.

— Córkę ma, która pewnie z mężem weźmie po ojcu spuściznę.

Okiem pomrugując, Czech się uśmiechnął i nie mówił więcej.

Zbliżając się do Pragi, Biedrzyk na noclegu zatrzymał, wysłał przodem człowieka, który powrócił nad ranem. Grzegorz spał jeszcze, gdy Czech przyszedł go budzić.

— Wstawajcie — rzekł — trochę będziemy musieli z drogi się zbić, mam wiadomość o cesarzowej.

Jedzie ona wezwana do chorego męża do Pragi, Zygmunt źle jest bardzo, ogień piekielny wdał mu się w ciało. Palce u nogi już mu odciąć musiano, ale to nie pomoże, kto raz dostał spalenizny tej, nie wyjdzie z niej i umierać musi.

Z mowy Biedrzyka widać było, że wcale Zygmunta nie żałował, i że przeciwnie wiadomość o ogniu prawie go uradowała.

— Cesarzowa spieszy do Pragi, i dziś tam ma przybyć. Nam się trzeba tak zwrócić, aby jej zabiedz drogę i poselstwo sprawić, nim dojedzie do męża — mówił Biedrzyk. — Łatwiej też nam będzie niepostrzeżonym w jej orszaku, który liczny być musi, wśliznąć się do Pragi.

Natychmiast ruszyło się wszystko z noclegu, a Grzegorz też rad był, że mu się łatwiej składało spełnienie polecenia królowej.

Posępny dzień jesienny, smutny a mglisty, z początku, dżdżysty potem nie wstrzymał ich w pospiesznej jeździe po manowcach, i przed wieczorem jeszcze napędzili cesarzową Barbarę.

Jechała ona otoczona wielkim i okazałym dworem Węgrów i Czechów, a poczty brata jej hrabiego Cilly i synowca dodawały świetności orszakowi.

Sama prawie młodzież urodziwa, strojna, butna, wesoła, otaczała kolebkę i składała dwór prawdziwie cesarskim odznaczający się przepychem. Wszyscy aż do kapelanów i kanclerza cesarzowej Barbary byli w wieku kwitnącym, bo niemłoda już pani wcale nie tała swych upodobań i fantazji, dwór dobierając z ulubieńców.

Pospiech do chorego małżonka i cel podróży niewesoły, wcale się nie zdawały wpływać na humor pańskiego dworu, który jechał ze śmiechami, okrzykami, harcując swobodnie i zbytnią niechamowany karnością.

Biedrzyk, który zdawał się tu znać wszystkich i być poufałym, posunął się przodem, dostał aż do kolebki złocistej, w której cesarzowa dla deszczu się schroniła, i wśród gościńca, w gołym polu cały pochód się zatrzymał.

Po krótkiej oczekiwania chwili, Czech przybiegł do Grzegorza z Sanoka, i tak jak stał kazał mu iść z listem do cesarzowej, która na niego już oczekiwała. Widać było nawet zdala, jak rozsunała skórzane zasłony kolebki i wyglądała oznajmionego jej posła...

Wszystkich oczy zwrócone na niego były. Zsiadł z konia Grzegorz i przybliżył się do powozu... Tuż przy nim stali we zbrojach, na koniach rycerstwo, dumnie po pańsku spoglądający dwaj hrabiowie Cilly, brat i synowiec Barbary. Nie miał czasu się im przypatrywać, ani ich pozdrawiać mistrz, bo wyciągnięta ręka już na list, który podać miał, oczekiwała.

Twarz cesarzowej, która powinna była obudzić poszanowanie, wejrzenie jej zuchwałe i wyzywające, odrazę jakąś i obawę sprawiły przystępującemu do kolebki Grzegorzowi. Lica stare, zwiędłe, z podbitymi oczyma, pofałdowane marszczkami, całe umalowane i ubielone, miało wyraz tak cyniczny i bezwstydnym, tak gminny i nieszlachetny, że poseł zawahał się chwilę, z uznaniem w niej tej pani, której dostojeństwo inaczej wyobrażał sobie.

Życie, charakter, obyczaj piętnowały się tak wyraziście na obliczu, jak gdyby nie chciała sobie nawet zadawać pracy, aby się wydać inną. Głosem krzykliwym, z jakimś śmiechem niezdrowym, odezwała się kilka słów niezrozumiałych, mierząc oczyma postać mężką Grzegorza...

Smutku i niepokoju z powodu niebezpiecznej choroby męża wcale na niej widać nie było, zdawała się tylko niecierpliwą i podrażnioną.

List przywieziony wziął z rozkazu jej starszy hrabia Cilly, a Grzegorzowi polecono jechać razem z orszakiem do Pragi...

Wszystko odbyło się pospiesznie, wśród wrzawy i Grzegorz ledwie się opamiętał, gdy mu Biedrzyk konia podać rozkazał, a sam wiodąc go z sobą, miejsce w orszaku nazначzył. Było ono dosyć oddalone od kolebki cesarzowej i przedniejszego dworu, tak że on i Czech, prawie w końcu długiego sznura wyciągniętego na gościńcu, pośród pośledniej czeladzi jechać musieli, ale tu tak utonęli i wmięszali się w tłum, jak gdyby do niego należeli.

Spoglądano z ukosa na przybyszów, lecz wkrótce dawna wesołość wróciła i Grzegorz znalazł się wśród gawiedzi rozpasanej, z którą nie miał ochoty ani znajomości zabierać ni rozmowy poczynać...

Szybko ze dworem cesarzowej posuwali się ku Pradze, której mury i wieże za zasłoną szarą deszczu, wkrótce się ukazały. Biedrzyk podszepnął towarzyszowi, iż gdy raz do miasta i na gród się dostaną, on mu w pobliżu pomieszczenie opatrzy...

Zdawało się, iż w Pradze już na cesarzowej przybycie oczekiwano i spodziewano go się dnia tego, gdyż znaczny poczet rycerski wyjechał na jej spotkanie. Na czele jego, jak Biedrzyk objaśnił, wysłany był Węgier, ulubieniec cesarski Michał Orszag. Widok jego nie zdawał się wielkiej sprawić przyjemności hrabiom Cilly, którzy go sztywno i dumnie przywitali.

Kazała go do siebie powołać cesarzowa, aby o zdrowie małżonka zapytać. Odpowiedź rozeszła się zaraz z ust do ust podawana. Mówiono, że Zygmunt był bardzo źle i że lekarze najmniejszej życia nie czynili nadziei. Wiadomość ta na cesarzowej nie zrobiła żadnego wrażenia, skrzywiła tylko usta i rzuciła ręką.

Orszag dodał, że Zygmunt wezwał do siebie córkę i zięcia.

Usłyszawszy to cesarzowa nagle zapuściła zasłonę kolebki i dano rozkaz do dalszej podróży. U obu Cillych, liczniejszy niż było potrzeba dla uczczenia przybywającej cesarzowej, poczet wojskowy, który otoczył kolebkę i jezdnych, jakby ich chciał pilnować i zaprzec im drogę, wywołał niepokój pewien. Zaczęli coś szeptać z sobą, lecz jechali dalej, większą jeszcze okazując butę.

W bramach miasta zwykłym obyczajem, mieszczaństwo witało cesarzową, która się śmiejąc i dziękując ze zbytnią grzecznością i uprzejmością wychyliła ku nim...

Na Biedrzyku wojskowy oddział w początku zrobił wrażenie nieprzyjemne, zbladł trochę i począł się oglądać niespokojnie, ale przyjęcie w bramach miasta, rozproszyło tę troskę...

Grzegorz, czując się już spokojniejszym, bo całe swe posłannictwo spełnił, mógł się swobodnie rozpatrywać po mieście i ludziach. Świeże Włoch wspomnienie, pięknie zamurowaną Pragę mniej może wspaniałą w oczach jego czyniło, ale pobyt cesarski, który ją napelniał rycerstwem i mnóstwem pocztów możnych panów i magnatów, dodawał blasku miastu, które na przyjęcie Zygmunta się przystroili odświętnie.

Wśród tych tłumów widać było niezwykle ruch, zajęcie wielkie, niepokój i krzątanie, którą przybycie cesarzowej zwiększyło jeszcze...

W ulicach przejazd był trudny; konni, piesi, wozy, jedni przeciągali, drudzy szukali pomieszczenia...

Z orszaku cesarzowej wylatywały pytania ciągle o cesarza, na które jednostajnie odpowiadano groźnymi wykrzykami i niemniej znaczącymi ruchy.

W ścisłości tym, wśród ogólnego zajęcia chorym Luksemburczykiem i przybywającą żoną jego, Grzegorz z Sanoka zginawszy wśród natłoku, niewidziany, niespostrzeżony, mógł się przypatrzeć i przysłuchiwać wszystkiemu co się działo wkoło niego. Mimowolnie przyszło mu na myśl, że przybył tu może, aby być świadkiem końca tego człowieka, który wplótł się tak smutnymi wspomnieniami w dzieje Polski.

Czoło to, na którym teraz spoczywała cesarska korona, niegdyś miała uwieńczyć Bolesławowska. Zygmunt nigdy nie zapomniał o tem i mścił się za pierwszy w życiu doznany zawód do końca.

Przyjaciół pozorny, a wróg nieprzejednany utrzymywał nieustanny niepokój w kraju, który rozszarpać pragnął i osłabić... Posługiwał się Polakami, nie spuszczał z oka żadnej zręczności wmięszania się w polskie sprawy, podżegania nieprzyjaciół, wyzyskiwania wszystkich słabości, omyłek i zrządeń losu...

Nie zwyciężył wprawdzie i nie przywiódł Polski do tego stanu bezsilności, jaki wchodził w jego rachuby, ale ciężko dał się we znaki tym, co go niegdyś wywiedli do granic, prosząc aby więcej nie powracał...

Życie jego pełne zmian i gorączkowych porywów, wysiłków, przebiegłości, zamachów, zamykało się wprawdzie z blaskiem najwyższego dostojeństwa, ale z luną pożarów, które na grobie zapłonąć miały... Córka i poslušny zięć, mieli wziąć po nim w spadku tę szatę Nessusa...

Grzegorz dumiał nad niestałością rzeczy ludzkich, słuchając objających się o uszy jego najsprzecznějších wykrzyków.

Jedni ubolewali nad Zygmuntem, drudzy sztydzili z niego i cesarzowej. Dostawało się i przeciągającemu jej dworowi po drodze, witanemu grubijańskim wołaniem...

Biedrzyk zajął się swym gościem i razem z nim pomieścił się pod samym grodem, w którym cesarz leżał chory.

Zaledwie kąś znaleźć tu mogli i jakiegokolwiek pożywienie. Mieszczanie, dwór, co żyło poruszone było wiadomościami z zamku przynoszonemi...

Piekielny ogień, jak go naówczas zwano, zgorzelizna (*sacer ignis*) żarła za żywota ciało Zygmunta i od nóg posuwając się w górę, groziła mu śmiercią co godzina... Chwile były policzone.

Nie oglądano się tak dalece na Grzegorza, który z Biedrzykiem tu przybywszy, uważanym był za wtajemniczonego w to co się tu działo.

W drugiej izbie, obok której drzwi stały otworem, zbiegali się mieszczanie, dworzanie i rycerstwo z orszaku Barbary. Chcąc nie chcąc Grzegorz rozmów ich słuchać musiał, z których nauczył się wiele, bo dotąd nie wiedział w jakie wpadł gniazdo osie...

Zjawilo się naprzód kilku dworzan.

— Nabraliśmy się strachu — wołał jeden — gdy nas na gościńcu Orszag otoczył... Hrabiowie i cesarzowa i wszyscyśmy już sądzili, że zwąchali co się gotuje i wszystkich nas tam, z Barbarą razem uwiężą. Ale nie! Postrach był próżny! Zygmunt ją tak przywitał, że chyba niczego się nie domyśla... a choć Albrecht zięć i córka niebardzo są czuli, trudno po nich wymagać tego, gdy wiedzą, że oni tu panować nie będą.

— Cesarz gdyby chciał — począł drugi — nie wazyłby się tu w Pradze nic uczynić żonie, bo wie i on i jego zausznik Szlik, że znaczniejsza część miasta za niąby się ujęła i byłaby rzeź na ulicach a może i na grodzie!!

— Ja go tam ani bronie, ani miłuję — przerwał trzeci — a co prawda to prawda. Życ nie umiał, umierać umie. Ciało mu już kawałami pada, a tak siedzi spokojny na twarzy i na umyśle, jakby na ucztę czekał... i stroić się każe... aby ludzie nie wiedzieli, że na poły zgnił...

— Ja go też nie kochałem — odparł inny — zły człowiek był i król nam niedobry, przez którego krwi dużo poszło wylanej na wszelką rozpustę i zbytki, ale pychą umiał nadrabiać zawsze i o cesarskiej swej godności nie zapominał nigdy. Wszyscy wiedzą, jak z papieżem rozmawiał...

— A no? — spytał inny, czemu Grzegorz z Sanoka, gdyż o rozmowie tej nie słyszał nigdy, rad był bardzo.

— Toż wprost Eugeniuszowi rzekł: my Ojcie święty, we trzech rzeczach się różnimy, ale we trzech też jesteśmy do siebie podobni. Wasza świątobliwość spisz rano, a ja wstaję przededniem; pijesz wodę, ja wino; niewiast unikasz, ja się za niemi upędzam, ale za to w innych rzeczach równość między nami. Wasza świątobliwość hojnie szafujesz skarbami kościoła, a ja też sobie nie żaluję; Wasza świątobliwość masz ręce chore a ja nogi, naostatek Wy niszczyacie kościół, a ja cesarstwo!!

Wpadł ktoś świeży. Posypały się pytania.

— Cóż cesarz? Co cesarzowa??

— Przyjmuje żonę tak, jakby nic przeciw niemu nie zawiniła. Chyba o niczem nie wie i nie domyśla się, ale uchowaj Boże na nią posądzenia i przeciw niej jakiego zamachu!! Nie damy krzywdy babie uczynić...

Nieustannie tak w sąsiedniej komorze wrzało i gotowało się.

Niektórzy opisywali, jak chory Zygmunt w szatach paradnych, z wieńcem na głowie, sykając z bólu, usiłował prowadzić rozmowę z Barbarą, z córką, z kanclerzem swym ulubionym Szlikiem i przygotowanym duchowieństwem.

Z rozmów widać było, że dwór i przyjaciele Barbary, obawiający się jakiegoś na nią zamachu, zupełnie zostali uspokojeni. Biedrzyk też z wycieczki powrócił do Grzegorza, zapowiadając mu, że jak skoro cesarzowa wolną będzie, pozwie go dla rozpytania się o polskim dworze.

Zdawało się że tej nocy na grodzie albo cale nie spano, lub ci tylko poszli na spoczynek, którzy żadnymi wypadkami niepokoić się potrzeby nie mieli.

Mistrz nasz miał wprawdzie wskazaną sobie szeroką ławą w kącie, na której mógł się położyć, lecz wyciągnąwszy się na niej, oka zmrużyć nie mógł, bo światła nie gaszono, a Biedrzyk i inni przez całą noc wchodzili i wychodzili, naradzali się, szeptali.

Pomimo zapewnień, że cesarzowa i jej brat niczego się obawiać nie potrzebują, w nocy młodszy hr. Cyllii przyszedł do sąsiedniej komnaty (poznał go przy świetle kaganka mistrz Grzegorz) i kazał swoim ludziom zalecić, aby w gotowości byli, gdyby nagle odjechać przyszło. Dokąd, o tem nie mówił...

Chociaż z tego wszystkiego co słyszał, pewne już wyobrażenie o położeniu powziąć mógł Grzegorz, i wyjaśniało mu się ono, spełna jednak nie pojmował jaki związek mógł zachodzić między sprawą cesarzowej Barbary a królowej Sonki i jej syna.

Następny dzień, był to 10 listopada, nie zmieniło się nic, tylko poruszenie wczoraj żywe i jawne, stało się mniej wyraźnem, starano się więcej pokryć niepokój i strzedz z nim okazać. Ale ta sama bieganina, przygotowania, narady pokątne, ciągle się odbywały. Biedrzyk wychodził niespokojny i powracał naprzemiany zafrasowany lub uspokojony.

Grzegorz z Sanoka, czując się wpośród tych ludzi obcym i jakby zapomnianym, a nie mając spoczynku, bo się odosobnić nie mógł, w końcu pod wieczór powracającemu Biedrzykowi wprost powiedział, że chce mieć odprawę i nie widzi potrzeby zatrzymywać się tu dłużej, tembardziej, że zapowiadający się zgon cesarza wymaga, aby o nim w Krakowie zawczasu wiedziano.

Czech się po głowie poskrobał.

— Nie możecie tak odjechać z niczem — rzekł. — Cesarzowej teraz widzieć, ani z nią mówić niepodobna, czekać musicie spokojniejszej chwili... Zygmunt nie wiadomo dla jakiego dziwactwa umierać tu nie chce i jutro rano poniosą go do Znaima, a my z nim z cesarżową razem iść w ślad musimy. Miejcież cierpliwość i dotrzymajcie do końca.

Biedrzyk dodał wreszcie, iż nie mógł odprawić go, nie zwracając uwagi, a unikać było potrzeba wszystkiego, co na cesarżowę podejrzenia jakie ściągnąć mogło...

— Jakie podejrzenia? o co? — zapytał mistrz.

Czech spojrział nań, podumał, ale nic nie odpowiedział.

Z południa gdy na ławie spokojnie siadłszy dumał Grzegorz nie rad z tego, co mu się tu przygodziło, do komory sąsiedniej wpadło nagle kilku ludzi ze starszym hrabią Cilly. Jak wczoraj tak i teraz wcale na niego nie zważano, bo dom ten miano za oddany sobie i pewny.

Fryderyk hr. Cilly bardzo gwałtownie począł wyrzekać i dowodzić, że cesarz ma względem żony i jej rodziny złe zamiary, że łatwo to z oczów Albrechtowi i kanclerzowi Szlikowi wyczytać że dla tego tylko chce nazajutrz z Pragi się oddalić, bo wie i domyśla się, że tu cesarzowa Barbara i oni mają przyjaciół, którzyby im nic uczynić nie dali.

— Róbcie wy co chcecie — dodał hrabia Fryderyk — a ja jutro z drogi z Ulrykiem ujdę... bo głowy nie mam na zbyciu.

Drudzy zakrzyczeli iż obawa była próżną, ale hrabia sobie tego nie dał wmówić.

— Jeżeli wasza miłość ujdziecie, tem właśnie na cesarżową panią ściągniecie podejrzenie...

— Ślepi ludzie! — wołał hr. Cilly — co tu mówić o podejrzeniu, kiedy Szlik, ten wąż co się wśliźnie wszędzie i Bruno (della Scala) Włoch przebiegły na pewno o wszystkim wiedzą. Nie darmo ciągle coś cesarżowi do ucha przynoszą.

Ja też w oczach najjaśniejszego szwagra nauczyłem się czytać!

Tyle tylko słyszał Grzegorz rozmowy, która nagle urwaną została.

Wieczorem co żyło czyniło przygotowania do podróży. Znowu więc o śnie i spoczynku mowy nie było. Rozkaz wydany został, aby o samym świcie wszystko było w gotowości.

Dla cesarza przygotowano nosze, na których w krześle purpurą okrytem nieść go mieli tragarze poodziewani w suknie paradne szyte w herby cesarskie...

Cesarzowa w kolebce zaraz za nim jechać miała, w towarzystwie brata i synowca. Do jej dworu Biedrzyk z Grzegorzem z Sanoka miał się przyłączyć.

X

Dzień się zaledwie robić zaczynał, gdy tłumy niezliczone zalegały już ulice Pragi, które mi cesarz miał ciągnąć. Na zamku poczty zbrojne, wozy, czeladź, kolebki, komornicy, urzędnicy, już tylko oczekiwali na to, aby Zygmunta wyniesiono...

Cesarzowa Barbara siedziała w otwartej kolebce, po obu jej bokach mając brata i synowca w pysznych zbrojach i płaszczach gronostajami podbitych. Niemniej wspaniały od cesarskiego dwór skupiał się poza powozem pani.

Nosze, na którym stanąć miało siedzenie cesarskie, na ziemi ustawione oczekiwało. Szczęściu ludzi, mających się zmieniać co mila, ubranych w kapy, szyte herbami, w tokach z piórami na głowie, czekali na Zygmunta... Tuż halebardnicy z pozłaczanymi w rękach halebardami, ubranymi w sznury purpurowe, gotowi byli otoczyć ten tron przenośny, obok którego konno jechać mieli kanclerz Szlik, Bruno della Scala, Michał Orszag i Matik ban sławoński, wszyscy Zygmunтови ulubieńcy. Tuż także towarzyszyć miał cesarzowi Albrecht, a za cesarżową jechała sama córka jej Elżka.

Pomiędzy nią a matką, widocznym było więcej niż oziębienie. Nie mówiły prawie z sobą, a cesarżowa do kolebki wzięła jedną z pań swoich, aby nie zaprosić do niej córki. Wszystkich biło to w oczy. Obaj hrabiowie Cilly, na koniach już siedzący, twarze mieli zasepione, oglądali się i jechali jakby zmuszeni.

Cesarżowa wychylała się z kolebki, otaczającym mnogim, znanym sobie z rycerstwa i mieszczan dając znaki głową i rękami. Uśmiechano się też do niej...

Dwory dwa, choć połączone w całość jedną, widać było, że się rozłamywały jakby na dwa obozy. Towarzyszący Barbarze, z ukosa spoglądali na cesarskich, Zygmunтови na Cilijskich...

Po długim oczekiwaniu, dzień się już robił, gdy ze sklepionej bramy, na ramionach czterech pacholków, którzy w górę podniesione krzesło złożone dźwigali, ukazał się Zygmunt cesarz... Siedział majestatycznie, tak jak wizerunek jego na wielkiej państwa pieczęci...

Odziany szatami uroczystymi, w sukni ze złotogłowu, w płaszczu szkarłatnym krojem dalmatyki, na piersiach spiętym wielką kłamrą kamieniami sadzoną, z łańcuchem na szyi...

Błada jego, żółkła, wychudzona twarz, z długą brodą, rozwianą na piersi, o czole szerokim i oczach zapadłych, ale jeszcze patrzących dumą i jakąś ironią życia a pogardą śmierci, pokryta była lekką koroną złotą, około której świeży, zielony obwijał się wieniec laurowy...

Bładych, kościstych rąk dwie, okrytych szytymi złotem rękawicami, spoczywały na krzesła poręczy... Nogi przysłaniały opony futrem podbite, z karmazynowego aksamitu...

Tak Zygmunt ostatni raz chciał się pokazać swoim Prażanom, w całym majestacie, którego śmierć nadchodząca pozbawić go nie mogła...

Jechał zwyciężcą, w laurze i w istocie zdawał się urągać nawet wyrokowi Bożemu, który go powolną karą śmiercią.

Ludzie w początku patrzeli osłupieni na to zjawisko, jakby z grobu wyszłe i do grobu idące, chwila litości i podziwu oniemiła tłum... Wtem uderzono we dzwony.

Tron cesarski stawał na noszach, tragarze brali go na ramiona i podnosili wysoko. Zygmunt nie drgnął, żaden fałd jego twarzy nie zdradził bólu, którego doznawał, patrzył z tej wysokości na lud, na pokłony, na blask, który go otaczał, oczy zwrócił ku kolebce żony, potem na Szlika, i dano znak do pochodu.

Ruszyło wszystko, zadrgały tłumy. On i lud ten wiedział, że jechał do grobu, ale na twarzy pańskiej nie widać było ani żalu, ani smutku, tylko ironiczną powagę i dumę...

Około zamku zebrane gromady ciekawych, zachowały się spokojnie, nie dały oznaki ani bóleści, ani urągowiska, ale w ulicach Pragi, zbita ciżba na wstępie w nie, powitała okrzykami.

Ucho najmniej czułe, mogło w nich wyraźnie rozeznaczyć wołanie.

— Wracaj uzdrowiony! Sława tobie!

I krzyki.

— Jedź, jedź! bodajbyś był nigdy tu nie przybywał i nigdy nie wracał... Jedź na stracenie!!

W niektórych miejscach przekleństwa i urągowiska stały się tak dobitnymi, że haberdarnicy zmuszeni byli ostrza przeciw gminu nastawić i grozić rozpędzaniem.

Nic to nie pomogło, bo gawiedź rozproszona, wracała tłumnie z nowym wrzaskiem, hałaśliwszym jeszcze.

Przez cały ten czas, gdy placami i ulicami ciągniono, aż do wrót miejskich, krzyki nie ustawały. Zygmunt, którego uszów dochodzić musiały, nie odwrócił głowy, nie dał najmniejszego znaku zniechęcenia i gniewu. Kanclerz tylko Szlik podnosił ręką ściśniętą w żelaznej rękawicy, a oczy jego i Orszaga pioruny ciskały. W orszaku cesarzowej, którą witano mnogimi: żywie i sława!! hrabiowie Cilly bledli, twarze się okrywały wyrazem trwogi, a sama pani z poza zasłon ręką dawała znaki dziękczynne...

Wszyscy odetchnęli dopiero, gdy za wroty miejskimi krzyki ustały i tłum się przeczłupiał a potem zniknął. Orszak jechał dalej w milczeniu, cesarz tylko przywołał swojego Szlika i coś mu szepnął, na co on głową skinął posłuszną.

Świadek tej sceny, która na kartach dziejów zapisaną być miała, Grzegorz z Sanoka, jechał wśród dworzan cesarzowej niepostrzeżony, razem z Biedrzykiem, rozmyślając i dziwując się. Los go niósł dalej, mimo woli, a wszystko zwiastowało, że chwila rozwiązania zagadek, które się cisnęły jego oczom i umysłowi postrzegawczemu, zbliżyć się musiała...

Niepodobna już było orszaku cesarzowej opuścić, lecz że na gościńcu dalszym szeregi ściśnięte musiały się rozluźnić, mistrz Grzegorz wyzwolił się nieco z niemilego sąsiedztwa komorników nieznanomych i dziwnie się mu przyglądających, pozostając na boku z Biedrzykiem.

Czech był podrażniony tak, że ciągle milczący dosyć i niewywnętrzający się, począł się z natrętnymi myślami i niepokojem zdradzać.

— Zaprawdę — odezwał się do towarzysza po cichu — teraz i ja niemal trzymam z hrabią Fryderykiem, że i im i cesarzowej grozi niebezpieczeństwo... Nie darmo cesarz chciał opuścić Pragę! nie darmo!! Czuł, że w niej nie było mu bezpiecznie... Słyszeliście te krzyki! Głupi lud... Chcąc okazać miłość swą dla pani naszej wyrządził jej krzywdę, kto wie jakie mogącą mieć skutki!

Cesarz nie daruje swej obrazy...

Wołali jej: żywie i sława, a jemu: pohybel i przekleństwo...

Patrzałem zboku na oblicze jego... było jak maska nieporuszone, kamienne, ale oczy piorunowały. Biada nam! biada nam!

Grzegorz z Sanoka bojaźliwym nie był, lecz słowa te zatrwożyły go o skutek poselstwa. Wiedział, że bezwątpeńcia pomyślny skutek jego zależał od powodzenia cesarzowej i jej obozu.

— Cóż cesarzowej zagrażać może? — zapytał Biedrzyka.

Czech podniósł oczy w górę.

— Nie wiem, odgadnąć trudno, lecz lękam się wielce... W Pradze ona miała obrońców, tu ich już mieć nie będzie. Spójrzcie na orszak Zygmunta i kupkę naszą...

Podróż w jakimś złowrogiem milczeniu ciągnęła się dalej do Znaima.

Tu nadbiegł Biedrzyk do chaty, w której z Grzegorzem stanęli, oznajmując mu napróżd, że cesarz dalej już żywym niesiony być nie może, lekarze oświadczyli, że godzina śmierci się zbliżała...

Zaledwie miał czas szepnąć o tem Grzegorzowi gdy wpadł zbladły, z załamanymi rękami komornik cesarzowej. Z twarzy jego Biedrzyk wniósł, że Zygmunt chyba skonał musiał, lecz chłopak krzyknął.

— Cesarzową naszą pod strażą zaprowadzono do zamkowej wieży, do więzienia...

Popłoch się stał niezmierny, Biedrzyk jak szalony wybiegł.

Grzegorzowi, gdyby się ta dziwna wiadomość sprawdziła, nie pozostawało nic, jak myśleć o własnym bezpieczeństwie i uchodzić.

Jawnem było, że projekta uwięzionej pani, musiały wprost być woli umierającego przeciwnemi. Mistrz Grzegorz miał do niej listy, była w stosunkach z królową Sonką, pismo przywiezione znaleźć się mogło i jemu więc zagrażało więzienie...

W pierwszej chwili nie wiedział jeszcze, czy oczekiwać na Biedrzyka, czy radzić o własnej sile, lecz chciał doczekać potwierdzenia wiadomości, która mu się jeszcze nieprawdopodobną zdawała...

Los cesarzowej mogli podzielać jej dworzcy i wszyscy co byli w jej orszaku, zdawało się więc Grzegorzowi najbezpieczniejsem trochę się od niego usunąć i w tłumie, który napępiał miasteczko, szukać mniej podejrzanego schronienia.

Nikt nie zważał na niego. Biedrzyk nie powracał, mógł więc konia swego wyprzedzwszy i ciągnąc go za sobą, ująć ku rynkowi i stanąć na boku, jako nienależący do żadnego dworu podróźny...

Uczynił też to natychmiast tak szczęśliwie, że niczyich na siebie oczu nie ściągnął.

W rynku nie podpadało już wątpliwości, że coś niespodzianego i niepokojącego zająć musiało. Część poczty cesarskiego siadała na koń i w pogoń się puszczała...

Ludzie stojący pod domami opowiadali sobie, że wprzód nim cesarzową uwięziono, obaj hrabiowie Cilly, przeczuwający niebezpieczeństwo, jakie im groziło, w czasie podróży zamienili zbroje i ubiory ze swemi dworzanami, a sami wdziawszy ładajakie szaty umknęli...

Za niemi właśnie pogoń wysłaną była.

Śluchał jeszcze tego opowiadania, gdy mężczyzna w sukience księżej, niemłody już, o kijku idący, zobaczywszy jego sutannę i poznawszy w nim duchownego, zbliżył się doń i pozdrowił po łacinie...

Na pierwszy rzut oka poznał w nim katolika Grzegorz, który już w drodze nauczył się rozróżniać hussyckich od prawych księży. Rad był wielce spotkaniu.

— A wyście zkąd? — zapytał stary zawiedły księżyna.

Grzegorz musiał skłamać ratując się a przynajmniej nie całą mu prawdę wyjawić.

— Podróżnym jestem — rzekł — i dziwny traf mnie tu rzucił w taką godzinę zamieszania jakiegoś, którego nie rozumiem, bom obcy...

— Zaprawdę! zaprawdę! — westchnął ksiądz — nawet my cośmy tu w Czechach od lat wielu do krwawych przygód i osobliwych wypadków nawykli, zdumiewamy się temu, co się tu u nas dziś stało... Cesarz żonę własną więzić każe... Brat i synowiec jej zbiegają...

Poruszył ramionami...

— Lecz jakąż przyczyna tej srogości cesarza względem własnej małżonki? — zapytał Grzegorz...

— Dziwy prawia! — począł ksiądz — właśnie od zamku idę. Tam głośno dowodzą, że Barbara zdradę knuła, rachując na śmierć męża, przeciwko własnej córce...

Miała jakoby zmwowę z królową polską, za której syna wydać się postanowiła i z nim nad Czechami i Węgry panować!!

Grzegorz usłyszawszy to nie mógł powstrzymać okrzyku oburzenia.

— Ojcie mój! — zawołał — potwarz to być musi. Cesarzowa babką-by młodego króla polskiego być mogła...

Liczy on lat zaledwie czternaście, gdy ona bodaj przeszło pół wieku! Potworne małżeństwo takie...

Ksiądz nie dał mu dokończyć.

— I takie potworne dla żądy panowania się składają małżeństwa — odparł. — Ale Bóg sam nie dopuścił, aby się to dokonało!

Grzegorz stał struchlały, zmieszany, upokorzony, pytając się w duszy, czy mogło to być, aby on za narzędzie do takiego knowania miał być użytym. Nie chciał wierzyć słowom księdza i wzdrygał się.

— Ojcie mój — rzekł po namyśle. — Nieprzyjaciele cesarzowej mogli na nią rzucić potwarz, wierzyć temu trudno. Matka spiskująca przeciwko własnej córce, kobieta w jej wieku chcąca się wydać za wyrostka, który dzieckiem jest jeszcze prawie!!

Ksiądz popatrzył na mówiącego ze smutnym na twarzy wyrazem.

— Cóż — rzekł cicho — co się na świecie nie dzieje dla zaspokojenia namiętności ludzi zepsutych!! Są niewiasty święte i anielskie, ale gdy złe są przechodzą w złość męczyzną, w zuchwalstwie i bezwstydzie szatana...

Grzegorz zamilkł. Nawykły do szanowania królowej swej, której służył, nie chciał jeszcze przypuścić, aby ona do tak poczwarnych planów miała rękę podawać i własnego syna im poświęcić. Lecz poselstwo jego potajemne i to co się cesarzowej Barbarze przygodziło, zmuszało w smutną tę rzeczywistość uwierzyć.

Ksiądz miejscowy, który miał tu znajomych wielu, dopytywał na wszystkie strony i zewsząd mu toż samo powtarzano, że istotnie cesarżowę Barbarę z rozkazu męża w wieżę zamknięto, kilka sług zaledwie zostawując przy niej. Ze znaczniejszych osób, mianowicie Czechów, którzy jej towarzyszyli, kilku też czy kilkunastu uwięzionych być miało. Grzegorz domyślał się, że ten los mógł i czynnego spotkać Biedrzyka. Nie było więc na co oczekiwać i ratować się musiał sam, myśląc o sobie.

Ksiądz, z którym rozmawiał, widząc na nim suknię duchowną, a z zawiązanej rozmowy przekonawszy się, iż katolikiem był, jako podróżnego zaprosił go do siebie, ofiarując mu gospodę.

Grzegorz nie przyznając się, iż do Polski chce powracać, musiał powiedzieć, że na Szlązko jedzie.

Poszli tedy razem do bardzo ubożuchnego schronienia, które ostatni tu duchowny katolicki zajmował. Skarżył się on na srogość i prześladowania hussytów i na oplakany stan kraju, ale znosił swe męczeństwo cierpliwie, spodziewając się, że Bóg nareszcie nad nieszczęśliwymi ulituje się Czechami.

Przyjęcie było tak skromne, jak gospodarz i jego chata. Grzegorz odetchnął, sądząc, że tu będzie mógł bezpiecznie pozostać. Uchodźcą nocą, ani nawet nazajutrz rano nie zdawało się dobrem, bo miano baczość na tych, co cesarzowej towarzyszyli, a ktoś z orszaku Zygmunta poznać go mógł i wskazać.

Pomimo spóźnionej pory, rozmowa przy kaganku i piwie ciągnęła się jeszcze, gdy zastukano do drzwi i dworzanin cesarski, którego łatwo było można poznać po stroju wszedł do izby.

— Pan nasz Zygmunt dogorywa — zawołał — nocy tej pewnie nie przeżyje. Co jest duchownych zbiera się około konającego dla czytania modlitw i oddania mu ostatniej posługi... Idźcie i wy... Wdziejcie szaty obrzędowe. Cesarz chce aby jak najwięcej osób przytomnych było ostatnim jego godzinom.

Tu przybyły zwrócił się do siedzącego Grzegorza z Sanoka.

— Z sukni widzę, że i wy jesteście duchownym.

— Tak, alem obcy tu, podróżny...

— Katolik wśród katolików nigdzie obcym nie jest, macie obowiązek i wy oddać ostatnią posługę chrześcijańskiemu cesarzowi i królowi rzymskiemu.

— Sukni nie mam — odparł Grzegorz.

— Te się u miejscowego księdza znajdą — nalegał dworzanin. — Mam polecenie wszystkich księży na zamek prowadzić... Pójdziecie z nami.

Zaskoczony w ten sposób Grzegorz, chociaż miał wielką obawę, aby go nie poznano, opierać się nie śmiał, nie chcąc podać w podejrzenie.

Ksiądz też dawał mu znaki i upewniał, że albę, komżę lub kapę znajdzie dla niego. Dworzanin naglił. Musieli się co najprędzej przyodziać i iść za nim do zamku.

Noc tymczasem nadeszła była.

Na szarem tle jesiennego nieba, czarny zamek z oknami gorejącymi światłem, zdala już jakby katafalk olbrzymi wyglądał. Bramy, podwórza, sienie, wszystko pełne było ludu, rycerstwa, dworzan, czeladzi, zbrojnych straży, wozów i koni...

Dworzanin cesarski, który prowadził księdza i Grzegorza z Sanoka, zrobił im przejście i wwiódł naprzód do wielkiej sieni, której drzwi na oścież otwarte prowadziły do przestronnej izby sklepionej.

Widok majestatyczny a dziwny uderzył ich oczy.

Cesarz Zygmunt zaledwie przybywszy tu, a czując się słabszym coraz, zawołał lekarzy, surowo im nakazując powiedzieć mu jak mógł żyć długo. Spowiednik i oni nie ukrywali tego przed nim, iż nocy przeżyć nie miał.

Naówczas rozkazał cesarz odziać się tak, jak miał być do grobu ubranym. Włożono mu cesarsko-kapłańskie szaty, koronę na głowę, dano berło w ręce i jabłko, okryto płaszczem i posadzono na tronie w sali.

Chciał konać w obec ludzi, dla okazania mężstwa... Na koronie zielony wieniec kazał pomieścić...

Ale jabłko i berło już dla rąk jego osłabłych były za ciężkie, ustawiono je tak, aby ich trzymać nie potrzebował. Pod ciężarem korony ugięła się głowa, lecz tej odjąć sobie nie pozwolił.

Przy świetle pochodni, które trzymali stojący komornicy, widać było już trupią błądząco okrywającą się twarz, wśród której oczy jeszcze niekiedy z pod ciężko podnoszących się powiek błyskały...

Żył jeszcze... Lekkie drganie głowy, nieznaczne poruszenie szat i okryć, które nogi osłaniały, zdradzało razem cierpienie i życie...

Jak gdyby w ostatniej godzinie tej, obrazy życia całego przechodziły przed nim i porzącały go wspomnieniami, widać było poruszającą się brodę, zaciskające usta, marszczące czoło...

Kanclerz Szlik, zięć Albrecht stali tuż przy nim, córka Elża u nóg płacząc klęczała, w rękach załamanych trzymając różaniec. Duchowieństwo ustawione blisko, cicho odmawiało modlitwy, spoglądając na konającego Zygmunta, niewzruszonego, dumnego, spokojnie walczącego ze śmiercią...

Cisza panowała ugniatająca w sali, której powietrzem ciężko było oddychać... Woń woskowych pochodni, lekarstw, które Zygmunta pojono, kadzideł i tyłu zebranych ludzi wyziewy, czyniło je nieznośnym...

Z rozkazu cesarza wpuszczano na salę z kolei ciszących się ciekawych ludzi; chciał być widzianym.

— Niech wiedzą jak cesarz umiera! — szepnął Szlikowi.

Obumierający wzrok jego niekiedy padał na klęczącą córkę, na blisko stojącego zięcia, któremu państwo po sobie przekazywał, na wiernego Szlika, a potem zamykały się powieki, aby oczy wewnątrz duszy patrzyły...

Lekarz stojący obok dostrzegł naostatku, że walka ostatnia się rozpoczynała... Oddech stawał się coraz pospieszniejszym i trudniejszym, pierś podnosiła się gwałtowniej, ręce konwulsyjnie drgały, otworzyły się usta. Zdawało się, że śmierć zwycięży i wyrwie okrzyk bóleści. Wtem Zygmunt zacisnął usta, głowa wyprostowana dotąd poczęła się chylić na piersi i z czoła spadła korona potoczyła się na nogi.

Cesarz nie żył.

Duchowni uklękli, pierwszą za duszę uleciała odmawiając modlitwę...

Elża u stóp klęcząca krzyknęła i odniesiono ją na pół zemdloną.

Szlik i Orszag bojąc się, aby ciało martwe nie zsunęło się z tronu, przytrzymali je z obu stron, póki by nie ostygło, a Albrecht podniesioną koronę włożył na skronie.

Ale na niej laurowego wieńca nie było i potomność przywrócić go nie miała...

Śmierć cesarza dozwoliła Grzegorzowi z Sanoka trochę wolniej odetchnąć. Wszyscy nadto nią byli zajęci, aby się zaprzętać sprawą cesarską. Zatrzymano ją wprawdzie w więzieniu, bo taka była wola umierającego, ale nikogo nie prześladowano i nie ścigano hr. Cillych.

Albrecht nadto miał w tej chwili do czynienia w Węgrzech i Czechach, aby się znieść nad kimkolwiek i nowych sobie nieprzyjaciół przyczynić.

Nazajutrz postanowił mistrz nasz puścić się w drogę do Krakowa. Biedrzyka ani mógł szukać, ani on mu się nastęrczył. Sam więc jeden, rozpytawszy o gościńce, ufając sukni duchownej, która go mogła obronić od napaści, jeżeliby hussytów i włóczągów nie spotkał, wyjechał Grzegorz z Sanoka przejęty tem co widział i co wiozł królowej Sonce.

Poselstwo jego poszło najniebezpieczniej i w Krakowie nie spodziewał się dobrego przyjęcia, ale winy w tem jego nie było...

Małymi dniami, ostrożnie się przebiegając od miasteczka do miasteczka, odpoczywając po katolickich probostwach, znużony i wycieńczony tą podróżą, zbliżył się wreszcie Grzegorz do Krakowa.

Im więcej rozmyślał nad tem, co go spotkało, co słyszał i czego się mógł dorozumie-
wać, tem smutniejszy powracał do królowej. Odkrył w niej to, czego nie przewidywał,
niezmierną żądzę zdobywania dla dzieci ziem i państw, żądzę, której oni paść mogli ofia-
rą. Żał mu było Władysława, który już sam rycerskie miał popędy i wyobraźnię gorącą.
Dusza jego przeczuwała zawody i koniec smutny...

Lecz mógłże on co przeciw wszystkim i przeciwko samemu charakterowi młodzieńca,
którego od dziecka marzeniami bohaterstwa karmiono?!

Pod Krakowem już spotkawszy znajomych dworzan panów z Tęczyna, przekonał się
z rozmowy z niemi, że wiadomość o śmierci cesarza i uwięzieniu Barbary, jeszcze tu nie
doszła. On więc pierwszy miał być zwiastunem tych wypadków.

Na zamku przywitano go zdziwieniem, tak on i koń jawnie świadczyli, że tajemni-
cza podróż poszła niepomyślnie... Już powrót bez sług i towarzysza, złym była znakiem,
a twarz Grzegorza z Sanoka nosiła na sobie ślady przetrwanych niewczasów i troski.

Zaledwie przebrawszy się mistrz kazał o sobie oznajmić królowej, która go natych-
miast powoła do siebie.

Niecierpliwa wyszła naprzeciw niego, aż do progu, mierząc ciekawymi oczyma.

Zmęczona twarz i smętne wejrzenie posła, mówiły za niego.

— Co mi przynosisz? — zawołała natarczywie — w dwu słowach mów. Gdzie Bie-
drzyk? Co się stało?

— Miłościwa pani — rzekł ponuro Grzegorz — nie mam szczęścia i złym jestem
posłem, ale nie własną winą, zrządzeniem Opatrzności.

Zastalem cesarza już prawie konającym... Z Pragi kazał się nieść do Znaima... Cesa-
rzowa była przy nim. Przed samym zgonem z jego woli uwięziono cesarzową Barbarę.

Sonka wydała krzyk rozpaczliwy i ręce załamała.

— Cesarz umarł! — zawołała.

— Przekazawszy państwo Albrechtowi i córce — dodał Grzegorz.

Chwilę stała królowa osłupiona, nie mogąc się jeszcze pogodzić z tem co słyszała, nie
wierząc uszom własnym.

— Cesarzowa! Cesarzowa uwięziona — przerwała — i nikt nie stanął w jej obronie!
Gdzież byli Czechy? Gdzie się podzieli brat jej i synowiec? Czy i oni uwięzieni?

— Uszli oba — rzekł Grzegorz spokojnie i poważnie. — Zdaje się, że cesarz dla tego
z Pragi wyjechał już niemal konający, aby uniknąć Czechów, sprzyjających cesarzowej
Barbarze...

— Wszystko! wszystko przepadło! — zawołała patrząc w ziemię, z wyrazem bólu
i rozpacz królowa. — Wszystko przepadło, co memu pierworodnemu wielką zapewniało
przyszłość.

Grzegorz wejrzeniem pełnem wyrzutów odpowiedział tylko, a po chwili milczenia
odezwał się odważnie.

— Miłościwa pani, Bogu dziękować należy, iż pana naszego obronił od sromotnego
małżeństwa i losu, który go czekał z tą niewiastą!

Stało się wedle miłosierdzia Opatrzności...

Złożył ręce nie kończąc. Królowa spojrzała gniewnie.

— Tak, stało się — odparła odwracając od niego — lecz... bądź co bądź, jedną z tych
koron posiędzie! Przepowiednie się spełnią...

I zimna na pozór, ale wzburzona i gniewna, kazała sobie ze szczegółami opowiadać
wszystko, co Grzegorza spotkało w podróży.

Twarz jej mieniła się, usta ściągały, ręce szarpały suknię, gniew zdawał się co chwila
wybuchać i stłumiony krył się we wnętrzu.

Z ironicznym uśmiechem, gdy skończył opowiadanie mistrz Grzegorz, odprawiła go
skinieniem głowy dumnym...

— Na nowo więc rozpocząć potrzeba! — zamruczała. — Władysław młody, czas
mamy...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strzemienczyk-tom-i>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Strzemieńczyk: (czasy Władysława Warneńczyka)*. T. 1, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff [etc.], Kraków 1883.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0462-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).